tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 34 (1337)
18-24.08.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

NIK – POLITYCZNI KONTROLERZY

DOMINIK HORODYŃSKI REALISTA

JAN TOMASZ ADAMUS LUDZIE SĄ GŁODNI SZTUKI

POLACY NA WAKACJACH

IPN IDZIE PO WŁADZĘ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 34 >
9 771509 311508

KRONIKI 1980-89 ZAPOMNIANYCH ZWYCIĘSTW

1981 - stan wojenny (fot. J. Żołnierkiewicz / © Wikipedia)

Nie bój się mówić własnym głosem.

Konkurs na mikro prozę dla „Świadków" i „Spadkobierców" – do wygrania 15 tysięcy złotych.

PARTNER STRATEGICZNY

Kraków

https://krakowiswiat.pl/konkurs-kroniki-zapomnianych-zwyciestw-polska-1980-89/

eprasa.pl 28df70e0c3

Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

Łapaj złodzieja!

Afera z pieniędzmi z KPO, która rozlała się po mediach, to nie jest afera Tuska, Polski 2050 czy PiS. To afera ponadpartyjna, więcej mówiąca nam o Polsce niż dziesiątki przemówień. Czego więc przy tej okazji dowiedzieliśmy się o naszym pięknym kraju?

Wniosek 1: nie potrafimy wydawać pieniędzy.

O tym, że w ramach KPO jest pula na wsparcie firm z kategorii HoReCa (Hotel, Restaurant, Catering), wiedziano od początku. Zasady naboru ustalono jeszcze za PiS, w 2023 r. Wnioski można było składać w roku 2024.

Ewidentnym błędem nowej władzy było to, że nie miała dość mądrości, by wnioski zaprzeczające zdrowemu rozsądkowi odrzucać. Zamiast tego słychać było wielki krzyk: są pieniądze, musimy je wydać, bo się zmarnują! I obniżano kryteria dostępu. Aż obniżono tak, że strzelono sobie w kolano. Cóż, zimna krew w polityce i doświadczenie to rzeczy bezcenne.

Wniosek 2: kasa łączy.

Jeżeli przyjrzymy się ludziom, którzy przy rozdysponowaniu funduszy „robili", to zobaczymy wielką, ponadpartyjną koalicję. To nie Tusk, ale ministra Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050 nadzorowała (i nadzoruje) dzielenie funduszy. Ale i ona przecież niczego nie przydziela, tym zajmują się firmy operatorzy, wybrane jeszcze za PiS. W jednej z nich bryluje mąż Beaty Szydło… Media namierzyły też radnego PiS, który namawiał do biznesu – kupowania (za pieniądze z KPO) jachtów pod wynajem. Zaprawdę, pieniądze nie mają partyjnego zapachu.

Wniosek 3: w propagandę PiS potrafi, a Tusk – nie.

To oczywiste, te jachty, sauny, klub swingersów odbijać się będą Koalicji Obywatelskiej jak swego czasu ośmiorniczki. Ludzi gorszy, że na takie rzeczy idą publiczne pieniądze, i trudno będzie rządowi z tego się wytłumaczyć. A przecież KPO to potężny program, w wyniku którego do Polski trafia prawie 60 mld euro (ok. 255 mld zł) w postaci dotacji i preferencyjnych pożyczek. W większości są wydatkowane na inwestycje, ochronę zdrowia i transformację cyfrową. Tak krytykowana HoReCa to umowy na 1,2 mld zł, z czego wypłacono 110 mln zł, tymczasem ten ułamek wielkich pieniędzy staje się w debacie publicznej ważniejszy niż miliardowe inwestycje w koleje czy szpitale.

Znajmy proporcje! I szanujmy zasady przyzwoitości. Bo obrzydzenie budzi to, że najgłośniej gromią KPO ci, którzy zwijali miliony bez opamiętania i z którymi rozmawiać powinni nie dziennikarze, ale prokuratorzy. Ludzie PiS mają lepkie ręce i zbyt wiele do tych rąk im się przykleiło. Dlatego mierzi, gdy krzyczą: „Łapaj złodzieja!" i zachowują się jak pierwsi uczciwi i sprawiedliwi.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 28df70e0c3

W NUMERZE

KRAJ

8 **IPN. Wylęgarnia pisowskich „kadr”**
Instytucja antynarodowa, ale zabetonowana

14 **Banany na Olimpie**
Afery z dotacjami? Nic nowego

18 **Polityczni kontrolerzy**
Do NIK partie pchają swoich

26 **Tu chodzi o pamięć**
Wystawa „Nasi chłopcy” ośmieliła Pomorzan

42 **Bp Życiński porównał mnie do Judasza**
– rozmowa z prof. Tadeuszem Bartosiem

56 **Polacy na wakacjach**
Kto wypoczywa, kto nie daje wypocząć

HISTORIA

22 **Polska po wielkiej klęsce**
Dominika Horodyńskiego droga do realizmu

29 **Hoover u Hitlera i Mościckiego**
Zapomniana wizyta w Polsce

46 **Ukryte ślady zbrodni**
Zagłada olkuskich Żydów

ZAGRANICA

30 **Gehenna dzieci Gazy**

32 **Bułgarskie sentymenty**
Korespondencja z Bułgarii

36 **Strategia Kataru**
Dyplomacja cicha i skuteczna

40 **Blisko perfekcji**
Korespondencja z Korei Południowej

KULTURA

50 **Ludzie są głodni sztuki**
– rozmowa z Janem Tomaszem Adamusem

53 **Qulturalia**

66 **Odcienie kobiecości**

SPORT

54 **Z Belgradu do Limburgii**
Poobijany Lech wciąż w grze

OBSERWACJE

58 **Trzcina wraca do łask**
Wigry dają surowiec, dbajmy o nie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Łapaj złodzieja!

17 **Jan Widacki**
Idą ciekawe czasy

21 **Stanisław Filipowicz**
Wielka masakra kotów

35 **Andrzej Romanowski**
Siedemdziesiąt lat współżycia

39 **Roman Kurkiewicz**
Czołg nigdy nie jest domem

49 **Tomasz Jastrun**
Na progu wojny

61 **Wojciech Kuczok**
Moje zboczenia

30
ZAGRANICA

GEHENNA DZIECI GAZY

50
KULTURA

LUDZIE SĄ GŁODNI SZTUKI
– rozmowa z Janem Tomaszem Adamusem

66
GALERIA

ODCIENIE KOBIECOŚCI

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28df70e0c3

Święty Graal wraków nadal na dnie

ZAGRANICA

Święty Graal wraków nadal na dnie

Potwierdzono lokalizację wraku legendarnego hiszpańskiego galeonu San José. I zaczęła się wielka awantura dyplomatyczna

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Mateusza Mazziniego. Moje obiekcje co do podanych faktów wzbudziły dwa kolejne zdania: „Rzeczywiście 8 czerwca 1708 r. galeon należący do Hiszpańskiej Korony, płynący z peruwiańskiego portu Callao przez Panamę do Hiszpanii, został zatopiony przez Brytyjczyków. Na pokładzie znajdowało się 600 członków załogi, którym ostateczny cios zadał statek HMS Expedition". W jaki sposób galeon „San José" przepłynął przez Panamę, płynąc z Callao (port nad Oceanem Spokojnym), i przedostał się na Ocean Atlantycki w rejon Kartageny? Przesmyk Panamski był wówczas pasem lądu łączącym obie Ameryki. Możliwość jego przepłynięcia w poprzek umożliwił dopiero Kanał Panamski, który otworzono w 1914 r. Jak galeon, jednostka żaglowa o długości ok. 50 m i szerokości ok. 10 m, pomieścił 600 załogantów, przewożony skarb plus zapasy do wykarmienia tak licznej załogi, utrzymał się na wodzie i nie osiadł na dnie już w porcie Callao?

Teodor Makowski

Azowiec na czele Ukraińskiego IPN

Polska polityka historyczna poniosła totalną porażkę. To bardzo wstydliwa porażka. Po przegranej przez Ukrainę wojnie z Rosją nastąpi jeszcze większa radykalizacja postaw patriotycznych po stronie ukraińskiej, zacznie się wskazywanie Jarosławia, Lubaczowa, Przemyśla, Chełma, Sanoka jako miast ukraińskich, zaostrzy się natrętna promocja postaci pokroju Szuchewycza, Klaczkiwskiego, Stebelskiego czy Szczygielskiego. W ruch pójdą mapki z „wielką Ukrainą" – od Sanu po przedpola Kaukazu. Szefami UIPN będą osoby o poglądach jeszcze bardziej radykalnych niż Wjatrowycz.

ZAGRANICA

Azowiec na czele Ukraińskiego IPN

Żaden poprzednik Alfiorowa nie wypowiadał się tak o Hitlerze

Damian Paweł Strączyk

Potrzebni, choć niechciani

Potrzebni, choć niechciani

Powodem tragedii jest raczej chciwość naszych kapitalistów. Sprowadzają imigrantów i zmuszają ich do pracy z pogwałceniem wszystkich możliwych norm – byle nie zatrudniać miejscowych na umowę i stawkę wyższą o kilka złotych na godzinę. A ofiary tego zjawiska nienawidzą siebie wzajemnie.

Jakub Włodzimierz Żak

•

W Polsce już jest równoległy system zatrudnienia, z którego Polacy są wykluczeni. Wielu nie może znaleźć żadnej pracy w swoich miejscowościach, nawet na najprostszych stanowiskach, bo system zatrudnienia opanowały agencje pracy, z których usług chętnie korzystają zakłady pracy, bo wypychają HR i całą biurokrację na zewnątrz, agencje zaś ściągają pracowników z latynoamerykańskich narkorepublik czy z Azji i Afryki.

K-d M-a

ZDJĘCIE TYGODNIA

Turystki na Krupówkach, 4 sierpnia 2025 r. Zakopane stało się popularne wśród urlopowiczów z Arabii Saudyjskiej, ZEA i Kuwejtu. Lotnisko w Krakowie obsługuje aż siedem lotów dziennie z tego regionu.

FOT. BARTOSZ SIEDLIK/ AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 28df70e0c3

1 sierpnia 2000 r. prof. Grzegorz W. Kołodko utworzył na zaproszenie prof. Andrzeja Koźmińskiego, rektora Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania (dziś Akademia Leona Koźmińskiego), **Centrum Badawcze Transformacji, Integracji i Globalizacji (TIGER).** Zorganizowano dziesiątki konferencji i seminariów, wydano serie książek **(dostępne w internecie na www.tiger.edu.pl).** Założycielowi Tigera, prof. Grzegorzowi W. Kołodce, i jego zespołowi gratulujemy znakomitego dorobku i twórczych osiągnięć.

•

Pierwszym laureatem nowo ustanowionej **Nagrody „Wierność Książce"**, werdyktem Rady Festiwalu Stolica Języka Polskiego pod przewodnictwem Wiesława Myśliwskiego, **został Wiesław Uchański,** który od 38 lat, ponad podziałami, kieruje **Wydawnictwem Iskry.** Gratulujemy, bo bardzo cenimy.

•

Tylko 28% ankietowanych przez pracownię Opinia24 dla RMF FM wierzy, że Karol Nawrocki jako prezydent będzie samodzielny i niezależny od PiS.

•

W 2024 r. wystawiono prawie **3,8 mln mandatów** na łączną kwotę 1,3 mld zł. A 160 tys. kierowców zapłaciło mandat w wysokości ponad 1 tys. zł.

•

W 2024 r. wkład uchodźców z Ukrainy w polski PKB sięgał 2,7%, czyli **prawie 100 mld zł.** Zapłacili też 47 mld zł podatków.

•

Były premier Morawiecki szczodrze nagrodził spółki Dominika Basiora, które odpowiadały za jego kampanię wyborczą w 2019 r. Niestety, nie ze swojego portfela, ale zleceniami za prawie 115 mln zł.

•

Zapowiedź przygotowania **nowej konstytucji w 2030 r.** prowokuje pytanie, co takiego Nawrocki chce powiedzieć w 100-lecie wyborów brzeskich i zdemolowania polskiej demokracji.

•

Gorzej jest tylko na Malcie i na Węgrzech. Raport Reporterów bez Granic na temat sytuacji mediów publicznych w Unii Europejskiej poraża. **Jesteśmy na 25. miejscu** wśród 27 krajów unijnych.

•

Andrzej Klesyk został przez Radę Nadzorczą PZU odwołany z funkcji prezesa spółki. Nowy szef PZU ma być wyłoniony w konkursie.

•

Występ białoruskiego rapera Maksa Korża na Stadionie Narodowym w Warszawie zakończył się skandalem. Bójki, wandalizm, promocja banderyzmu, symbole nazistowskie. **Wobec 63 osób** (57 obywateli Ukrainy i 6 Białorusinów) **wszczęto postępowanie o deportację.**

•

Akcja PiS, by zacząć odbijać samorządy, zakończyła się porażką w Zabrzu. Kandydat PiS nie będzie walczył o prezydenturę miasta, bo w finale znaleźli się kandydatka kojarzona z KO i aktywista miejski. **Wybory 24 sierpnia.**

•

Największe spadki liczby ludności w dużych miastach w 2024 r. odnotowane zostały w **Wałbrzychu, Częstochowie, Sosnowcu, Radomiu i Gliwicach.**

PRZEBŁYSKI

Prokurator u Nawrockiego

Wiele jest spekulacji, dlaczego właśnie Zbigniew Bogucki został wysłany przez prezesa Kaczyńskiego na szefa kancelarii prezydenta Nawrockiego. Odpowiedź jest prostsza, niż może się wydawać. Kim z zawodu jest polityk PiS? Spec od fizjonomii popatrzył na jego zdjęcie i powiedział, że to twarz modelowego prokuratora. Bingo. Do 2012 r. Bogucki był prokuratorem. A jak wracał z pracy do domu, mógł sobie pogadać z prokurator Julitą Dziedzic-Bogucką. Czyli z żoną. Prokurator Dziedzic-Bogucka brała udział w wielu śledztwach dotyczących polityków PO. I nie bez powodu awansowała w kosmicznym tempie. Prokurator u boku Karola Nawrockiego jest bardzo na czasie. Wybory można wygrać, tatuaże zlikwidować, ale afer z przeszłości nie da się wymazać. Coś z nimi trzeba będzie zrobić. Bogucki może pomóc. I przypilnować. A jak będzie potrzebował pomocy, to chętnie pomoże Jarosław Kaczyński. Też prawnik.

Mecenas Wąsowski przyjął… 2 mln zł

Mecenas Krzysztof Wąsowski ma nadzwyczajne, wręcz telepatyczne, umiejętności trafiania tam, gdzie jest największa kasa. Za rządów dojnej zmiany kancelarie, z którymi był związany, w ciągu dwóch lat (2019-2020) miały zlecenia z Ministerstwa Sprawiedliwości na ok. 500 tys. zł. Za obsługę Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych dostały 160 tys. zł (2022), 720 tys. zł (2023) i 500 tys. zł (2024). Pracowici adwokaci z kancelarii Wąsowskiego obsługiwali też PGE, PGNiG, Eneę, Porty Lotnicze oraz Ministerstwo Edukacji i Nauki za rządów Czarnka.

Teraz mecenas Wąsowski ma inną robotę. Musi bronić tych aferzystów, z którymi wcześniej współpracował. I siebie. Bo dostał prokuratorskie zarzuty pomocnictwa w procederze przestępczym. Zdarzyło mu się przyjąć od jednego z podejrzanych ponad 2 mln zł, które pochodziły z przestępstwa. Wąsowski nazwał to depozytem adwokackim. I ten depozyt to chyba początek dużych kłopotów adwokata.

Bies kontra Anioł

Mój pomnik jest mojszy niż twój. Taką wojnę mamy w Bieszczadach. Gdy na działce przy granicy Ustrzyk Dolnych, w pobliżu stacji benzynowej, postawiono żelazną rzeźbę Biesa, środowiska kościelne szarpnęły się na sześciometrowy pomnik św. Michała Archanioła. Wódz aniołów, któremu zawierzono całe Bieszczady, stoi przy drodze krajowej 84, na wjeździe do Ustrzyk Dolnych od strony Leska i Sanoka. Za Aniołem stoi Adam Pęzioł, były wojewoda przemyski i opolski, a za Biesem były burmistrz, obecnie poseł Polski 2050, Bartosz Romowicz.

Siły stojące za pomnikami są nierówne. Za Biesem wolny lud Bieszczad, a za św. Michałem Archaniołem biskupi, marszałek województwa, oo. michalici i pielgrzymi. Głównie starsi, bo młodzi robią sobie fotki z Biesem.

FOT. YOUTUBE.PL (3), GOV.PL

eprasa.pl 28df70e0c3

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

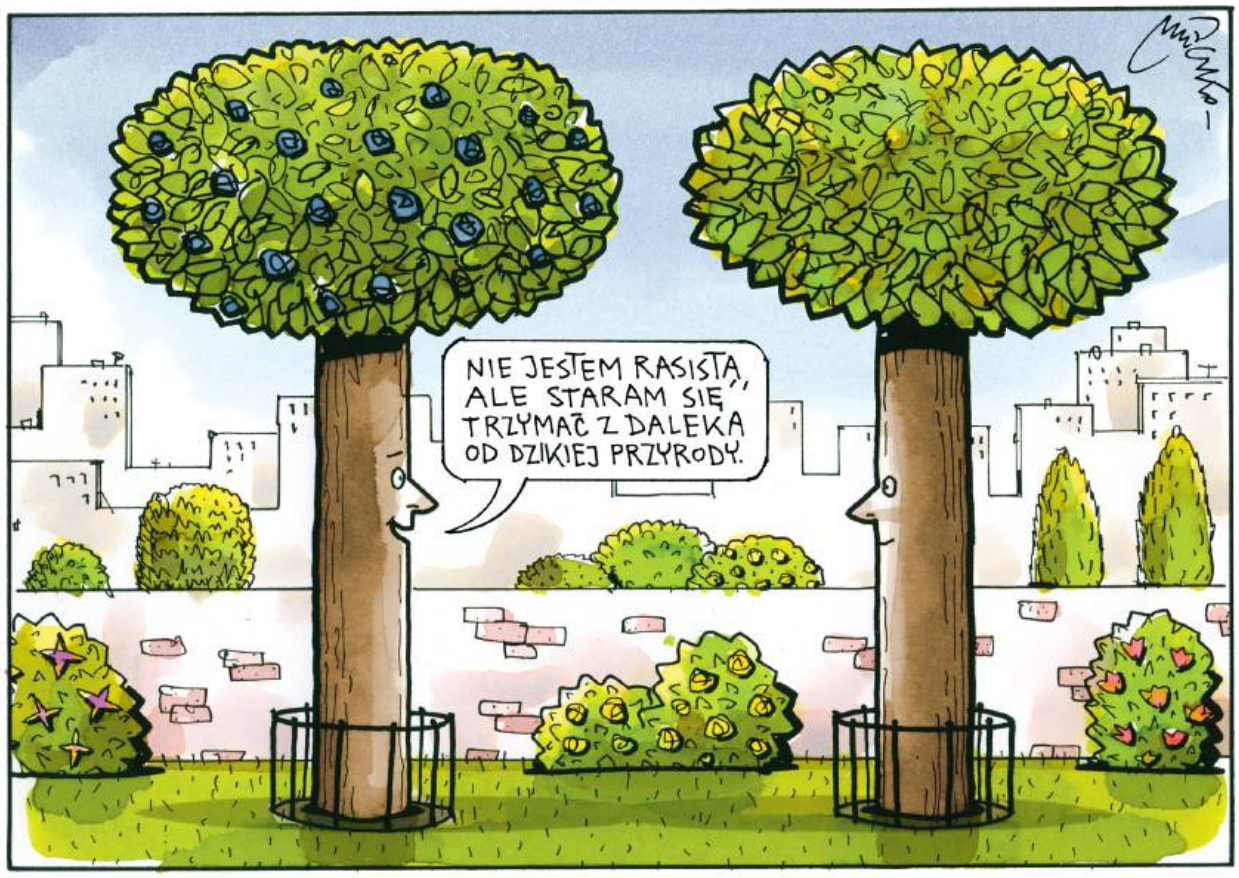

mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Po czym poznać warszawiaka?

WITOLD BEREŚ,
redaktor naczelny magazynu „Kraków i Świat"

Scenka w miłym mi filmie „Zakochany Anioł": z Krakowa przyjeżdża kloszard Szajbus (Jerzy Trela), by z pomocą kloszarda warszawskiego Lupina (Janusz Gajos) odbić Anioła Giordana (Krzysztof Globisz). Po akcji, gdy emocje opadają, Lupin tłumaczy: „Szajbusie, w Warszawie nie przeżyłbyś nawet pół dnia. Tu musisz mieć styl, wizerunek… kontakty, marketing… holding, pulding oraz analizę kosztów. Jesteś mi winien 244 zł". W tym m.in. risercz – 46,80, kradzież meleksa 22 zł (bo ryzyko się liczy), akcja, w tym otwarcie zamka – 48,70 gr, koszty biurowe oraz zysk – 25 zł. A wszystko razem: 244 zł. Plus VAT oczywiście. Szajbus jest zniesmaczony: „Za tyle to Wanda dałaby… ożeniłaby się z Niemcem!". Lupin: „Każdy tak mówi, jak trzeba zapłacić, zwłaszcza taki z Krakowa! Szajbus, w warszawskim biznesie kolegów niestety nie ma". Tak, krakus warszawiaka pozna po tym, że ten na podorędziu wystawi mu fakturę VAT.

MICHAŁ OGÓREK,
felietonista, satyryk

Nie ma co powtarzać banalnych stwierdzeń o wyniosłości i nieprzystępności mieszkańców stolicy. Wydaje mi się, że warszawiaków można poznać dziś przede wszystkim po tym, że nikt im nie jest do niczego potrzebny. Bije od nich pewna aura samowystarczalności. Co więcej, również inni warszawiacy nie są im do niczego potrzebni, a najchętniej każdy warszawiak zostałby jedynym warszawiakiem na całym placu. O tych ciągotach do izolowania się świadczą m.in. wszystkie grodzone osiedla. Jest to też jakaś kolejna forma wyróżnienia się na tle pozostałych. Co ciekawe, w Warszawie w ogóle nie ma lokalnego patriotyzmu, mimo że ludzie bardzo go sobie jednocześnie cenią. Warszawiacy nie tworzą żadnej wspólnoty. Nie uświadczymy tu dumy z regionu. Każdy chce być sam, a inny warszawiak to jeszcze coś gorszego niż niewarszawiak.

JERZY JURECKI,
twórca i wydawca „Tygodnika Podhalańskiego"

Kiedyś w słynnym domu towarowym Granit na rogu Kościuszki i alei 3 Maja w Zakopanem pracował windziarz, elegancki pan w uniformie, z ręką na dźwigni i uchem wyczulonym na klientów. Twierdził, że warszawiaka rozpozna bezbłędnie. A taki zamiast zwykłego: „Na trzecie" mówił dumnie: „Na trzecie. Jestem z Warszawy". Windziarz śmiał się wtedy: „Czy oni myślą, że jak to powiedzą, to szybciej pojadę?". I choć winda nie miała turbo, to w takich chwilach chyba jednak lekko przyśpieszała… Albo to po prostu serce gospodarza kabiny biło szybciej.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 28df70e0c3

Nawrocki z satysfakcją wyrzucał z siebie słowa „komuniści, zdrajcy, PZPR" podczas niszczenia przez IPN Pomnika Braterstwa Broni w Nowogardzie, 22 lipca 2024 r.

IPN wylęgarnia pisowskich „kadr"

Nawrocki jako prezydent jeszcze silniej będzie wpływał na politykę historyczną. Jego kancelaria stanie się drugim IPN

Paweł Dybicz

Gdyby posłowie dawnej Unii Wolności, dziś Koalicji Obywatelskiej, wiedzieli, że stworzony przez nich Instytut Pamięci Narodowej tak bardzo się wyrodzi z demokratycznych ram i wyłoni nieprzychylnego im prezydenta Rzeczypospolitej, o dość pogmatwanej biografii (delikatnie mówiąc) i o skrajnie nacjonalistycznych poglądach, pewnie w 1998 r. zachowaliby się inaczej. Mądrzej, a przynajmniej przewidując, że historia w rękach polityków to narzędzie niebezpieczne. Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta RP jest swoistą karą za brak dostrzegania skutków podejmowanych decyzji, przede wszystkim zaś za bezczynność koalicji rządzącej, a zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej, w sprawie IPN.

Nieco historii

Nie da się pisać o dzisiejszym IPN bez uwzględnienia jego historii – pokazuje ona, co się z tą instytucją stało. W czasie rządów Akcji Wyborczej Solidarność (protoplasty PiS) przy współdziałaniu UW (poprzedniczki PO) wzrosło przekonanie (za Carlem Schmittem), że kontrola nad przeszłością jest kluczem do panowania nad przyszłością i że trzeba to myślenie ująć w ustawowe ramy. Zadanie napisania odpowiedniej ustawy powierzono trzem profesorom – dwóm prawnikom: Witoldowi Kuleszy i Andrzejowi Rzeplińskiemu (tak, tak, temu Rzeplińskiemu) oraz historykowi Andrzejowi Paczkowskiemu. Stworzony przez nich projekt miał dwa

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN

eprasa.pl 28df70e0c3

główne błędne przesłania. Przez pojęcie przeszłości rozumiano głównie Polskę Ludową, której trzeba „dokopać", i drugie – usankcjonowanie idei odpowiedzialności zbiorowej.

Ustawę o IPN przegłosowano głosami AWS, UW i małych ugrupowań typu KPN przy sprzeciwie SLD i 10 posłów PSL (10 się wstrzymało). Zawetował ją prezydent Aleksander Kwaśniewski, ale Sejm jego weto odrzucił. Rozrachunek z Polską Ludową oznaczał bezpardonową walkę ze wszystkim, co się z nią wiąże. Pewniak do objęcia fotela prezesa, prof. Andrzej Chwalba, został zaatakowany, ponieważ w życiorysie nie podał, że był członkiem PZPR. Ta „straszna przewina" i nagonka na niego (sterowana przez Ryszarda Terleckiego i Janusza Kurtykę) spowodowała, że zrezygnował. Prezesem został prof. Leon Kieres. I każdy po nim przerastał poprzednika w radykalizmie i głupim antykomunizmie.

Największą przewiną IPN jest realizowana przez tę instytucję polityka historyczna. Zamiast trafić w ręce historyków z prawdziwego zdarzenia, znalazła się we władaniu polityków, działających w myśl zasady: tam, gdzie jest polityka (jakakolwiek), tam są politycy. A jacy są politycy, jakie mają poglądy, taka jest polityka historyczna. To za sprawą polityków spod znaku prawicy, a dokładnie PiS, IPN całkowicie wyrodził sie z instytucji pamięci w ośrodek służący do zakłamywania historii. Stał się narzędziem do walki nie tylko z PRL, ale i z przeciwnikami politycznymi partii Kaczyńskiego.

Nie chodzi już o Lecha Wałęsę (agent „Bolek") czy Donalda Tuska (dziadek z Wehrmachtu), ale o takie postacie jak chociażby Adam Michnik. Poświęcony mu na konferencji IPN referat umiejscowiono pośród wystąpień dotyczących byłych przywódców partyjnych.

Ćwierćwiecze IPN pokazało, że instytucja ta znalazła się poza kontrolą społeczną, a jej jedynym dysponentem są politycy. Od lat jest opanowana przez ludzi z kręgów PiS, już nawet nie o poglądach narodowych, ale wręcz skrajnie nacjonalistycznych. W IPN nie brakuje postaci, którym faszyzm imponuje, pozostaje w sferze prywatnych zainteresowań, a nawet jest obiektem prac, które trudno uznać za badawcze.

W IPN zgromadzonych jest niemal 400 tys. (!) niesprawdzonych oświadczeń lustracyjnych. Ich weryfikacja zajmie ponad 20 lat.

Polityka historyczna IPN stanowi główny element eliminowania lewicy z przestrzeni publicznej. W 2024 r. mieliśmy IPN-owski festiwal poświęcony Romanowi Dmowskiemu (z okazji 160. rocznicy jego urodzin) i żadnej imprezy poświęconej lewicy, nawet tej antykomunistycznej czy antypeerelowskiej. Jednym z głównych tematów w działalności instytutu jest historia Kościoła. Ciemiężonego przez komunistów, który jednak dzielnie stawiał opór prześladowcom.

W myśl założeń i dyrektyw partii Kaczyńskiego polityka i dokonania IPN muszą współgrać z polityką PiS, z działaniami tego ugrupowania również wobec wsi i stosunku do PSL, mającymi na celu marginalizację dzisiejszych ludowców. Stąd w pracach instytutu (konferencje, wydawnictwa) wiele miejsca w ostatnich latach zajmuje Wincenty Witos. Chętnie podkreśla się też rolę ludowców, szczególnie związanych ze Stanisławem Mikołajczykiem, w walce z obcą im komuną. Te dokonania IPN (w tym udział w powstaniu Muzeum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie) mają wzmacniać niesłabnący zamiar PiS skłonienia PSL do współpracy, również parlamentarno-rządowej. W rzeczywistości, o czym się nie mówi głośno, chodzi tu o przejmowanie wiejskiego elektoratu pozostającego pod wpływem stronnictwa Kosiniaka-Kamysza.

Walkę z lewicą, zakłamywanie jej przeszłości (nie dotyczy to tylko Polski Ludowej) połączono z lustracją i dezubekizacją, łamiąc przy tym konstytucyjne prawo do wolności słowa czy wizerunku. Za wyrażanie poglądów określanych jako komunistyczne staje się przed sądem i zapadają wyroki. Do tego dochodzi obsesyjne wręcz burzenie pomników przypominających wspólny szlak bojowy Armii Czerwonej z Wojskiem Polskim.

W końcu XX w. prawica, w tym również dzisiejsza PO, stworzyły potwora, który się wyrodził, stał się (wbrew PO) kadrotwórczy dla PiS. Przykładem jest postać niedawnego prezydenta elekta i ludzi, których pociągnął do Kancelarii Prezydenta RP. Szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego został Sławomir Cenckiewicz, a rzecznikiem prasowym prezydenta – Rafał Leśkiewicz, dotychczasowy rzecznik IPN. Zastępcą szefa gabinetu prezydenta Pawła Szefernakera jest niedawny dyrektor Biura Prezesa IPN Jarosław Dębowski. Do najbliższych współpracowników Nawrockiego należy były dyrektor Biura Kadr w IPN Mateusz Kotecki, który ma odpowiadać za sprawy społeczne i działania interwencyjne. Agnieszka Jędrzak, była dyrektor Biura Współpracy Międzynarodowej IPN, teraz w randze ministra będzie się zajmowała Polonią i Polakami za granicą. Nominacje Nawrockiego jawnie dowodzą, że obywatelskość prezesa IPN, dziś już prezydenta, była kamuflażem, a IPN jest wylęgarnią prawicowo-pisowskich działaczy.

Mimo wysokich gratyfikacji coraz więcej historyków stroni od IPN.

Bokser Nawrocki

Kolejny prezes IPN miał coraz radykalniejsze poglądy i metody działania. Karol Nawrocki nie jest żadnym wyrodnym synem IPN – jest jego najbardziej mętnym wytworem.

eprasa.pl 28df70e0c3

To nie od czasu jego prezesowania IPN ma takie oblicze. Różnica między Nawrockim a jego poprzednikami jest tylko taka, że oni dzieła niszczenia polskiej historii dokonywali w białych rękawiczkach – on robi to w rękawicach bokserskich. Działania IPN traktował jak walkę bokserską. I nie była to szkoła Feliksa Stamma – szermierki na pięści – tylko rodem z kibolskich ustawek. Jest wszakże jedna, widoczna różnica między nim a poprzednikami: o ile tamci starali się pozostawać nieco w cieniu, to Nawrocki wykorzystywał IPN do promocji własnej osoby, lansowania się w różnych środowiskach. Od polityków do kiboli. Jak widać – z sukcesem.

To nie Nawrocki był największym problemem IPN, ale sama jego istota, kształt i struktura. Nawrocki jest tylko odzwierciedleniem tej instytucji – on ją dodatkowo zradykalizował i zbrutalizował. Poszerzył też zakres rewolucji kadrowej swojego poprzednika, Jarosława Szarka. Chociaż... Kiedy ważyły się losy jego wyboru na prezesa IPN, zapowiadał co innego. W Senacie w 2021 r. ówczesny kandydat na prezesa IPN mówił, że polska historia wymaga narodowej zgody i współdziałania w imię prawdy o polskim doświadczeniu w XX w. Już wtedy jednak było wiadomo, że jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej dokonywał rzeczy, które przeczyły jego słowom o współdziałaniu. Nie będę przypominał o sprawach i występkach Nawrockiego w czasach, gdy kierował muzeum – są opisywane w mediach. Ocenę jeszcze wcześniejszych jego zachowań pozostawiam prokuratorom. Skupię się na jego szefowaniu IPN.

Członkowie Kolegium IPN wybrani na lata 2023-2030

Jan Draus	(mianowany przez Sejm)
Bartosz Machalica	(mianowany przez Senat)
Grzegorz Motyka	(mianowany przez Senat)
Andrzej Nowak	(mianowany przez prezydenta RP)
Wojciech Polak	(mianowany przez Sejm)
Mieczysław Ryba	(mianowany przez Sejm)
Bronisław Wildstein	(mianowany przez prezydenta RP)
Tadeusz Wolsza	(mianowany przez Sejm)
Krzysztof Wyszkowski	(mianowany przez Sejm)

Poza oficjalnymi informacjami i deklaracjami niewielkiej grupy ludzi, mówiących o Nawrockim jako prezesie instytutu, niewiele można się o nim dowiedzieć jako szefie IPN. Jeżeli do niedawna nie było chętnych do wyjawiania prawdy o Nawrockim, to teraz tym bardziej raczej ich nie będzie. Otoczył się ludźmi zaufanymi, nierzadko jeszcze znanymi mu z czasów poprzedniej funkcji. Z Gdańska ściągnął Karolinę Imianowską (łączoną z zarządzaniem głośnym muzealnym hotelem). Sebastian Marciniak został zastępcą dyrektora kadr IPN. W instytucie odnalazła się Magdalena Hajduk, zajmująca się projektami cyfrowymi. Do centrali ściągnął ze Szczecina szefa tamtejszego oddziału, który pozbył się trzech pań krytykujących sytuację wewnątrz instytutu, w tym zasady wynagradzania.

Karol Nawrocki nie jest żadnym wyrodnym synem IPN, jest jego najbardziej mętnym wytworem.

W IPN znaleźli zatrudnienie nominaci partii Kaczyńskiego pozbawieni stołków przez obecną koalicję. Agnieszka Kamińska, była prezeska Polskiego Radia w czasach PiS, została dyrektorką Centralnego Przystanku Historia im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Marcin Zarzecki, były prezes Polskiej Fundacji Narodowej, został jej zastępcą, a były wojewoda pomorski Dariusz Drelich – zastępcą dyrektora Biura Administracyjno-Gospodarczego w IPN.

Zatrudnieni w instytucie ludzie mówią (oczywiście niejawnie), że Nawrocki potrafi docenić zaufanych, sowicie nagradzając ich licznymi premiami, co budzi nieujawniany publicznie sprzeciw większości pracowników instytutu.

IPN za Nawrockiego stracił resztki historycznego obiektywizmu. Dla jego ekipy nie do zaakceptowania jest sytuacja, że w IPN pracują historycy, którzy nie są zainteresowani jednostronnym oglądem historii. Dlatego też musiało dojść np. do konfliktu z pracownikami lubelskiego oddziału, którzy konflikt polsko-ukraiński postrzegali wieloaspektowo. Pozbycie się dr. Sławomira Poleszaka jest tego najlepszym dowodem. Zrobiono to w tak niezgodny z prawem sposób, że sąd uznał jego zwolnienie za bezpodstawne.

Ludzi, którzy swoimi zainteresowaniami badawczymi nie mieścili się w wizji instytutu, pozbywano się wszelkimi sposobami, pod różnymi pretekstami. Przykładem jest chociażby Michał Siedziako, który opublikował swoją książkę w wydawnictwie niezwiązanym z IPN.

Nawrocki twórczo kontynuował demolowanie pomników dokumentujących szlak bojowy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Z nieukrywaną dumą i satysfakcją przemawiał na spotkaniach, podczas których je niszczono. Słowa „komuniści, zdrajcy, PZPR" wyrzucał z siebie niemalże w co drugim zdaniu. Tak było np. w Nowogardzie, gdzie stał Pomnik Braterstwa Broni. Nawrockiemu nie przeszkadzało, że do takiego wydarzenia dochodzi w mieście, które przez wieki nazywało się Naugard, i które w granicach Polski znalazło się w wyniku owego braterstwa.

Wiele materiału do tego, jak Nawrocki kierował IPN, dostarczyła NIK. Z jej raportu można się dowiedzieć, że postępował z naruszeniem przepisów prawa. Kontrolujący stwierdzili, że co czwarta złotówka jest w IPN wydawana w sposób niegospodarny. NIK zarzuciła

eprasa.pl 28df70e0c3

HISTORIA BEZ IPN

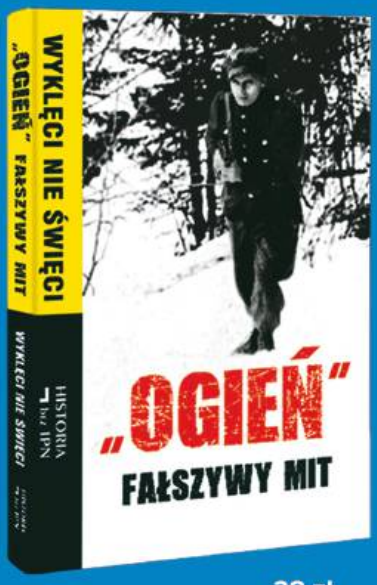

38 zł

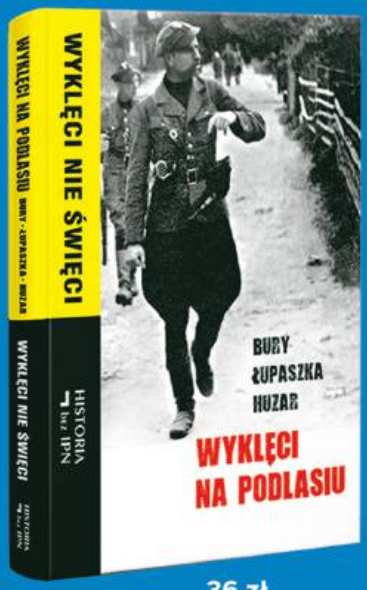

36 zł

35 zł

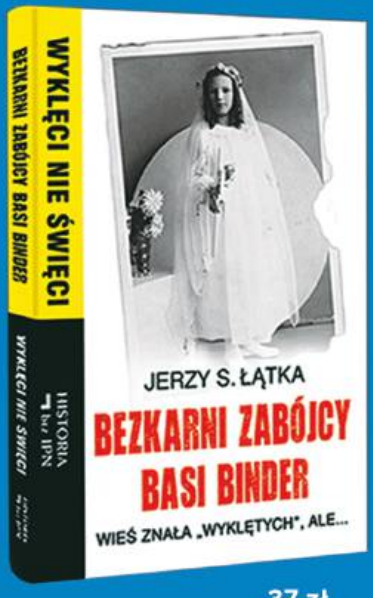

37 zł

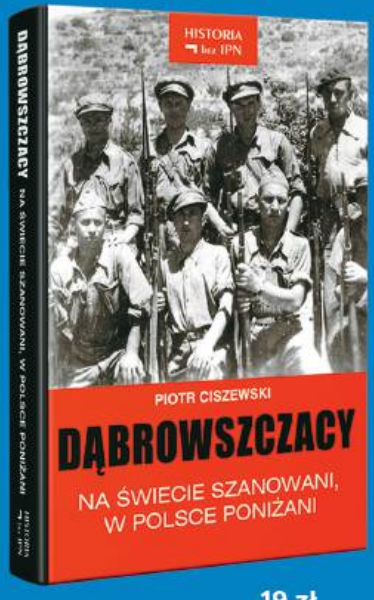

19 zł

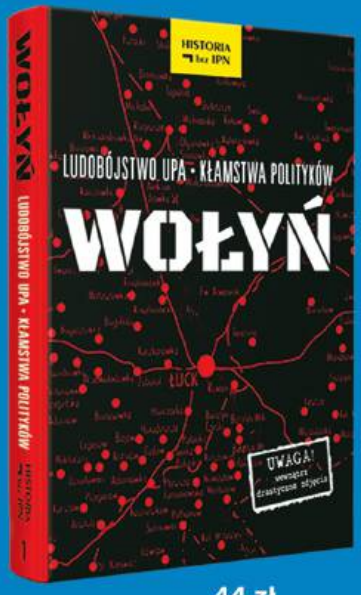

44 zł

e-book 15 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

Przegląd

eprasa.pl 28df70e0c3

Nawrockiemu nie tylko to, że za darmo korzystał z pokoju gościnnego IPN, ale i to, że podlegli mu i ściągnięci z Gdańska dyrektorzy zlecali różne czynności firmom swoich znajomych. A Centralny Przystanek Historia? Koszty jego utworzenia i funkcjonowania przekraczają granice rozsądku. Raport NIK poddawany jest analizie pod kątem tego, które przewiny Nawrockiego podlegają zawiadomieniu do prokuratora.

Karol Nawrocki archiwum IPN nazywa „sercem instytutu". Archiwiści stanowią dominującą grupę wśród zatrudnionych, ale nawet tak liczna ich rzesza nie jest w stanie wypełniać nałożonych na nich, z mocy ustawy, obowiązków lustracji ludzi piastujących funkcje przedstawicielskie, począwszy od radnych po parlamentarzystów. W IPN zgromadzonych jest prawie 400 tys. (!) niesprawdzonych oświadczeń lustracyjnych. Ich weryfikacja zajmie ponad 20 lat. Lustracji w obecnym kształcie trzeba zaniechać, choćby z racji wieku potencjalnych współpracowników służb specjalnych. No, ale zarówno prezes, jak i ludzie o mentalności IPN, lubują się w grzebaniu w cudzych życiorysach.

IPN chwali się organizacją licznych kongresów. Za czasów Nawrockiego instytut dołożył starań (czytaj: wydał masę pieniędzy) na organizację w Warszawie Kongresu Pamięci Narodowej. Była to impreza zrobiona przez swoich dla swoich. Wśród panelistów trudno było znaleźć historyków, którzy mają niekwestionowany dorobek naukowy, a historii nie traktują jako propagandy. Dla nich na kongresie miejsca nie było, nawet dla tych, którzy są w IPN, jak Jerzy Eisler.

Prawda jest również taka, że mimo wysokich gratyfikacji coraz więcej historyków stroni od IPN, a nawet zaczyna pokazywać szkodliwą działalność tej instytucji. I nie są to tylko teksty rozliczeniowe, jak książka Antoniego Dudka, kiedyś prominentnego człowieka instytutu, dziś popularyzowanego krytyka Nawrockiego. Są to też prace Adama Leszczyńskiego, Krzysztofa Jakubowskiego i Piotra Majewskiego, ukazujące bezkrytyczną gloryfikację „żołnierzy wyklętych".

Budżet i zatrudnienie w IPN

Rok	Budżet (w mln zł)	Zatrudnienie
2000	78,550	145
2001	84,694	649
2002	83,586	1 189
2005	95,287	1 209
2007	207,788	1 779
2008	209,275	2 109
2013	245,455	2 093
2018	363, 288	2 463
2020	398,526	2 541
2021	379,474	2 486
2022	435,908	2 473
2023	544,919	2 493
2024	581	niespełna 2 500
2025	583	jw.

Nawrockiemu nie przeszkadzało, że maleje liczba spraw, którymi zajmują się prokuratorzy IPN. Potencjalni oskarżeni wymierają, co nie wpływa na liczbę zatrudnionych prokuratorów, która w zasadzie się nie zmienia. Efekt ich obecnej pracy to średnio 10 postępowań i wniosków do sądu rocznie.

Krytycy Nawrockiego zarzucają mu także liczne podróże zagraniczne, które w niewielkim stopniu można uznać za zasadne.

Nawrocki jako prezydent będzie miał jeszcze większe możliwości oddziaływania na politykę historyczną. Jego kancelaria stanie się drugim IPN, właściwie Nad-IPN, nie tylko dlatego, że wielu ludzi przejdzie tam do pracy. Będzie zapewne wspierała (w tym finansowo) i współorganizowała imprezy IPN-owskie.

Budżet ponad miarę

PO miała okazję znacznie ograniczyć władztwo IPN, co zresztą zapowiadali czołowi jej działacze. Przede wszystkim chodziło o ukrócenie finansowania instytutu. I co? Pewnie plują sobie w brodę, bo nie dotrzymując przed- i powyborczych obietnic, przyczynili się do wzmocnienia pozycji Nawrockiego, wystawienia go przez PiS jako kandydata i do zwycięstwa nad Trzaskowskim.

W myśl obowiązującego ustawodawstwa IPN jest nie do ruszenia. Za Dudy zmiana ustawy regulacyjnej była nie do zrealizowania. Za Nawrockiego wręcz nie do pomyślenia. Nie ma też co myśleć o zmianie prawicowej polityki IPN. Jedynym orężem, jakim dysponuje koalicja rządząca, jest budżet.

Czy gdyby obciąć o połowę budżet IPN (dwa razy większy, niż ma PAN, prawie trzy razy większy niż ABW), stałoby się coś, co miałoby negatywny wpływ na losy Polaków i ich poglądy? Okrojone środki z budżetu IPN powinny iść na rozwój instytucji pokazujących inne oblicze historii Polski i Polaków. Odrzucające zero-jedynkowy ogląd przeszłości narodu.

Bilans IPN w żadnym wypadku nie może być oceniany jako dodatni. Trzeba jasno powiedzieć, że jest to ze wszech miar instytucja szkodliwa. Pytanie tylko, czy rozumieją to rządzący. Czy mają wolę ograniczenia, nie mówiąc już o likwidacji, działaności IPN? Bardzo wątpliwe. Wśród nich jest zbyt wielu weteranów (z premierem Donaldem Tuskiem i Grzegorzem Schetyną włącznie) walki z komuną, widzących w nim instytucję, która dokumentuje i podkreśla ich rolę w zmaganiach o wolną Polskę. To w znaczniej mierze na kombatanckiej przeszłości zrobili polityczne kariery.

Kto po Nawrockim

Wybór Nawrockiego na prezydenta RP automatycznie rodzi pytanie, kto po nim obejmie fotel prezesa IPN. Ustawa o IPN (art. 10 pkt 1) stanowi jednoznacznie, że na pięcioletnią kadencję „prezesa Instytutu Pamięci powołuje i odwołuje Sejm Rzeczypospolitej Polskiej za zgodą Senatu, na wniosek Kolegium Instytutu Pamięci, które zgłasza kandydata spoza swego grona". Dziewięcioosobowe Kolegium IPN – poza dwoma wybranymi przez Senat – Bartoszem Machalicą i Grzegorzem Motyką – to nominaci pisowsko-dudowi. Kadencja

eprasa.pl 28df70e0c3

tego kolegium skończy się dopiero w 2030 r. Czy można się spodziewać, że ludzie pokroju Andrzeja Nowaka, Wojciecha Polaka, Mieczysława Ryby, Bronisława Wildsteina czy Krzysztofa Wyszkowskiego wyłonią w konkursie i zgłoszą kogoś, kto nie będzie kontynuował linii PiS i Nawrockiego? Kogoś, kto będzie rzetelnym historykiem, a nie politykiem obsadzonym w tej roli?

Na medialnym rynku wymienia się trzy postacie. Jednym z kandydatów jest Jan Kasprzyk, były kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, od 2024 r. doradca Nawrockiego. Pozostali dwaj kandydaci to wiceprezesi IPN. Mateusz Szpytma związany jest z instytutem od początku jego istnienia, a stanowisko wiceszefa piastuje już ponad dziewięć lat. Karol Polejowski, w IPN od 2021 r. był/jest blisko Nawrockiego, jeszcze od czasów wspólnej bytności w Muzeum II Wojny Światowej. Na korytarzach w IPN mówi się, że to on został „namaszczony" przez lokatora w Belwederze. Czy to oznacza, że będzie wskazany przez kolegium? A może ktoś spoza tej trójki? Trudno orzec, ale jedno jest pewne. To będzie człowiek Nawrockiego.

W IPN jest jeszcze jeden wiceprezes, Krzysztof Szwagrzyk, ale nie tylko w centrali tej instytucji wiedzą, że panowie nie za bardzo za sobą przepadają. Szwagrzykowi nie odpowiada styl pracy prezesa – „do granicy brutalności".

Co będzie, gdy Sejm odrzuci wybrańca kolegium i kolejnych przez niego zgłaszanych? O tym też stanowi ustawa. Art. 10 pkt 2a brzmi: „W razie śmierci Prezesa Instytutu Pamięci, do czasu objęcia stanowiska przez nowo powołanego Prezesa Instytutu Pamięci, jego obowiązki pełni jeden z zastępców Prezesa Instytutu Pamięci wskazany przez Marszałka Sejmu". Co prawda, jest zapis o śmierci, ale prawnicy wywiodą myśl, że fraza „do czasu objęcia stanowiska" odnosi się również do zaistniałej sytuacji, wynikającej z rezultatu wyborów prezydenckich. Tak czy inaczej, formalnie rządził będzie nie dotychczasowy wiceprezes, ale de facto Karol Nawrocki. I tak może być latami.

Nawrocki wykorzystywał IPN do promocji własnej osoby i lansowania się w różnych środowiskach. Od polityków do kiboli.

Ale możliwy jest i taki scenariusz: w wyniku zakulisowych działań (jak kolacja Hołowni) może dojść do powtórzenia pewnego targu, transakcji wiązanej, jak ta polegająca na poparciu przez ówczesną opozycję kandydatury Nawrockiego na szefa IPN w zamian za akceptację przez PiS kandydatury wskazanego przez PSL Marcina Wiącka na RPO dwa i pół roku temu. Dziś PSL też chciałoby wpłynąć na wybór prezesa IPN, ale ma za mało szabel, by razem z PiS dokonać wyboru „swojego" kandydata.

IPN szczyci się wieloma publikacjami i osiągnięciami badawczymi, ale są one najczęściej jednowymiarowe i słabe warsztatowo. Do swoich największych osiągnięć zalicza działalność edukacyjną. Jak bardzo mija się to z rzeczywistością, pokazał Krzysztof Malicki, który przedstawił wyniki badań nad stanem wiedzy historycznej wśród młodzieży. A ten jest skandalicznie niski – młodzi w większości nie wychodzą poza dość prymitywne, IPN-owskie kalki myślowe. Niewielki wpływ instytutu na edukację, mimo ogromnych środków, jakimi dysponuje IPN, jest często wynikiem rozmijania się tego, co mówi on o przeszłości, z pamięcią społeczną, przekazywaną głównie w rodzinach. Ale przewin IPN jest znacznie więcej. I są one dużego kalibru.

IPN jest w gruncie rzeczy instytucją antynarodową, można, a nawet trzeba oskarżyć go o wiele rzeczy. Nieraz pisałem, że instytut, przyjmujac rolę policji historycznej, znacznie przyczynił się do podziałów w polskim społeczeństwie, nie tylko na tle oglądu przeszłości. Nasi następcy dr. Frankensteina, twórcy politycznego monstrum, niech wiedzą, że mają na sumieniu nie tylko sprawy takiego kalibru jak podział społeczeństwa czy wykoślawioną wizję historii PRL – spowodowali także, że wielu ludzi wręcz zaszczuto. Oskarżając – bez dowodów i wyroków sądowych – o zbrodnicze, niegodne czyny, przyczynili się do odebrania wielu ludziom uposażeń emerytalnych, pozostawiając im głodowe środki do życia.

Najbliższe lata nic nie zmienią w tym, co będzie robił IPN. Został on ustawowo zabetonowany i będzie we wszelki sposób chroniony przez Nawrockiego w roli prezydenta.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2025

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

97,50 zł – IV kwartał

Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2025 r. w placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: **sklep.poczta-polska.pl**

eprasa.pl 28df70e0c3

BANANY NA OLIMPIE

NIE MA TAKICH UNIJNYCH DOTACJI, KTÓRYCH NIE DAŁOBY SIĘ PRZEWALIĆ

Marek Czarkowski

Skandal związany z wydatkowaniem pieniędzy w ramach Krajowego Planu Odbudowy wstrząsnął polską polityką. Najwięcej emocji wzbudziły informacje o sfinansowaniu ze środków unijnych i pożyczek zakupu jachtów przez prywatnych przedsiębiorców działających w sektorze HoReCa (skrót od Hotel, Restaurant, Catering). W mediach społecznościowych zaroiło się od komentarzy w stylu: „Twoje pieniądze – ich luksusy. Pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy zamiast na rozwój Polski trafiają m.in. na jachty, sauny, solaria i… Muzeum Ziemniaka", „Ponad 400 tys. zł na zakup odżywczego piwa bezalkoholowego o szczególnych walorach smakowych. Mają rozmach s...syny".

Wściekłość była tym większa, że odpowiedzialna za realizację KPO ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz dowodziła, jakim ogromnym sukcesem jest program. Chwaliła się, że w ciągu półtora roku podpisano ponad 824 tys. umów o wartości ponad 106 mld zł i uruchomiono konkursy na ponad 97% budżetu całego programu.

W charakterze kozła ofiarnego wystąpiła zdymisjonowana z końcem lipca szefowa Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości Katarzyna Duber-Stachurska. To jej agencja miała pilnować podziału pieniędzy dla hotelarzy i restauratorów. Duber-Stachurska twierdziła, że resort funduszy o wszystkim wiedział. Także o możliwości zakupu łodzi motorowych. Podkreśliła też, że to nie PARP ustalała kryteria przyznawania dotacji i zatwierdzała procedury i regulaminy obowiązujące w KPO.

KRAJ

Dotacje unijne – sposób na życie

Od 2007 r. na badania i rozwój prywatne spółki otrzymały miliardy złotych dotacji unijnych. Jeśli dzięki nim zarobiły, nie musiały zyskiem dzielić się z państwem

Marek Czarkowski

24 sierpnia br. o godz. 9 wielu małych przedsiębiorców z Wielkopol- także nie próżnowano. Otrzymali je ci, który byli pierwsi. Przy czym kasa była znacznie większa niż w 2020 r. w gospodarnej Wielkopolsce. Rzecz jasna, w 2009 r. nie starczyło dla alnie dobrać rodzaj fryzury. Pobożny student programista, zarabiający na umowy-zlecenia 5-7 tys. zł, mógł się wzbogacić o kilkaset tysięcy złotych, jeśli dobrze udokumentował

Politycy Prawa i Sprawiedliwości natychmiast ogłosili, że to „największa afera rządu Tuska". Wywołany do tablicy premier obiecał wyjaśnienie sprawy i zero tolerancji dla cwaniaków.

Rafał Brzoska, szef InPostu, do niedawna bliski współpracownik Tuska w kwestii deregulacji gospodarki, napisał: „KPO = Koniec Programu Odbudowy. Żal, że tak ważny dla Polski i polskiej gospodarki oraz inwestycji program kończy w taki sposób, bo chyba nikt nie ma już wątpliwości, że to koniec". Brzmiało to dramatycznie, lecz było dużą przesadą. Nikt łatwo nie rezygnuje z ok. 260 mld zł.

Nic nowego

Dla redakcji tygodnika „Przegląd" afera z jachtami i klubem swingersów nie była zaskoczeniem. Wiedzieliśmy, że coś podobnego musi się wydarzyć, gdyż opisywaniem patologii związanych z dotacjami unijnymi zajmujemy się od 2013 r. W tym czasie opublikowaliśmy kilkadziesiąt artykułów na temat dwóch wybitnych „lodziarni": Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Opisaliśmy m.in. historię trzech spółek należących do małżeństwa T.: OKO-MEDICA, Bopol oraz Oko-Vita, które w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka otrzymały dotacje na łączną kwotę ponad 53 mln zł. Za te pieniądze miała powstać linia do produkcji soczewek w Białymstoku oraz ośrodek okulistyczny w Bydgoszczy. Przedsiębiorcy rozpoczęli inwestycję w 2012 r. od budowy we wsi Kikół pod Toruniem… małpiarni, która miała być częścią laboratorium naukowo-badawczego.

Zwrot akcji nastąpił 14 marca 2013 r., gdy w jednej ze stołecznych prokuratur zjawiła się Elżbieta T. i złożyła doniesienie o popełnieniu przestępstwa przez jej męża Piotra T., który wyprowadził z należących do nich spółek kwotę ok. 8,444 mln zł.

Ślad pana Piotra prowadził na Cypr, gdzie podobno widziano go w towarzystwie młodej partnerki. Jak zauważył jeden ze znajomych pary, przedsiębiorca „zamienił Zieloną Wyspę na Wyspę Afrodyty". A we wsi Kikół wciąż ziały wykopy pod fundamenty i walały się butelki po piwie. Pracownicy białostockiej Regionalnej Instytucji Finansującej (obecnie Dział Zarządzania Projektami), którzy w 2013 r. dostali się na teren budowy fabryki soczewek, zobaczyli tam jedynie zdewastowany budynek.

W Biłgoraju działała z kolei spółka TimberOne, której właścicielem,

eprasa.pl 28df70e0c3

Była prezes PARP Katarzyna Duber-Stachurska twierdziła, że to nie agencja ustalała kryteria przyznawania dotacji i zatwierdzała procedury obowiązujące w KPO. Białystok, 11 grudnia 2024 r.

jeśli wierzyć KRS, była inna spółka, ECO-Pellets. W 2008 r. ECO-Pellets (lub według innych danych rządowych TimberOne) zawarła z PARP umowę na realizację projektu „Zintegrowana, ekologiczna technologia energooszczędnego przerobu drewna poprzez stworzenie nowego zakładu produkcyjnego w Biłgoraju".

Umowna dotacja to 39 994 870,50 zł. Wartość inwestycji oszacowano na ponad 200 mln zł. Za te pieniądze miał podobno powstać… supernowoczesny tartak.

W prasie pojawiły się tytuły: „TimberOne – nowy gracz na polskim rynku drzewnym", a prezesi udzielali wywiadów, w których chwalili się planami podboju zachodnich rynków. W połowie grudnia 2011 r. zarząd jako megawiarygodny beneficjent unijnych dotacji ruszył jednak na podbój Catalyst, czyli rynku obligacji stołecznej Giełdy Papierów Wartościowych, i ściągnął z niego kilka milionów złotych. Prowadził też rozmowy z bankami, ich celem było uzyskanie kredytów.

W czerwcu 2012 r. spółka podpisała z PARP aneks do umowy przesuwający termin zakończenia inwestycji na 31 maja 2013 r. 10 kwietnia 2013 r. skończyło się rumakowanie. Prezes zarządu TimberOne Waldemar Wasiluk w liście do obligatariuszy napomknął: „Pomimo zakończonych Z SUKCESEM (podkreślenie M.C.) rozmów z bankami finansującymi oraz z Polską Agencją Rozwoju Przedsiębiorczości w zakresie współfinansowania projektu, złożyłem w dniu 28 marca 2013 r. wniosek o ogłoszenie upadłości likwidacyjnej Spółki". Potwierdził to Sąd Rejonowy w Zamościu postanowieniem z dnia 25 czerwca 2013 r. Gdy pytałem syndyka masy upadłościowej, co się stało z majątkiem spółki, wyraził zdziwienie: „Jakim majątkiem? Został tylko pusty plac".

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz chwaliła się, że w ciągu półtora roku podpisano ponad 824 tys. umów o wartości ponad 106 mld zł.

A kto dziś pamięta historię „polskiej Nokii", czyli spółki Kamitec, której prezes Arkadiusz Fenicki zapewniał w wywiadach, że „w roku 2015 będziemy warci 4 mld zł"? Umowa z PARP na „Wdrożenia technologii nagrodzonej w konkursie Polski Produkt Przyszłości" opiewała na ok. 19 mln zł. W połowie 2011 r. telefony Kamitecu stały się głuche, a nad upłynnieniem majątku „polskiej Nokii" pocił się syndyk.

Były też inne projekty. Na przykład spółka Engineo otrzymała wsparcie w wysokości 3 304 172,80 zł na „Stworzenie prototypu innowacyjnego, uniwersalnego pojazdu napędzanego ruchem mięśni". Zgadnijcie, co to było. Na tym nie koniec. W 2013 r. spółka przedstawiła światu elektryczny rower, który powstał dzięki dotacji w kwocie ok. 2,4 mln zł. To właściwie smart bike, gdyż nazwa projektu „AI BIKE – inteligentny rower elektryczny aktywnie wspierający bezpieczeństwo użytkownika" obiecuje więcej, niż możemy sobie wyobrazić.

Jeśli ktoś sądzi, że Izera, na którą rząd PiS wyłożył miliony, miała być pierwszym polskim samochodem elektrycznym – jest w błędzie. Ponad dekadę temu Agencja Rozwoju Regionalnego MARR SA z Mielca koordynowała budowę samochodu elektrycznego o nazwie ELV001. Dotacja przekroczyła 17 mln zł. Dziś to równowartość prawie 40 mln. Tytuł projektu: „Budowa rynku pojazdów elektrycznych, infrastruktury ich ładowania – podstawą bezpieczeństwa energetycznego". Powstał jeden egzemplarz ELV001, który kilka lat temu stał w jakimś magazynie na Podkarpaciu.

Swingersi, cyklometry i tęczowa turystyka

Jeśli dziś polityków, media i internet rozgrzewa informacja o właścicielu klubu swingersów, który otrzymał ok. 400 tys. zł w ramach KPO, to co powiedzieć o przyznaniu przez PARP ponad dekadę temu 435 776 zł na „stworzenie turystycznego serwisu internetowego skierowanego do mniejszości seksualnych" przez Lazy Gato Katarzyna Wołyniak?

W tym samym czasie spółka Ersoft Rafał Palacz za 462 455 zł realizowała

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

eprasa.pl 28df70e0c3

projekt pod nazwą „Wytworzenie narzędzia www.cyklometr.pl wspierającego proces naturalnego planowania rodziny”, czyli strony internetowej z kalendarzykiem małżeńskim.

Spółka E-urope, z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością i prawdopodobnie z wielkim poczuciem humoru, za 467 481 zł z PARP miała stworzyć „Platformę internetową, która dostarczać będzie użytkownikom prognozy życia ich zwierząt domowych”.

Podobnych projektów były tysiące, gdyż ponad dekadę temu PARP rozdawała średnio po 500 tys. zł na tworzenie stron internetowych. Dlatego dziś zakup w ramach KPO

Lepsi byli jedynie hodowcy kóz i owiec z Krety, którzy zgarnęli dotacje na 7 812 923 sztuki tych zwierząt. W znanej polskim turystom prefekturze Retimno zgłoszono 4,5 mln kopytnych. Z analiz wynikało, że gdyby te kozy i owce istniały, potrzebne byłoby 15,6 mln ha pastwisk. To dwukrotnie więcej niż powierzchnia całej Krety!

17 czerwca br. Agencja Reutera podała, że Komisja Europejska nałożyła na Ateny karę w wysokości 392,2 mln euro w związku z niewłaściwym zarządzaniem dopłatami rolnymi przez agencję rządową o nazwie OPEKEPE w latach 2016-2022.

przybytków nigdy nie przyjęła ani jednego strudzonego wędrowca.

Bułgarska ministra rolnictwa Desisława Tanewa przyznała przed kamerą, że 60% wnioskodawców okłamuje rząd. „Niektórzy deklarują 10 tys. ha upraw warzyw, pola pozostają puste, a dotacje są wypłacane”, mówiła. To samo działo się w sąsiedniej Rumunii.

Nawet niegdyś porządni Niemcy nie oparli się pokusom. Wydali 480 tys. euro na spermę koguta w celu poprawy hodowli drobiu, 253 tys. euro na poprawę smaku piwa dzięki ulepszonym metodom filtrowania i 923 tys. euro na karmę dla kotów i psów dostosowaną do ich potrzeb.

Europejski Trybunał Obrachunkowy szacował, że tylko w 2017 r. Unia Europejska „nieprawidłowo” wydała ponad 3,3 mld euro.

W 2008 r. ECO-Pellets otrzymała 39 994 870,50 zł dotacji. Wartość inwestycji oszacowano na ponad 200 mln zł. Za te pieniądze miał powstać… supernowoczesny tartak.

ponad 100 jachtów i katamaranów przez hotelarzy i restauratorów – dotacja średnio to znowu 500 tys. zł – przy tamtych szaleństwach wydaje się drobiazgiem.

Premier Donald Tusk i ministra Pełczyńska-Nałęcz nie pojmują, że wspaniałość unijnych dotacji kryje się w ich skali. Jeśli dotychczas w ramach KPO podpisano ponad 824 tys. umów, to nie ma nad Wisłą instytucji, która byłaby w stanie skontrolować ich realizację. Okazuje się, że politycy, bez względu na swoje umaszczenie, wręcz zachęcają „przedsiębiorczość zorganizowaną” do ordynarnego tuczenia się na unijnych dotacjach.

Jak to się robi w Grecji i nie tylko

Jak ustaliła Prokuratura Europejska, w Grecji po dotację unijną zgłosili się właściciele plantacji bananów na Olimpie. W Atenach nikogo ten fakt nie zdziwił, choć wiadomo, że na wysokości 1800 m uprawę roślin tropikalnych uniemożliwiają mroźne zimy.

Odkryto także wniosek rolników z Argolidy na półwyspie Peloponeskim, o dotację do rosnących tylko przez rok pomarańczy, uprawianych na 80 tys. ha. Z owoców tych miało powstać 56 tys. ton soku.

Nie gorsi okazali się Włosi. Na Sycylii mafia działająca w górach Nebrodi wyłudziła minimum 10 mln euro za dzierżawę terenów, które miały być „rolne”. Mafiosi przekupywali lokalnych urzędników i zmuszali właścicieli gruntów do podpisania umów dzierżawnych. Płacili im po 36,4 euro od hektara, a dotacje unijne, które pobierali, szły w miliony. Zarabiali nawet na działce należącej do US Army!

I dalej: w liczącej 130 mieszkańców wiosce Castelpizzuto wydano dotację – 300 tys. euro – na dokończenie budowy obserwatorium astronomicznego; w leżącej w dolinie Val di Susa wiosce Exilles 240 mieszkańców zostało uszczęśliwionych Muzeum Grappy (włoskiej wódki produkowanej z winogron) za kwotę 199 tys. euro. Muzeum Ziemniaka zatem to nic nowego.

We Francji, na Korsyce, popularny był przekręt na fikcyjne gospodarstwa. Media pisały o 86-letniej matce rolniczego związkowca, która miała sama prowadzić farmę ze 180 krowami.

W Bułgarii w latach 2007-2019 101 mln euro poszło na 746 prowincjonalnych rodzinnych hoteli. Beneficjenci mieli je prowadzić przez co najmniej pięć lat, lecz większość tych

Kradną, bo mogą

W relacjach między rządami państw unijnych i Komisją Europejską obowiązuje zasada win-win, co oznacza, że obie strony mają uzyskać korzyści i być zadowolone. Dlatego wszelkie nieprawidłowości zamiata się pod dywan.

W Polsce urzędników trudniących się rozdawnictwem środków unijnych rozlicza się z „alokacji” pieniędzy, czyli z tego, jak szybko dzielą kasę, a nie z tego, czy dotowane projekty mają sens.

Pamiętam historię projektu „Nano Beton przyszłością polskiego budownictwa”. Na jego realizację pewien biznesmen otrzymał ok. 20 mln zł. W literaturze technicznej nanobeton definiuje się jako beton, w którym zastosowano cement o ziarnach mniejszych niż ok. 500 nm. Tymczasem przedsiębiorca kupił betoniarnię i uczciwie produkował zwykły beton. PARP się wściekła. Sprawa trafiła do prokuratury, a potem na wokandę. Sąd oczyścił biznesmena z zarzutu wyłudzenia. Jego adwokat dowiódł, że „nano beton” to nazwa handlowa.

Jeśli pieniądze unijne miałyby być przeznaczane tylko na innowacyjne, dobrze rokujące projekty, to nad Wisłą nie byłoby komu ich dawać. Nasza gospodarka nie potrzebuje nowinek. I politycy bardzo dobrze to wiedzą.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 28df70e0c3

Z Galicji

Jan Widacki

Idą ciekawe czasy

Ile rząd dotrzyma do końca kadencji, czekają nas dwa lata szarpanej kohabitacji. Prezydent już w pierwszym orędziu, wygłoszonym po złożeniu ślubowania, dał jasno do zrozumienia, że rząd, a szczególnie premier Tusk, nie może liczyć na współpracę z nim. Zarówno z orędzia, jak i z innych wystąpień publicznych prezydenta, tych z czasów kampanii wyborczej oraz tych, które miały miejsce po objęciu urzędu, wynika też jasno, że będzie on, podobnie jak kiedyś Lech Wałęsa, starał się poszerzać zakres swoich kompetencji, co już samo przez się stanowić będzie wystarczającą przyczynę konfliktu. Wedle polskiej konstytucji prezydent, choć wybierany w wyborach powszechnych, ma kompetencje stosunkowo niewielkie, za to „władzę szkodzenia" ogromną.

Może wetować ustawy, a w sytuacji, gdy koalicja rządząca nie ma większości pozwalającej na odrzucenie weta, może skutecznie blokować, paraliżować ustawodawcze działanie koalicji. Prezydent zgodnie z konstytucją mianuje ambasadorów, sędziów, profesorów i generałów. Może więc albo ich nie mianować wcale, albo mianować wybiórczo, wedle partyjnego klucza. Może zatem rozwalić albo upartyjnić dyplomację, sądownictwo, naukę czy dowództwo wojska. W dodatku może to robić zupełnie bezkarnie, bo rządząca koalicja ma za mało głosów, by postawić prezydenta przed Trybunałem Stanu. A nawet gdyby taką większość miała, na czele Trybunału Stanu stoi nieuznawana przez rząd i znaczną część sędziów przyjaciółka poprzedniego prezydenta, neosędzia Małgorzata Manowska.

Prezydent ma inicjatywę ustawodawczą i może składać do Sejmu projekty ustaw. Przy obecnej większości sejmowej jego projekty mają małą szansę na uchwalenie. Teoretycznie premier mógłby negocjować z prezydentem i dobić targu: ty podpiszesz naszą ustawę, my ci uchwalimy twoją… Pomijając już kłopotliwość takiej procedury, trzeba by założyć, że prezydentowi rzeczywiście zależałoby na tym, aby jego projekty ustaw przechodziły w Sejmie. Obawiam się, że prezydencka inicjatywa ustawodawcza będzie jednak kolejnym narzędziem jego walki z rządem. Może on wnosić populistyczne projekty ustaw, które ludowi się spodobają, ale będą zupełnie nierealne i niewykonalne. Sejm w poczuciu odpowiedzialności za państwo będzie je odrzucał, prezydent będzie grzmiał, że rządząca większość działa przeciw narodowi, a naród będzie się oburzał na rząd. Jakkolwiek by na to patrzeć, rząd w wielu kwestiach będzie miał związane ręce, skuteczne działanie zostanie mu uniemożliwione, prawicowa opozycja będzie go oskarżała o nieudolność.

Nie wiem, czy w tych warunkach rząd dowlecze się do końca kadencji, a już zupełnie nie mam pojęcia, co musiałoby się stać, aby rządząca dziś koalicja wygrała następne wybory. Może jednak coś tak niewyobrażalnego się stanie. Czasem historia zaskakuje czymś niespodziewanym.

Nie dość, że mamy kłopoty w kraju, to sytuacja międzynarodowa też nie jest dobra. Piszę te słowa trzy dni przed spotkaniem Trumpa z Putinem. W założeniu ma ono doprowadzić do zakończenia konfliktu w Ukrainie. Chcielibyśmy wszyscy, aby ta wojna, przynosząca śmierć i cierpienie tysiącom ludzi, niszcząca majątek narodowy Ukrainy i dorobek życiowy tysięcy jej mieszkańców, wreszcie się zakończyła. Czy tak się stanie? A jeśli tak, to na jakich warunkach? Czy o losach dużego narodu europejskiego zadecydować mają dwaj przywódcy mocarstw, z których jeden jest agresorem? Dwaj przywódcy mocarstw mają zadecydować o Ukrainie w rozmowach toczonych bez jej udziału? Byłby to bardzo niedobry precedens. Putin z Trumpem każą Ukraińcom zrzec się Krymu, Donbasu, dostępu do Morza Azowskiego? Ograniczą Ukrainie swobodę w polityce zagranicznej? Zredukują jej liczbę wojska? Tyle będzie kosztował pokój? Jest on rzeczą cenną, ale czy stawka nie będzie za wysoka? Wygląda na to, że Trump pomaga Putinowi w zmuszeniu Ukrainy do kapitulacji. Dziś za pokój trzeba oddać coś około jednej piątej terytorium Ukrainy. Oby jutro za pokój nie trzeba było oddać przesmyku suwalskiego.

Niektórzy porównują spotkanie na Alasce (na razie nie wiadomo jeszcze, gdzie konkretnie się odbędzie) do spotkania w Jałcie. Podejrzewają, że Trump z Putinem nie tylko będą rozmawiać o Ukrainie, ale może zechcą na nowo określić swoje strefy wpływu. W wymiarze strategicznym konkurentem dla USA nie jest Rosja ze swoją rachityczną gospodarką, lecz Chiny. Rosja czuje, że krok po kroku staje się coraz bardziej wasalem Chin i ta rola chyba nie bardzo jej odpowiada. Zaostrzanie konfliktu między USA i Chinami z całą pewnością jest jej na rękę.

A na dodatek w całej Europie budzą się nacjonalizmy; ich oczywistą konsekwencją będą lokalne konflikty, zrazu polityczne, ale kto wie, czy w dłuższej perspektywie nie zbrojne. Naprawdę idą ciekawe czasy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

Polityczni kontrolerzy

Najwyższa Izba Kontroli to najbardziej upartyjniona instytucja państwowa

Andrzej Sikorski

Janusz Wojciechowski, gdy przestał być prezesem NIK, wrócił do polityki. Zwieńczeniem jego kariery był stołek komisarza UE ds. rolnictwa.

30 sierpnia 2025 r. kończy się kadencja Mariana Banasia na stanowisku prezesa Najwyższej Izby Kontroli, więc rządząca koalicja wkrótce wybierze jego następcę. Wszystko wskazuje na to, że zaszczytna posada przypadnie 47-letniemu Mariuszowi Hałady jowi, obecnemu szefowi Prokuratorii Generalnej, który został powołany na to stanowisko w 2019 r. przez premiera Mateusza Morawieckiego. Hałady j wcześniej był wiceministrem gospodarki w rządzie PO-PSL i wiceministrem w resortach rozwoju oraz przedsiębiorczości i technologii w rządzie PiS, więc ma szerokie kontakty polityczne. Okazuje się, że jego kandydaturę zaproponował premierowi Szymon Hołownia, jednak bez porozumienia ze wszystkimi ugrupowaniami koalicji rządowej.

Czy marszałek Sejmu uzgadniał kandydaturę Hałady ja podczas tajnych spotkań z Jarosławem Kaczyńskim, tego nie udało mi się potwierdzić, aczkolwiek według krążącej plotki mogło tak być. Coś musi być na rzeczy, bo choć PiS zgłosiło Tadeusza Dziubę jako swojego kandydata na prezesa NIK, to zdaniem Lecha Wałęsy (który wystosował apel do Donalda Tuska) „nie można pozwolić na wybór nowego prezesa NIK z dwóch zaproponowanych kandydatów, którzy tak naprawdę są ukrytą opcją Kaczyńskiego".

Szymon Hołownia zdaje sobie sprawę z tego, że jego polityczna przyszłość jest niepewna. Zaczął więc obsadzać NIK swoimi ludźmi. Dogadał się z Marianem Banasiem, a ten w grudniu 2023 r. na stanowisko wiceprezesa NIK powołał Jacka Kozłowskiego, byłego wojewodę mazowieckiego i wpływowego polityka Platformy Obywatelskiej, który przeszedł na stronę Polski 2050 (został wiceprzewodniczącym partii i skarbnikiem).

Apolityczna fikcja

Zgodnie z prawem prezes NIK i jego zastępcy nie mogą należeć do partii politycznej. Podobne ograniczenia obejmują dyrektorów, wicedyrektorów, doradców prezesa i doradców prawnych, ekonomicznych i technicznych, czyli osoby nadzorujące i wykonujące czynności kontrolne. Tymczasem prawie wszyscy prezesi i wiceprezesi byli politykami, którzy legitymacje partyjne chowali do szuflad, przechodząc do NIK. Nie oznaczało to jednak, że natychmiast stawali się apolityczni.

Marian Banaś, zanim został w 2019 r. szefem NIK, mógł się poszczycić bogatą karierą polityczną. W PRL działał w opozycji, potem doradzał Antoniemu Macierewiczowi, gdy ten był szefem MSW w rządzie Jana Olszewskiego. Kilkukrotnie bez powodzenia startował w wyborach parlamentarnych i samorządowych, m.in. z listy Bloku dla Polski, Akcji Wyborczej Solidarność, Ligi Polskich Rodzin oraz Prawa i Sprawiedliwości. W pierwszym rządzie PiS Banaś był wiceministrem finansów i szefem Służby Celnej. W rządzie Beaty Szydło ponownie został wiceministrem finansów i szefem Krajowej Administracji Skarbowej, a w gabinecie Mateusza Morawieckiego awansował na ministra finansów.

Cała Polska usłyszała o Banasiu, gdy w 2019 r. partia Jarosława Kaczyńskiego pośpiesznie ulokowała go na stołku prezesa NIK, mimo że Centralne Biuro Antykorupcyjne miało zastrzeżenia co do jego oświadczeń majątkowych. Potem

eprasa.pl 28df70e0c3

wyemitowano reportaż Superwizjera TVN 24 o związkach Banasia ze światem przestępczym. Ale dla PiS Banaś był człowiekiem kryształowym. Po jakimś czasie Jarosław Kaczyński zmienił zdanie i zażądał od partyjnego pomazańca, aby złożył rezygnację, czego ten oczywiście nie zrobił. I z dnia na dzień stał się nieprzejednanym wrogiem swojego obozu politycznego.

NIK to fenomen na skalę światową. Apolityczna instytucja jest obsadzana przez polityków od lewa do prawa, ich pociotków i znajomych.

NIK stanowi fenomen na skalę światową. W założeniu apolityczna i fachowa instytucja jest obsadzana politykami różnych partii od lewa do prawa, ich pociotkami i znajomymi.

III RP dostała w spadku po PRL jako prezesa NIK gen. Tadeusza Hupałowskiego. Zastąpić go chcieli czynni politycy, m.in. senator Zbigniew Romaszewski, poseł PSL Wiesław Woda i reprezentująca Polską Unię Socjaldemokratyczną posłanka Wiesława Ziółkowska. Ostatecznie parlament wybrał Waleriana Pańkę, związanego z Solidarnością posła Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Pańko zginął jednak w wypadku samochodowym, a jego następcą został w lutym 1992 r. Lech Kaczyński. Końca sześcioletniej kadencji jednak nie doczekał, bo w 1995 r. głosami ówczesnej koalicji SLD-PSL odwołano go przy sprzeciwie prawicy, która krzyczała o politycznym zamachu na niezależną instytucję kontrolną. Miejsce Kaczyńskiego zajął Janusz Wojciechowski, poseł ludowców i podsekretarz stanu w Urzędzie Rady Ministrów.

Desant PSL

Wojciechowski szybko zaczął spłacać polityczne długi. Stanowiska w NIK przypadły politykom Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wiceprezesem NIK został Zbigniew Wesołowski, wieloletni działacz Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego ze Szczecina, wiceminister edukacji w rządach Mieczysława Rakowskiego i Tadeusza Mazowieckiego. Lech Kaczyński tak mówił o kulisach zatrudnienia Wesołowskiego: „Naciskał na mnie marszałek Sejmu Józef Zych z PSL. Mówił, że ruch ludowy zawsze miał wiceprezesa NIK. Przyznaję, poszedłem na kompromis. Wesołowski dostał etat doradcy i samodzielny pokój. Wszyscy byli zadowoleni. Wiceprezesem został, gdy odszedłem".

Na czele Departamentu Kadr i Szkolenia Wojciechowski ulokował byłego posła Zdzisława Zambrzyckiego, w latach 80. prezesa Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, członka władz ZSL. Marcinowi Skrokowi, wieloletniemu pracownikowi wydziału organizacyjnego Naczelnego Komitetu ZSL i klubu parlamentarnego PSL, przypadł stołek dyrektora Departamentu Organizacyjnego. Grażyna Kotowicz, wójt gminy Łużna i posłanka PSL, została główną specjalistką w Departamencie Kontroli Doraźnych. Rzecznikiem prasowym NIK i swoim doradcą Wojciechowski mianował Przemysława Szustakiewicza, świeżo upieczonego absolwenta prawa, syna Stefana Szustakiewicza, skierniewickiego działacza ZSL i prokuratora.

„Starzy" pracownicy NIK żartowali, że izbą rządzi „trójkąt bermudzki": Rawa Mazowiecka-Tomaszów-Sochaczew. Prezes Wojciechowski ściągnął do pracy na eksponowane stanowiska ludzi, których poznał, gdy był sędzią na tym terenie. Na przykład prokurator ze Skierniewic Tomasz Staniszewski został dyrektorem Departamentu Prawnego. Z kolei dla Andrzeja Olejnika, przewodniczącego rady miejskiej w Sochaczewie, byłego prokuratora i sędziego, Wojciechowski utworzył Departament Kontroli Doraźnych i mianował go dyrektorem.

Barwne towarzystwo

W 2001 r. koalicja AWS-UW zainstalowała w fotelu prezesa NIK posła Mirosława Sekułę. Ówczesny marszałek Sejmu Maciej Płażyński powiedział, że w NIK musi się znaleźć miejsce dla 100 nowych ludzi. Złośliwi mówili, że Sekuła był tylko marionetką. Karty rozdawał wiceprezes NIK Krzysztof Szwedowski, zaufany człowiek Mariana Krzaklewskiego. Szwedowski do NIK przyszedł z Urzędu Ochrony Państwa, gdzie był wiceszefem. On z kolei ściągnął desant byłych funkcjonariuszy służb, takich jak specjalista od prawa kanonicznego gen. Marek Bieńkowski, za rządów AWS komendant główny Straży Granicznej. Pracę w NIK dostało wielu działaczy i polityków, m.in. Edmund Sroka, były poseł AWS, przewodniczący rady miasta i prezydent Rudy Śląskiej, czy Grzegorz Walendzik, były poseł, radny i prezydent Starachowic.

Lech Wałęsa: „Nie można pozwolić na wybór nowego prezesa NIK z dwóch zaproponowanych kandydatów, którzy są ukrytą opcją Kaczyńskiego".

Po zakończeniu pracy w NIK Mirosław Sekuła wrócił do polityki. Został posłem PO, a w 2011 r. premier Donald Tusk powołał go na wiceministra finansów. Potem Sekuła był marszałkiem województwa śląskiego. W ostatnich wyborach bez powodzenia starał się o mandat poselski z list Trzeciej Drogi.

W 2007 r. prezesem NIK został namaszczony przez PiS Jacek Jezierski. Co prawda, nie należał do partii, ale kolegował się z Lechem Kaczyńskim. Aby Jezierski nie czuł się zbyt swobodnie, dostał politycznych zastępców: Józefa Górnego – byłego posła AWS, Stanisława Jarosza – byłego radnego i burmistrza Międzyrzeca Podlaskiego, senatora AWS, Jacka

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN

eprasa.pl 28df70e0c3

Kościelniaka – byłego posła PiS, ministra w kancelarii premiera Jarosława Kaczyńskiego, oraz Marka Zająkałę – wiceministra obrony w rządzie PiS. Dyrektorem generalnym NIK został Marek Chodkiewicz, były pisowski wiceszef Służby Wywiadu Wojskowego, wcześniej urzędnik stołecznego ratusza.

Posadę w NIK dostał były poseł Samoobrony Józef Cepil, który w przyśpieszonych wyborach parlamentarnych w 2007 r. nie zdobył mandatu. W czasach PRL Cepil pracował jako ślusarz w Hucie im. Lenina w Krakowie i kierował gminnym zarządem Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Nowym Korczynie. Działał w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, potem związał się z Polskim Stronnictwem Ludowym, skąd przeszedł do Samoobrony. Dwukrotnie, w latach 2001 i 2005, dostawał się do Sejmu. W 2006 r. pokłócił się z Andrzejem Lepperem. Następnie założył partię Ruch Ludowo-Narodowy, którą porzucił, po czym wstąpił do Prawa i Sprawiedliwości.

Marny uczeń i wujek dobra rada

Chociaż wszyscy prezesi NIK byli z rozdania politycznego i zatrudniali działaczy partyjnych oraz krewnych i znajomych królika, to tylko Krzysztof Kwiatkowski, prezes NIK w latach 2013-2019, miał z tego powodu problemy i znalazł się na ławie oskarżonych. Sprawa wyszła przypadkiem, przy okazji rozpracowywania przez CBA i prokuraturę tzw. afery podkarpackiej. Dzięki podsłuchom telefonicznym śledczy dowiedzieli się, że Kwiatkowski wspólnie z szefem klubu parlamentarnego PSL Janem Burym ustawiali konkursy na stanowiska dyrektorskie w NIK. Z podsłuchanych rozmów wynikało też, że pracę w NIK dostały osoby polecone przez posłankę Julię Piterę i Jolantę Gruszkę, szefową gabinetu politycznego premier Ewy Kopacz. Pracę w NIK dostał nawet mąż Iwony Sulik, rzeczniczki rządu i przyjaciółki pani premier.

> Prawie wszyscy prezesi byli politykami, którzy legitymacje partyjne chowali do szuflad, przechodząc do NIK.

Znamienne, że po wybuchu afery z ustawianiem konkursów Janusz Wojciechowski nie oburzył się na naganne i sprzeczne z prawem postępowanie Krzysztofa Kwiatkowskiego. Na swoim blogu napisał: „A mówiłem, gdy w 2009 r. Platforma ustawę o NIK głupio zmieniała – (…) nie zapętlać się z tymi piętrowymi, udziwnionymi konkursami na dyrektorów, bo będą kłopoty! Ja mówiłem... mówił przede wszystkim Prezydent Lech Kaczyński, też były prezes NIK, bardzo krytyczny wobec tych zmian. Prezes NIK ponosi konstytucyjną odpowiedzialność za Izbę i za kontrole w państwie. NIK powinien też ponosić pełną konstytucyjną odpowiedzialność za dobór kadry kierowniczej, z którą realizuje swoje zadania. Ale koalicja PO-PSL, przy poparciu SLD, uparła się, żeby schrzanić dobrą ustawę o NIK (opracowaną w 1994 r. przez Lecha Kaczyńskiego) i ją schrzaniła. No i zaplątał się Krzysztof Kwiatkowski w sidła, które jako parlamentarzysta PO wraz z kolegami sam rozstawiał...”.

Zdaniem szczerego do bólu Janusza Wojciechowskiego stanowiska dyrektorskie w NIK powinni zajmować nie najlepsi pod względem wiedzy, wykształcenia i doświadczenia urzędnicy, ale ci z politycznymi plecami. Oczywiście apolityczny Wojciechowski, gdy przestał być prezesem NIK, wrócił do polityki. Był m.in. posłem i wicemarszałkiem Sejmu. Stanął też na czele PSL, ale pokłócił się z kolegami partyjnymi i opuścił szeregi ludowców. Związał się wówczas z PiS, zdobył mandat europosła i lukratywną posadę w Europejskim Trybunale Obrachunkowym. Zwieńczeniem jego kariery był stołek komisarza UE ds. rolnictwa. Taki z niego wszechstronny fachowiec.

Andrzej Sikorski

Z wielkim smutkiem żegnam

Jerzego Dziewulskiego

mojego wieloletniego współpracownika, szefa ochrony w czasie kampanii prezydenckiej w 1995 r., doradcę Prezydenta RP, posła Sojuszu Lewicy Demokratycznej.
Był człowiekiem wielkiej odwagi, profesjonalizmu i lojalności, oddanym służbie i obowiązkom wobec Ojczyzny.
Dziękuję Mu za lata wspólnej pracy, życzliwości i wsparcia.

Na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Rodzinie i najbliższym składam wyrazy najgłębszego współczucia

Aleksander Kwaśniewski

Z głębokim smutkiem przyjąłem informację o śmierci

JERZEGO DZIEWULSKIEGO

Posła na Sejm I, II, III i IV kadencji, osoby troszczącej się o bezpieczeństwo Polaków.

Rodzinie, bliskim i przyjaciołom składam wyrazy współczucia

Włodzimierz Czarzasty
Wicemarszałek Sejmu RP

eprasa.pl 28df70e0c3

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Wielka masakra kotów

Wielka masakra kotów nie jest fantazją. Doszło do niej w XVIII-wiecznym Paryżu. W tych czasach sympatię dla kotów utożsamiano z pańskim wykwintem. Do tego – jak zawsze – koty oskarżano o konszachty z diabłem. Czasami hamulce przestawały działać, tak jak u schyłku lat 30., gdy szału dostali czeladnicy drukarscy z ulicy Saint-Séverin. Zwierzęta chwytano do worków, następnie, po symbolicznym procesie, wieszano. Sceny gwałtu powtórzyły się potem wielokrotnie w pantomimie. Instynkt odwetu miał mocne, głęboko ukryte korzenie. W corocznych obrzędach nocy św. Jana paryżanie wrzucali do ognisk całe worki kotów.

Niebawem dręczyciele kotów przywdziali szaty dostojeństwa. Nadeszła rewolucja – „lud suweren" stanął na szczytach władzy ze wszystkimi swoimi skłonnościami i upodobaniami. Urzekający wiek XVIII – czas Oświecenia, epoka postępu. Na jego straży stanęła gilotyna.

Co oznacza postęp? Konkretne udoskonalenia? Owszem. Jednak zasada postępu, sprowadzona na tory abstrakcji związanej z pojęciem dobra, staje się niebezpieczną pokusą, czasami prowadzi do zbrodni. Ile okrucieństw popełniono w epoce kolonizacji, powołując się na wymogi związane z postępem „cywilizacji"?

Odnosząc się do losów wielkiej iluzji, Czesław Miłosz pisał: „Wiek XIX nie zasługuje na podziw i kiedy I wojna światowa zaczęła pruć jego materię, wysypały się z niej trociny. Posąg humanitarnego, rozumnego, stałego postępu, któremu składano hołdy, okazał się kukłą".

Nasz dorobek robi wrażenie: dwie wojny światowe, miliony poległych. Trzecia – kto wie, być może na progu? Nauczyliśmy się czegoś? Patrząc na postawy polityków oświeconego Zachodu, można odnieść wrażenie, że wszelkie nauki poszły w las. Pojawił się charakterystyczny rodzaj egzaltacji związanej z wojną. Jest z nią dziś do twarzy. Politycy stają się potrzebni i ważni. Tak, tak – synowie Achillesa. Waleczni, z błyskiem w oku. Tańczą na parapecie.

Amerykański generał rzuca śmiałą myśl: mówi o „starciu Kaliningradu z powierzchni ziemi". Odważnie. Ciekawe, czy zastanawiał się nad zasadą odwetu nuklearnego. W czyim imieniu występuje? W imieniu mieszkańców Braniewa, Bartoszyc, Gołdapi? Odnosząc się do przyczyn i przebiegu I wojny światowej, francuski filozof eseista Alain Finkielkraut konkludował: „Rozum zwariował". „To nie rozum – tłumaczył – rządził światem za pomocą barbarzyńskich środków, ale barbarzyństwo zmobilizowało i wykorzystało możliwości rozumu".

A dzisiejsza gorączka? Czy uczestnicząc w niej, śnimy własną przyszłość? Co nam o niej mówią kalkulacje ekspertów, którzy szastają na lewo i prawo swoimi „prognozami", podając co chwila inną datę wybuchu kolejnej wojny? Co to wszystko znaczy – groteska czy makabreska? Może rację miał Tacyt, gdy pisał: „Szczęście nasze nie leży bogom na sercu, lecz kaźń i pomsta nad nami"?

Nasz sen jest nerwowy. Trwa w nim szamotanina, pojawiają się widma, zjawy, upiory. Z kątów wyłażą obsesje. Zastanawiająca jest myśl, którą zanotował w „Dziennikach" Franz Kafka: „Potrzeba głębszego snu, który bardziej rozluźnia. Potrzeba metafizyczna to potrzeba śmierci".

Czego pragniemy my, oświeceni? Samounicestwienia? Rumuński historyk Lucian Boia jest autorem eseju „Koniec Zachodu? W stronę jutrzejszego świata". Boia posługuje się znakiem zapytania, ale niewielką to daje pociechę. Nasze wyobrażenia dotyczące przyszłości oparte są na schematach ciągłości, na instynkcie kontynuacji. Mówimy czasami o „czarnych łabędziach", ale zakładamy, że jak zawsze przyfruną i odfruną. A co, jeśli „czarnym łabędziem" jest nasza własna epoka – pewien dość wyraźnie już ukształtowany trend dziejowy?

> Niestety, dożyliśmy czasów, w których mówienie prawdy stało się w polityce dewiacją.

Przez długi czas – mówi Boia – funkcjonowały „świeckie religie" związane z pojęciem narodu, demokracji i wolności. Co z nich zostało? Demokracja? Wolność? „Żadnemu »tradycyjnemu« państwu policyjnemu – podkreśla historyk – nie udało się tak głęboko wniknąć w osobiste sprawy ludzi, jak są to w stanie zrobić aktualne demokracje". Jedynie idea narodu stoi jakoś na nogach. Cieszyć się z tego czy nie? Boia ma chyba rację: „Europa jest raczej biurokracją niż wiarą". Jaka będzie nasza przyszłość?

Czy potrafimy zapanować nad trendem dziejowym? Stać nas na refleksję, na opamiętanie? Niestety, dożyliśmy czasów, w których mówienie prawdy stało się w polityce dewiacją. Tak jakby język prawdy wyczerpał już swoje możliwości. Świat polityki przechyla się w stronę fikcji – zwycięża wola złudzenia. Polityczna rzetelność stała się nudna. Kontury oświecenia rozpływają się we mgle. Wymogi racjonalności, kalkulacja, sensowne przewidywania – to wszystko zaczyna nużyć. W polityce nastał czas szamanów, którzy, sporządzając swoje mikstury, mieszają nieustannie kłamstwa, urojenia, zaklęcia wrogości i nienawiści. To jest dzisiaj polityka. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

Polska po wielkiej klęsce

Dominik Horodyński: realista czy romantyk?

Robert Walenciak

Członkowie sztabu Kedywu w czasie powstania warszawskiego. Od lewej: Jan Mazurkiewicz „Radosław", Wacław Chojna, Dominik Horodyński i Stanisław Wierzyński.

Była straszna klęska… Jerzy Stefan Stawiński, żołnierz powstania warszawskiego, dowódca kompanii „Baszta", autor scenariusza filmu „Kanał", nie cierpiał powstańczych uroczystości, tych organizowanych w III RP. Mówił o powstaniu w sposób wstrząsający. „Pan spojrzy przez okno, wychodzi na Fort Mokotów. Proszę pana, na ten fort przeznaczyliśmy jedną kompanię »Baszty«. I ta kompania, mając parę pistoletów maszynowych, dwa czy trzy, a poza tym tylko granaty i pistolety, wyległa na ulicę Racławicką, żeby zdobyć ten fort. Spotkał ich taki grad pocisków, że cała kompania – koniec. Parę osób się uratowało. Pięć minut trwało tutaj powstanie, to było wysłanie ludzi na rzeź". To o pierwszym boju, na Mokotowie. A te historie, gdy ewakuowali się kanałami? „Ja przecież wprowadziłem do tego kanału 70 osób, a wyszedłem we dwie albo trzy. Reszta dostała się do Niemców albo gdzieś po drodze zginęła. To potworne przeżycie…". I dodawał: „To żadne bohaterstwo iść w gównie…".

Zdzisław Sadowski, wicepremier w czasach Wojciecha Jaruzelskiego, żołnierz powstania, batalionu „Krybar", członek ONR, od początku uważał, że ten zryw jest bezsensowny, że przyniesie nieszczęście, klęskę. Ale iść trzeba. Bo w kulcie powstań był wychowany. Tak zresztą uważali wszyscy związani z obozem narodowym, choćby Wiesław Chrzanowski, żołnierz batalionu „Gustaw", z tej części Narodowej Organizacji Wojskowej, która podporządkowała się dowództwu AK. I Sadowski, i Chrzanowski wyszli z powstania z ciężkimi ranami.

Więcej szczęścia miał Dominik Horodyński. Również był w powstaniu. „Byłem przez pierwszy miesiąc adiutantem pułkownika Jana Mazurkiewicza »Radosława« i widziałem rzeczy, które jeszcze czasem mi się śnią", mówił. Wspominał też, jak przenosił meldunki – piwnicami, między stłoczonymi cywilami. I to, czego się nasłuchał. Że paniczyki wymyśliły sobie powstanie.

Słowo paniczyki było na miejscu. Stawiński to licealista z V LO im. Księcia Józefa Poniatowskiego, Sadowski – uczeń Batorego, Chrzanowski – syn profesora politechniki, ministra w II RP. I on, Horodyński, rocznik 1919, matura w Wilnie, studia prawnicze w Krakowie, z zamożnej, wpływowej rodziny, gospodarującej na 10 tys. ha na Wileńszczyźnie i w Tarnobrzeskiem. Wojna zmiotła cały jego świat. W roku 1943 w Zbydniowie jego rodzina została wymordowana przez oddział pacyfikacyjny SS. Dwaj bracia zginęli w 1944 r., podczas nieudanej akcji Kedywu na Pawiak. A jego Polska…

Mówił, że nie miał złudzeń. „Pamiętam 9 maja 1945 r. Byłem w Krakowie, strzelano na wiwat z radości, a ja chodziłem po ulicach, byłem zupełnie sam i nie miałem absolutnie poczucia zwycięstwa".

Był rozbitkiem, jak miliony innych. Miał 26 lat, ale nie patrzmy na ten wiek dzisiejszą miarą. Wszechstronnie wykształcony, od najmłodszych lat miał najlepszych guwernerów. Wojna dodała mu dojrzałości. I orientował się, jaki jest układ sił, co jest realne, a co nie. Przyjaźnił się z Aleksandrem Bocheńskim, wielkim zwolennikiem realizmu politycznego. „Uważaliśmy, że sojusznicy zachodni oddali Moskwie nie tylko Polskę, ale tę część Europy. I że siły, by temu się przeciwstawić, nie mamy. Bo jak przeciwstawić się Armii Czerwonej? Więc Polsce grozi kształt Księstwa Warszawskiego plus Wielkie Księstwo Poznańskie, może jakiś kawałek Śląska. I wielkie straty na wschodzie. Po prostu katastrofa. Mieliśmy poczucie przegrania wojny. Nie przegrania z Niemcami, tylko przegrania interesów Polski. Więc w takiej sytuacji

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 28df70e0c3

trzeba szukać porozumienia z nową władzą, z Rosją, bo tylko jakiś układ z nią może nam zapewnić zachowanie państwa".

•

Nie był w swoich opiniach wyjątkiem. Poczucie katastrofy było powszechne. Najpierw katastrofy roku 1939. „Nienawiść do tzw. pułkowników przez pierwsze lata okupacji była straszna", mówił Horodyński. A potem katastrofy powstania warszawskiego – „Skala tej klęski była przerażliwa". Do tego utrata Wilna i Lwowa. I całkowita bezsilność. „Nie chcemy Wrocławia, nie chcemy Szczecina!", wołał premier rządu londyńskiego Tomasz Arciszewski. Ale był to okrzyk pusty.

Co nie znaczy, że głosów nawołujących do myślenia realnego nie było. W 1945 r. Stanisław Grabski, brat Władysława Grabskiego, dwukrotnego premiera II RP, sam dwukrotny minister i przez kilka lat przewodniczący Związku Ludowo-Narodowego, wydał w Londynie broszurę zatytułowaną „Nil desperandum". Wykładał w niej bezpośrednimi słowami: „Rok 1939 zakończył historię Polski Jagiellońskiej, przesuniętej na wschód, z ludnością polską, ukraińską i białoruską. To koniec. Polska nie odzyska granicy ryskiej, bo nie ma na to siły, musi zgodzić się na linię Curzona. W zamian może uzyskać ziemie na zachodzie. To jest dobra propozycja. Polska, jednolita narodowo, z uregulowaną sytuacją »włościan«, którzy dostaną ziemię, może stać się państwem bogatym i dobrze się rozwijającym. Bez konfliktów wewnętrznych".

„Nie jest przyjemną rzeczą mówić rodakom nieprzyjemną prawdę, ani nawoływać ich do pracy na zimnej rachubie opartej, gdy duszami ich miota rozpacz. Kto to czyni – musi być pewien niepopularności. Ale nie ma nic bardziej szkodliwego dla narodu, jak życie w złudzeniach, gdy znalazł się na dziejowym rozdrożu", tłumaczył. Dalej przekonywał: „Można rozważać, czy nie lepiej byłoby zachować granicę ryską niż zyskiwać granicę na Odrze? Ale zachowanie granicy ryskiej nie jest w naszej mocy. Więc realnie staje przed nami w obecnym układzie sił tylko to pytanie: czy – gdy dalsze dzieje nasze mogą już być dziejami tylko czysto polskiego państwa – bez Ukraińców i Białorusinów – należy je oprzeć na kontynuacji Polski Piastowskiej z granicą na Odrze i walką o jak najszersze wybrzeże Bałtyku, czy też ograniczyć się do roli powiększonego nieco Księstwa Warszawskiego z wyczekiwaniem, że kiedyś, być może, nastąpi jakaś lepsza dla nas koniunktura polityczna świata?". I kontynuował: „A co do tezy, że granica na Odrze jest ściśle związana z linią Curzona. Tak – istotnie istnieje związek między obu tymi liniami, ale nie taki, jak sobie wyobrażają rzecznicy obecnego rządu (w Londynie – przyp. R.W.). Choćbyśmy najuroczyściej i najbardziej stanowczo oświadczali całemu światu, że nie chcemy nie tylko Szczecina i Wrocławia, ale nawet Gdańska, Opola i Olsztyna – nie odzyskamy przez to ani jednego powiatu ze wschodnich naszych województw".

Grabski widział jednak w nowej rzeczywistości wielką szansę: „Polska, jednolita narodowo i dysponująca kopalniami i fabrykami śląskimi, wybrzeżem wschodniopruskim i zachodniopomorskim oraz trzema wielkimi portami: Gdańskiem, Gdynią i Szczecinem, może mieć nie gorszą, a nawet lepszą pozycję w świecie, niż posiadała między rokiem 1920 a 1939". I kończył tak: „Realnym naszym interesem jest zgoda, a nie waśń z Rosją. I to nie tylko na dziś, ale i na daleką przyszłość".

Realnym naszym interesem jest zgoda, a nie waśń z Rosją. I to nie tylko na dziś, ale i na daleką przyszłość.

Dominik Horodyński ze swoim mistrzem i przyjacielem Aleksandrem Bocheńskim.

Ta zgoda, dodajmy, nie oznaczała podporządkowania Polski Moskwie. Ale w roku 1945 czy w 1946 tego, co zdarzyło się w latach następnych, nie można było przewidzieć. Nic nie było przesądzone. Tak uważał Grabski, mówiąc: „Polska na 50 lat utknęła u rosyjskiego wozu. Trzeba więc jechać do kraju, bo tylko tam można coś dla Polski zrobić". I przyjechał, był wiceprzewodniczącym KRN.

Jeszcze jedna uwaga: pamiętajmy – Stanisław Grabski to rocznik 1871. Politycznie był aktywny już w latach 90. XIX w. Dłużej żył w czasach, gdy Polski na mapie nie było, niż gdy na niej była. Myślał zatem szerzej, w dłuższej perspektywie. Mógł porównać Polskę roku 1945 z tą z roku 1915 (raptem 30 lat różnicy!). I przecież dostrzegał – pomijając zniszczenia wojenne – że ma lepszą pozycję.

•

Taka była zimna analiza. Ale przecież są emocje. Dominik Horodyński był nimi targany. Jechać? Zostać? „Przez parę tygodni żegnaliśmy się z przyjaciółmi na rynku w Krakowie. Autobusy odjeżdżały prawie legalnie", wspominał. Nic go w tej Polsce w zasadzie nie trzymało. Raczej obawiał się, że jest na liście tych, którzy za chwilę mogą być zatrzymani. „Pojechałem do Zbydniowa – to jest wieś, z której pochodzę i gdzie Niemcy zamordowali w roku 1943 całą moją rodzinę: matkę, ojca, siostrę 13-letnią i 19 innych osób. Uważałem, że muszę tam pojechać, żeby zamknąć tę kartę i już tam więcej nie

eprasa.pl 28df70e0c3

jeździć. Przyjechałem tam pod wieczór, kombinowałem, żeby tak się tam znaleźć, żeby nikt mnie nie widział, bo już wiedziałem, że jest zakaz pobytu byłego właściciela w majątku. Ja nie byłem właścicielem, byłem synem właściciela, ale niemniej… Poza tym nie miałem papierów. Miałem fałszywe dokumenty. Znalazłem grób rodziców i siostry, stanąłem przy nim, skupiłem się… Ale widzę, że na ganku, to tak 80 metrów mniej więcej było od dworu, stoją żołnierze. Rosyjscy żołnierze, bo w dworze zrobili szpital rosyjski. Nagle słyszę przez krzaki jakiś hałas i wyglądam, a tu za mną stoi 10 uzbrojonych ludzi. Paru znam. Dowódcą, jak się okazało później, był syn dworskiego cieśli, z czworaków zresztą… Nazywał się Staszek Wianiecki. Dawniej graliśmy razem w piłkę. Wszyscy mają broń. Nie chowają jej, jakby chcieli, żebym ją widział. Odwracam się i mówię: dzień dobry. Wasza wizyta wydaje mi się trochę dziwna. Tu są Rosjanie. Staszek na to: myśmy przyszli, bośmy się dowiedzieli, że pan przyjechał, i chcieliśmy tutaj pana obstawić. Pytam: a co wy robicie? A my jesteśmy tutaj w oddziale leśnym. Ja wtedy wygłosiłem do nich wielką mowę, pierwszą w życiu taką dramatyczną, że bez sensu być w oddziale leśnym, że oni nie mają żadnych szans, że zginą… Nie wiem, w jakiej są sytuacji, każdy indywidualnie, ale jeśli mogą, niech tę broń wrzucą do Sanu, i niech biorą ziemię. Każdemu podpiszę, ile chce, bo jeszcze nie była sparcelowana. A jeśli nie mogą, bo mają jakieś zaszłości, to niech tę broń też rzucą, i jadą na zachód. Indywidualnie, nie grupą. Tam będzie bardzo dużo różnych możliwości przeżycia. To było dramatyczne spotkanie, i właściwie miałem łzy w oczach. A na to Staszek Wianiecki mówi: Oho, koledzy pana słuchają, i mi mówią: kupili pana już, już pana kupili... Wie pan, tym razem to pana puszczamy, ale drugi raz nie puścimy. I poszli. Bardzo to było nieprzyjemne".

Rok później tego oddziału już nie było…

•

Horodyński wrócił do Krakowa. Zastanawiał się, gdzie szukać podpowiedzi. „Muszę powiedzieć, że miałem bardzo dobre stosunki z kardynałem Sapiehą, który wielokrotnie mnie przyjmował jeszcze za Niemców, i potem też", wspominał. „Kardynał Hlond również mnie przyjął na długą rozmowę. Rozmawialiśmy i w pewnym momencie pokazał mi swoje ręce i mówi: »Proszę pana, co pan mi tu opowiada? Te ręce, nie czyjeś, tylko te ręce będą namaszczały króla Polski!«. Więc jak on mi to powiedział, to doszedłem do wniosku, że o wszystkim można rozmawiać z księdzem prymasem, ale nie ma sensu o polityce. W każdym razie już o polityce nie mówiłem".

Kardynał Hlond pokazał mi swoje ręce i mówi: Te ręce będą namaszczały króla Polski!

Jak nie hierarchowie Kościoła, to może komuniści? W tym czasie do Krakowa przyjechał Jerzy Borejsza, próbował dogadywać się ze środowiskami konserwatywnymi. W tych rozmowach nie zabrakło i Horodyńskiego. Oto jego wspomnienie: „W Krakowie mieszkał Piotr Dunin Borkowski, były sanacyjny wojewoda lwowski. Uważał on, kiedy był wojewodą, że trzymanie w więzieniu w tej tak wychwalanej szalenie dzisiaj Polsce przedwojennej przeciętnie 3 tys. więźniów politycznych to za dużo. Borkowski chciał mieć ich mniej. Między innymi nie chciał mieć w więzieniu Borejszy. Borejsza pozostał mu za to dozgonnie wdzięczny i dotarł do niego w Krakowie, roztaczał przed nim różne miraże, żeby się spotkać z jakimiś inteligentnymi ludźmi. No to Borkowski obiegł swoich znajomych, Bocheńskiego przede wszystkim, a Bocheński do mnie, i wszyscy spotkaliśmy się z Borejszą".

Ta rozmowa odbyła się w mieszkaniu Potockich, w którym ocalenie znaleźli inni wychodźcy z powstania warszawskiego. Była więc grupa ziemian, był Horodyński, którego Borejsza w raporcie ze spotkania zakwalifikował jako przedstawiciela ONR, był Tyszkiewicz, był Bocheński, był sam Borejsza w wojskowym szynelu. Spóźniał się gospodarz. Wreszcie przyszedł, starszy pan. Horodyński tak to pamięta: „Myśmy siedzieli, debatowali, a on wszedł i rzekł: jestem potomkiem Szczęsnego Potockiego. Słyszałem, że zbieracie Targowicę. Więc jestem"…

Spotkania z Borejszą zaowocowały tym, że Horodyński dostał paszport i mógł legalnie wyjechać na Zachód. I w 1946 r. wyjechał. „Dla mnie najważniejszy był mój wyjazd za granicę – opowiadał. – Pojechałem właściwie bez pieniędzy, ale miałem tam różnych krewnych, na ich pomoc mogłem liczyć. Mogłem więc spotykać się, zobaczyć całą emigracyjną górę. Jechałem w nadziei, że tam się dowiem, jak z tej sytuacji wyjdziemy. I niech się nie gniewają dzisiaj tak bardzo wychwalani nasi emigranci, ale się dowiedziałem samych utopijnych mrzonek – że będzie wojna. W Rzymie przyjął mnie generał Anders. I mówił mi, że wojna jest nieuchronna i że to jest kwestia prawie że miesięcy. Przy okazji odwiedziłem Watykan. Przyjął mnie Jacques Maritain, był ambasadorem francuskim przy Watykanie. Zacząłem opowiadać mu, co dzieje się w Polsce, a Maritain mi odpowiedział: kochany, trzeba umieć cierpieć i trzeba szukać tych dobrych stron, sprawiedliwości itp.".

Po tych różnych rozmowach Horodyński już wiedział, że Zachód palcem w sprawie Polski nie kiwnie, że karty są rozdane. „Jeśli panowie myślą, że to było wesołe, to się bardzo mylicie. Byłem w bardzo złym stanie psychicznym po tych moich podróżach", wyznał Jerzemu Diatłowickiemu i Ernestowi Skalskiemu w programie „Rzeczpospolita Druga i Pół".

Na Zachodzie nie został, wrócił do Polski. Mając pewność, że tu wszystko będzie się rozstrzygać. Ta Polska jeszcze nie była ukształtowana. Można było mieć nadzieję, że będzie wprawdzie nie w pełni demokratyczna, ale nie gorsza niż sanacyjna. Stalinizm to rok 1947, 1948…

•

Ale jak w tej Polsce się znaleźć? Dominik Horodyński był w czasie wojny w Konfederacji Narodu, więc nie bez podstaw Borejsza

eprasa.pl 28df70e0c3

klasyfikował go jako ONR. Gdy po zawarciu umowy z gen. Sierowem z więzienia wyszedł Bolesław Piasecki, Władysław Gomułka pozwolił mu założyć tygodnik. Tak powstało „Dziś i Jutro”, którego Horodyński został redaktorem naczelnym. „Tak się składało, że zawsze byłem redaktorem naczelnym”, mówił. W późniejszych latach był redaktorem naczelnym „Za i Przeciw” oraz „Kultury” – w jej najlepszych latach.

Wróćmy do „Dziś i Jutro”. Gdy na wyjazd zdecydował się Czesław Miłosz, Horodyński podjął z nim polemikę. Takich polemik, takich rozmów, dzisiaj już nie ma. Krążyła wokół zasadniczego pytania: co robić? Jak poradzić sobie z tragedią wojny, poczuciem klęski? I wokół obaw – by kolejna hekatomba się nie powtórzyła.

Horodyński przypomina w tym dyskursie wiersz Miłosza „W Warszawie” – wołanie poety, który stoi na gruzach katedry św. Jana:

Przysięgałeś, że nigdy nie będziesz
Płaczką żałobną.
Przysięgałeś, że nigdy nie dotkniesz
Ran wielkich swego narodu,
Aby nie zmienić ich w świętość,
Przeklętą świętość, co ściga
Przez dalsze wieki potomnych.

I odpowiada Miłoszowi: „Wiem, dlaczego składałeś te przysięgi. Chciałbyś obronić pokolenia następne przed kultem szaleństwa, chciałbyś, by były rozsądniejsze. Wydaje mi się, że trud Twój jest niepotrzebny. Romantyczna zasada duszy polskiej – której się boisz – i tak jest zagrożona. Przeżyliśmy w pewnym sensie polską Białą Górę. Straciliśmy najlepszych. Losem bohaterów, losem ludzi walki – walki często szaleńczej i romantycznej – była śmierć. I znacznie bardziej niż kult heroizmu grozi nam zbytni oportunizm. A powiedz, co nad Wisłą jest bardziej niebezpieczne: bohaterstwo czy oportunizm?

Poeci czynu i siły ducha, nie piewcy ucieczki, roztoczą nad żyjącymi swe rapsody. Gdy ci, którzy widzieli tylu padających za Polskę wielką i wspaniałą – zewrą się, by tym bardziej jej służyć, im bardziej wydaje się – ludziom małej wiary – pognębiona i słaba.

Tam ocalenie”.

•

Biała Góra. Rok 1620. W wyniku przegranej bitwy czeska szlachta, protestanci, została wygnana z Czech, nastały wieki ciemne. Największa klęska w życiu narodu. I do niej Horodyński porównuje II wojnę światową. Polemizuje z Miłoszem. Że owszem, kult powstań pchał tysiące młodych do samobójczych akcji. Ale co teraz? Po wojnie? Zapomnieć o tym? Wyrzec się bohaterów? A może ten mit pozwoli przetrwać? Da siłę?

Powojenny rozbitek, któremu wymordowano rodzinę, szukał sensu nowego życia. Był ukształtowany według swojego stanu i swojej epoki: obowiązek wobec Polski, służba ojczyźnie – to wyniósł nie tylko ze szkół, ale i z domu. Dlatego nie wybrał życia emigranta. Tylko że ta Polska, tak przecież myślał, była po Białej Górze. Była inna, nie wiadomo w którą stronę podążająca.

Ale to wciąż Polska.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

PRAWDZIWA HISTORIA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
BEZ FAŁSZERSTW, ZMYŚLEŃ I MITÓW

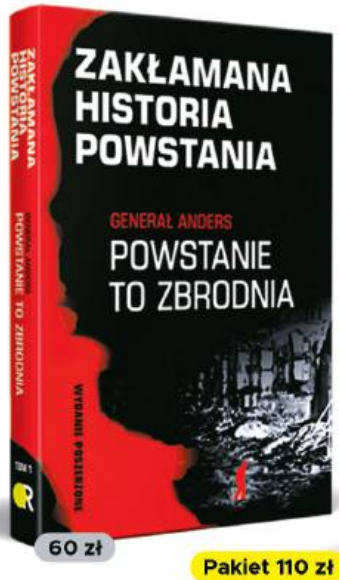

60 zł

Pakiet 110 zł

79 zł

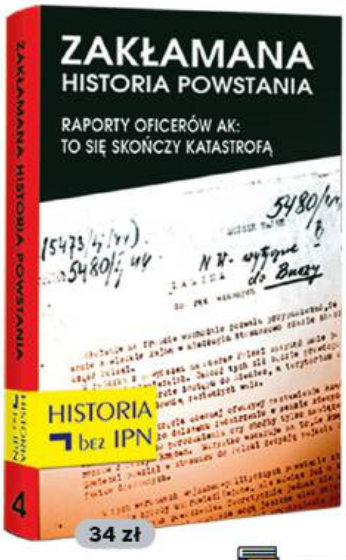

34 zł

e-book 29 zł

e-book 15 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 28df70e0c3

TU CHODZI O PAMIĘĆ

Wystawa „Nasi chłopcy” ośmieliła Pomorzan. Po latach ukrywania przeszłości chcą o niej mówić

Anna Wyrwik

Zaraz po wejściu na salę wystawową widzimy na czterech stołach kilkadziesiąt zdjęć chłopięcych twarzy. Twarze są radosne lub poważne, smutne lub z szerokim uśmiechem, są ciemne i jasne oczy, bruneci i blondyni. Wszyscy młodzi. Młodość to marzenia, nadzieje, szaleństwo, pragnienie przygody, ciekawość świata i strach przed nieznanym. Te młode twarze mogłyby należeć do wielu: do rozpoczynających karierę sportowców, do gitarzystów garażowych bandów, do studentów medycyny czy polonistyki, do szkolnych łobuzów lub szkolnych amantów, do młodych gniewnych punków, hipisów czy bitników.

Myślenie o historii

– Wystawa „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” jest konsekwencją wystawy „Wolę o tym nie mówić. Tożsamość gdańszczan a powojenna rzeczywistość” z lat 2022-2023, o tym, jak tworzyło się nowe społeczeństwo w powojennym Gdańsku – mówi dr Janusz Marszalec, jeden z kuratorów wystawy i zastępca dyrektora ds. badań i rozwoju w Muzeum II Wojny Światowej. – Tamta wystawa pokazała, że wojskowa służba gdańszczan i Pomorzan w Wehrmachcie jest ważnym i nieopowiedzianym, wstydliwym oraz wywołującym lęki elementem naszej historii.

„Nasza historia zaczęła się 1 września…”, brzmi pierwsze zdanie na pierwszej tablicy wystawy i jest to faktycznie chronologiczna historia od dnia rozpoczęcia wojny, przez jej kolejne lata, momenty, wydarzenia, aż do 1945 r. A potem są czasy powojenne i tak do dziś. Na dziś jednak się nie kończy. Otwiera się przyszłość, ale o tym później.

Tymczasem losy wojenne (i w niektórych przypadkach powojenne) chłopców poznajemy na przykładach kilkunastu mężczyzn, reprezentatywnych dla swojego pokolenia. Jest urodzony w Wolnym Mieście Gdańsku Stanisław Szuca, którego ojciec Michał za propolską działalność został rozstrzelany w 1940 r. Są Jan Bolda z Władysławowa i Henryk Olszewski z Grudziądza. Oraz Edmund Tyborski ze Swornegaci, który zdecydował się na dezercję. Są konkretne chłopaki w lasach i na froncie, ich zdjęcia, listy, dokumenty, menażki i niezbędniki, ich pożegnania z rodzinami na dworcach, czemu – jak piszą twórcy wystawy – „towarzyszyła podniosła atmosfera. (…) Swój opór wobec zaistniałej sytuacji wyrażali poprzez śpiew polskich pieśni religijnych, a nawet hymnu państwa polskiego”.

Na wystawę składają się przedmioty, dokumenty i historie pochodzące z kwerend muzealnych, ale przede wszystkim od ludzi, którzy zgodzili się przekazać rodzinne pamiątki, mimo niepokoju o to, jak ich dziadkowie zostaną pokazani i odebrani. To wszystko tworzy rzetelną, staranną i bardzo ludzką opowieść.

– Myślenie o naszej historii najnowszej ukształtowały trzy szkoły dotyczące drogi do niepodległości

FOT. A. GRABOWSKA/MUZEUM GDAŃSKA (3)

eprasa.pl 28df70e0c3

– tłumaczy dr Andrzej Gierszewski, rzecznik prasowy Muzeum Gdańska. – Są to: kongresowa tradycja powstańcza, wielkopolska tradycja pracy u podstaw i galicyjska tradycja współpracy dążącej do uzyskania autonomii w ramach systemu. Jednak na Pomorzu sytuacja wyglądała inaczej. W 1919 r. ludzie tu witali Polskę, a potem się okazało, że ta Polska traktuje Pomorze jako region „drugiej kategorii". W okresie międzywojnia tutejsza ludność musiała znieść wiele upokorzeń od urzędników z centralnej Polski, a mimo to pozostawała Polsce wierna.

We wrześniu 1939 r. wkroczyli Niemcy, którzy na Pomorzu mieli gotowe listy proskrypcyjne. Zaczęło się mordowanie lokalnych elit. Ludzie po prostu się bali i zastanawiali, co robić.

– Od października byli już mieszkańcami Rzeszy – kontynuuje Andrzej Gierszewski. – Jednak przypadki, gdy ktoś szedł do niemieckiej armii na ochotnika, były nieliczne. Większość Pomorzan została wcielona do niej przymusowo, gdy Niemcy w wyniku ataku na ZSRR potrzebowali nowych żołnierzy. Ludzie mieli do wyboru to albo represje lub śmierć rodziny i najbliższych.

O tych trudnych wyborach pisze 101-letni komandor w stanie spoczynku Roman Rakowski w liście otwartym: „(...) Łatwiej jest pisać piórem niż własną krwią, łatwiej jest się przechwalać i wystawiać oceny, niż być w zagrożeniu życia swego i bliskich. Łatwo, siedząc w wygodnym fotelu przy herbacie, szermować czyimiś życiem i krwią niż własną, mówiąc, jak z perspektywy lat trzeba było się zachować".

Oceny te są pochodną głównie pierwszej z wymienionych przez Andrzeja Gierszewskiego szkół, czyli tradycji powstańczej. Ona jest podwaliną perspektywy – Janusz Marszalec nazywa ją warszawską – rządzącej dziś w naszym kraju spojrzeniem na historię. – W Polsce istnieje imperatyw jednej, uniwersalnej, tzw. warszawskiej, opowieści o przeszłości. My w regionach mamy stanąć na baczność i uznać ten prymat. A przecież doświadczenie wojny naszych dziadków było inne. Za odezwanie się po polsku groziły tu represje, konspiracja w warunkach powszechnego terroru również była słabsza. Kolejne pokolenia Pomorzan o tym zapominają, bo szkoła uczy ich wyłącznie uniwersalnej (warszawskiej) opowieści. Starsi wolą się nie wychylać ze swoimi rodzinnymi historiami. Nasza regionalna pamięć wpychana jest w niszę i poczucie wstydu. Teraz robią to politycy, mówiąc: „Możecie tam, na Pomorzu czy na Śląsku, sobie gadać, ale nie możecie nazywać »naszymi chłopcami« tych, co zostali powołani siłą do niemieckiego wojska, nawet jeśli potem zdezerterowali i poszli do Polskich Sił Zbrojnych czy antyhitlerowskiej partyzantki".

Janusz Marszalec zapewnia o szacunku Pomorzan dla bohaterów powstania warszawskiego, podkreśla, że godzina „W" jest obchodzona w Gdańsku każdego roku, a pamięć o akowcach, którzy osiedli tu po wojnie, kultywowana. Jednocześnie apeluje, by szanować też chłopców z Pomorza, nawet jeśli przez uniwersalną narrację są oni traktowani jako mniej ważni.

To byli ludzie stąd

Gdy chodzę po wystawie i czytam kolejne historie obozów, przymusowych wcieleń do armii, walk i prób dezercji do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, udanych bądź zakończonych karą śmierci, gdy oglądam przedmioty, dokumenty i zdjęcia, zdaję sobie sprawę, że poza tym całym koszmarem wojny i najtrudniejszych wyborów poznaję po prostu historie młodych chłopców. Twarze, które widzimy zaraz po wejściu, należą do polskich obywateli służących w niemieckiej armii podczas II wojny światowej. „Czy słyszałeś/słyszałaś kiedyś o nich? (...) Mimo że były ich na Pomorzu dziesiątki tysięcy, mało kto zna i rozumie ich historię. Byli to ludzie stąd, a więc »nasi chłopcy«", czytamy na tablicy informacyjnej zaraz za zdjęciami.

Ekwipunek żołnierzy wcielonych do Wehmachtu.

Nawet mała i niepozorna wystawa regionalnego muzeum może zasiać ferment.

I ci nasi chłopcy na urlopach (obowiązkowo w mundurach, bo podczas urlopów musieli nosić mundury) pozują do zdjęć z rodzinami, siedzą na łące z kolegami z oddziału, stoją przed samochodami, mają czapki, plecaki, papierosy. Chłopcy ze zdjęć takich, jakie znamy z tamtych czasów. W gablocie jest album Józefa Budnika z Prusewa, dokumentujący jego szlak bojowy. „Większość żołnierzy podczas służby trafiała

eprasa.pl 28df70e0c3

w miejsca, które odwiedzali po raz pierwszy. Zapewne gdyby nie wojna, nigdy by ich nie poznali. Często były to miejscowości mniej lub bardziej dla nich egzotyczne – czasem znane tylko z książek lub gazet. Nie dziwi więc, że wolne chwile, krótkie urlopy poświęcali na zwiedzanie i fotografowanie okolic", czytamy opis.

– W Polsce przeszłość zasypywana jest cukrem pudrem – mówi Andrzej Gierszewski. – Na Facebooku Muzeum Powstania Warszawskiego zostało opublikowane podkolorowane zdjęcie z podpisem „Nasi chłopcy", przedstawiające dwójkę dzieci, które wśród ruin z uśmiechem idą na wojnę. Chłopcy z naszych zdjęć też się uśmiechali. Może dlatego, że było to jedyne zdjęcie, które wysłali rodzinie, a może po raz pierwszy w życiu widzieli aparat. Jednak uznano, że oni nie mogą być uśmiechnięci. Tak odbiera się człowieczeństwo i ludzką godność ofiarom wojny.

Cenne rodzinne pamiątki.

Nie można budować na mitach

Uniwersalność jednej historycznej narracji w Polsce, ociekającej martyrologią i heroizmem, którą symbolizuje powstanie warszawskie, przyczyniła się do wybuchu medialnej wrzawy po otwarciu gdańskiej ekspozycji. Dla Janusza Marszalca to dowód, że wciąż nie rozliczyliśmy się z przeszłością. Przypomina tu aferę „dziadka z Wehrmachtu" z 2005 r. – Śmiech Kurskiego słychać do tej pory, jakby mówił nam: „Wstydźcie się za waszych ojców i braci z Wehrmachtu! To ja decyduję, kto jest patriotą, a kto nie".

Krytyka (warto podkreślić, że wygłaszana głównie przez ludzi, którzy wystawy nie widzieli) płynęła przede wszystkim ze skraja prawicy, ale centrum niewiele zrobiło, by się jej postawić, wręcz do niej dołączyło. Janusz Marszalec i Andrzej Gierszewski mówią o ściganiu się polityków na uczucia patriotyczne.

– Polityków nie interesuje budowanie społeczeństwa obywatelskiego – stwierdza Janusz Marszalec. – Zamiast chwalić się rozwojem gospodarczym, nowatorskimi rozstrzygnięciami w kwestii ekologii czy rolnictwa, wolą licytować się na ofiary i patriotyzm, bo to przynosi im poklask wyborców.

Co do tych licytacji, nie będę cytować skrajnej prawej strony, bo po co, ale przytoczę tę mniej skrajną, czyli Władysława Kosiniaka-Kamysza (pisownia oryginalna): „Wystawa w Muzeum Gdańska »Nasi chłopcy« dotycząca mieszkańców Pomorza Gdańskiego służących w armii III Rzeszy nie służy polskiej polityce pamięci. Nasi chłopcy, żołnierze i cywile, Polacy, bronili Ojczyzny przed nazistowskimi Niemcami do ostatniej kropli krwi. To oni są bohaterami i to im należą się miejsca na wystawach".

– Takie słowa mają idealnie wpasować się w gusta typowego Polaka i budować obraz historii Polski w myśl pięknych mitów, z Polską jako krajem wolności, świętą i niepokalaną dziewicą ze wspaniałą i bohaterską przeszłością – odnosi się to tego Janusz Marszalec. – Na ofiary wojny z Pomorza, siłą wcielonych do Wehrmachtu obywateli Polski, w tej opowieści nie ma miejsca.

Podkreśla też, że polskość oparta jedynie na martyrologii i kulcie bohaterów to droga do przepaści i samozatracenia: – Nie można budować na mitach, nie można wyjmować fragmentów historii ze zbiorowej pamięci. Trzeba natomiast kształtować w ludziach umiejętność krytycznej analizy przeszłości. Naród, który tak zażarcie walczy o swój prestiż, powinien robić to nie fałszem, tylko prawdą. Słowem, potrzebujemy opowieści i o Westerplatte, i o Jedwabnem, aby użyć określenia prof. Pawła Machcewicza sprzed lat. Niestety, u nas każda próba takiej krytycznej analizy i rozpoczęcia debaty kończy się skandalem.

– Jako społeczeństwo nie rozumiemy, czym jest prawda historyczna – dodaje Andrzej Gierszewski. – Historyk woli fakty i źródła, które poddaje analizie. Mamy do dyspozycji warsztat, którym się posługujemy, by naszą pracę wykonać rzetelnie i merytorycznie. Zawsze patrzymy na kontekst, porównujemy, odnosimy, weryfikujemy i stawiamy pytania. Dlatego zarzuty o relatywizowanie historii są z natury chybione.

Jako społeczeństwo nie rozumiemy, czym jest prawda historyczna.

W krytyce wystawy „Nasi chłopcy" nie ma wielu merytorycznych uwag (zresztą do tego trzeba by ekspozycję obejrzeć). Są natomiast zarzuty o działania oceniające.

– Zarzuca się nam, że my tych ludzi wywyższamy – odpowiada na to Andrzej Gierszewski. – Nie. My wyjaśniamy, jak było. Nie mówimy, że byli super, tylko że byli nasi, bo byli stąd. Przeżyli bardzo trudną historię i ważne, by społeczeństwo o tym wiedziało. Nie po to, by oceniać, ale by mieć świadomość, że polska historia nie jest monolitem „jedynej

eprasa.pl 28df70e0c3

prawdy”. Jeżeli będziemy umieli uszanować różnorodność, pójdziemy do przodu, bo będziemy w stanie siebie zrozumieć. Raz jeszcze podkreślę: chodzi o pamięć, nie o gloryfikację.

Ludzie chcą tej dyskusji

– Skala emocji wywołanych wystawą zaskoczyła nas, ale nie tylko negatywnie, również pozytywnie – potwierdza Andrzej Gierszewski. – Nie sądziliśmy, że będzie tak wielkie zainteresowanie.

Faktycznie, po wejściu do muzeum ciągnie się kolejka. Gierszewski zaś opowiada o osobach, które chcą się dzielić własnymi opowieściami. Wielu robi to w mediach społecznościowych, ale także pisząc do muzeum. Chcą przynieść rodzinne pamiątki. We wrześniu ma wystartować ich zbiórka i cykl wydarzeń zachęcających do dzielenia się rodzinnymi historiami. I to jest właśnie ta przyszłość. Zbliżymy się do niej również w ostatniej sali, gdzie na ścianach wiszą kartki z komentarzami odwiedzających.

„Jestem wdzięczna, że wreszcie mówimy o tym głośno! To tak samo bohaterowie, tak samo naznaczeni wojną jak inni. Może nawet bardziej, bo obarczeni gorzkim losem, trudnymi wyborami i wstydem. Dziękuję!”. „Na Śląsku mieli podobnie. To historia mojego dziadka, który z wojny nie wrócił. Historia nie jest czarno-biała!”. „Wujek Teofil z Kościerzyny – żołnierz trzech armii! Wehrmachtu, Brytyjskich Sił Zbrojnych. Zakończył wojnę jako żołnierz II Korpusu pod Monte Cassino”.

Wielu ludzi pisze o trudnych wyborach, które podejmowali ich dziadkowie. I o tym, że tych wyborów nie można oceniać, bo nie wiemy, jak sami byśmy się zachowali.

Wielu Pomorzan ta wystawa ośmieliła i teraz, po latach wstydliwego ukrywania przeszłości przodków, chcą o niej głośno mówić. – Nieopowiedziana historia wzbiera w kolejnym pokoleniu – potwierdza Janusz Marszalec. – Młodzi zadają sobie pytania i starają się zrozumieć, dlaczego przez lata rodzice i dziadkowie siedzieli cicho.

– Nawet mała i niepozorna wystawa regionalnego muzeum może zasiać ferment – dodaje Gierszewski. – Pomorzanie i Kaszubi się obudzili, choć przez prawicową nagonkę część ponownie się przestraszyła. „Nasi chłopcy” pokazują jednak, że przeszłość ciągle w nas siedzi, że potrzebujemy o niej dyskutować i że musimy dekonstruować nasze mity. Reakcja na naszą wystawę jest naprawdę budująca, bo pokazuje, że ludzie chcą tej dyskusji. Proste zawołanie „Cześć i chwała bohaterom!” już nie wystarczy.

Anna Wyrwik

Wystawę można oglądać w Muzeum Gdańska, w Galerii Palowej w Ratuszu Głównego Miasta, do 10 maja 2026 r.

Hoover u Hitlera i Mościckiego

Rafał Skąpski

Hoover z Hitlerem w Berlinie, 8 lub 9 marca 1938 r.

Artykuł Pawła Siergiejczyka („Przegląd”, 23-29 czerwca 2025), jak zawsze ciekawy i pełen faktów, skłonił mnie do pewnego uzupełnienia słów Autora. Pisząc o wizycie byłego prezydenta USA Herberta Hoovera w Polsce w sierpniu 1945 r., dodaje on: „Hoover był zresztą w naszym kraju już przedtem, zaraz po I wojnie światowej”. Otóż był w Polsce raz jeszcze – w marcu 1938 r. Wizyta ta pozostaje prawie niezauważona. Jednak zdjęcie z domowego archiwum poświadcza moje słowa.

Była to sobota, 12 marca 1938 r., sale Hotelu Europejskiego w Warszawie. Mój dziadek, Witold Sągajłło, jako prezydent polskiego Rotary Clubu podejmował kolacją byłego prezydenta USA Herberta Hoovera (nz. pierwszy z prawej, obok dziadek i moja Matka).

Od prawej Herbert Hoover, Witold Sągajłło z córką Janiną, Maurice Duperrey – prezydent Rotary International, za nim Zygmunt Vetulani, wyższy urzędnik polskiego MSZ.

Nie dotarłem do żadnego opracowania, w którym odnotowany i opisany byłby fakt obecności prezydenta Hoovera w Polsce w 1938 r. Przeszukałem internet i różne dostępne archiwa, znalazłem w kilku miejscach rozproszone informacje i nieco zdjęć. Na podstawie tego odtworzyłem mniej więcej przebieg jego wizyty w Polsce. Okazało się, że tego samego dnia Hoover spotkał się z prezydentem RP Ignacym Mościckim oraz był przyjęty na Uniwersytecie Warszawskim (wtedy im. Józefa Piłsudskiego).

Poprzedni dzień, 11 marca, piątek, spędził w Krakowie, odwiedzając Wawel i Uniwersytet Jagielloński. A jeszcze wcześniej, 10 marca, był w Poznaniu, złożył tam wieniec pod pomnikiem jednego ze swoich poprzedników, prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona, i spotkał się z prymasem Augustem Hlondem. Do Poznania przyjechał pociągiem z Berlina. Wcześniej był w Szwajcarii, gdzie spotkał się z Ignacym Janem Paderewskim, a jeszcze wcześniej przebywał w Brukseli.

Zastanawiało mnie, co Hoover robił w Berlinie. Odpowiedzią jest zdjęcie, które odnalazłem w sieci. 9 marca 1938 r., trzy dni przed spotkaniem z moim dziadkiem, Hoover rozmawiał z Adolfem Hitlerem. ■

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2)

eprasa.pl 28df70e0c3

Gehenna dzieci Gazy

Po prawie dwóch latach od rozpoczęcia konfliktu w Strefie Gazy sytuacja ludności cywilnej jest tragiczna. Szacuje się, że od października 2023 r. zginęło tam ponad 80 tys. osób, w tym ponad 16 tys. dzieci. W większości są to bezpośrednie ofiary izraelskich działań. Coraz częściej jednak zdrowiu i życiu dzieci, noworodków i ich matek zagrażają fatalne warunki egzystencji. Od lutego 2025 r. o ponad 150% wzrosła liczba dzieci w wieku od szóstego miesiąca do piątego roku życia z rozpoznanym niedożywieniem. Wśród 5119 dzieci ze zdiagnozowanym niedożywieniem aż 636 cierpi z powodu ostrego niedożywienia. Coraz więcej dzieci choruje też z powodu skażonej wody. Zwiększona zapadalność na choroby to m.in. efekt fatalnych warunków mieszkaniowych i sanitarnych. Szczególnie dotyczy to osób przesiedlonych, przy czym w Strefie Gazy to ok. 90% ludności. Wiele rodzin mieszka w zatłoczonych namiotach lub prowizorycznych, foliowych schronieniach, bez dostępu do czystej wody, urządzeń sanitarnych i artykułów higienicznych.

Traumatyczne przeżycia na stałe odcisnęły piętno na psychice najmłodszych. Wiele dzieci straciło rodziny i pozostaje bez opieki. Życie większości zależy od dostaw pomocy humanitarnej. Wzrost cen spowodowany ograniczeniem pomocy docierającej do Strefy Gazy sprawia, że ludzi nie stać na żywność.

Pomoc dla dzieci w Strefie Gazy:
zrzutka.pl/2ynwkr
www.siepomaga.pl/unicef-strefagazy
unicef.pl/chce-pomoc/nasze-akcje/pomoc-dzieciom-w-kryzysie-w-strefie-gazy
lekarze-bez-granic.pl/strefa-gazy-warunki-zycia-zagrazaja-dzieciom/

FOT. ANAS-MOHAMMED/ SHUTTERSTOCK.COM (4),
REX FEATURES/EAST NEWS,
ABACA/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

Bułgarskie sentymenty

Zamiast odliczać dni do wejścia do strefy euro, Bułgarzy znów wracają do historii „dynastii” Żiwkowów

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja z Bułgarii

1 stycznia 2026 r. Bułgaria przystąpi do strefy euro. W okresie przejściowym ceny podawane są w dwóch walutach.

Aby zrozumieć historyczno-społeczny fenomen stosunku Bułgarów do komunizmu, nie wystarczy cofnąć się do 10 listopada 1989 r. To wtedy, ku zaskoczeniu rodaków, towarzysz Todor Żiwkow ogłosił, że jego „wizja komunizmu nie spełniła się, a winę za to ponosi m.in. Gorbaczow”.

Mogło się wydawać, że Bułgaria, podobnie jak Polska lub Czechosłowacja, także wyrwie się z oków komunizmu. Okazało się jednak, że Bułgarzy na zmiany nie byli jeszcze przygotowani. Pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się w czerwcu 1990 r. Wygrała je nie demokratyczna opozycja, ale wywodząca się z partii komunistycznej Bułgarska Partia Socjalistyczna. Dopiero gigantyczny kryzys: braki w dostawach prądu, pustki w sklepach, doprowadził do tego, że rok później wybory wygrała, z jednoprocentową przewagą, opozycja demokratyczna. Kolejne wybory, w 1994 r., pokazały, że Bułgarzy wciąż nie potrafią się uwolnić od przeszłości. Pięć lat po upadku Żiwkowa naród poparł socjalistów, czyli „najczystszych” następców „żiwkowizmu”.

Dzisiaj sporemu odsetkowi obywateli nazwisko Żiwkow kojarzy się z dobrobytem i stabilizacją – wartościami, których nowy ład demokratyczny nie był w stanie im zapewnić.

Pogląd ten pogłębił się w ostatnich tygodniach. Bułgarzy, od lat popierający przystąpienie kraju do strefy euro, nagle przypomnieli sobie, że korzystniej byłoby wspierać walutowy patriotyzm. Przeciwny rezygnacji z własnej waluty prezydent Rumen Radew w połowie roku próbował nawet ogłosić referendum w tej sprawie, ale parlament odrzucił jego propozycję. Dlatego mimo tęsknot części społeczeństwa Bułgaria już wkrótce zrobi kolejny krok naprzód w związkach z Unią.

Tragiczna data w historii rodziny

W najnowszej historii Bułgarii data 21 lipca już po raz trzeci budzi emocje – sprawia, że społeczeństwo wraca do czasów, kiedy krajem rządził I sekretarz Bułgarskiej Partii Komunistycznej Todor Żiwkow. Przez tę datę Bułgarzy wciąż nie mogą zapomnieć o rodzinie przywódcy. Tym, co w środku lata zelektryzowało niemal wszystkich, było – nie pierwsze już – samobójstwo członka „dynastii” Żiwkowów.

21 lipca, jeszcze jeden upalny dzień, przyniósł Bułgarom wiadomość o śmierci wnuka Żiwkowa. 54-latek znany jako „Mały Toszko” targnął się na swoje życie. Służby zaalarmowała sprzątaczka w wiejskim pensjonacie, która, wchodząc do pokoju, zauważyła leżącego w kałuży krwi mężczyznę. Obok ciała znaleziono należący do „Małego Toszka” rewolwer. W pensjonacie wnuk Żiwkowa przebywał od dwóch tygodni. Ponoć chciał się zaszyć na jakimś odludziu. Potwierdził to właściciel ośrodka: „»Mały Toszko« prosił mnie, abym wynajął mu cały pensjonat. Szukał ciszy i spokoju. Dlaczego? W to już nie wnikałem. Nie mogłem mu odmówić. Z jego ojcem, zięciem Żiwkowa, zawsze byliśmy przyjaciółmi”, wyjawił Christo Kruszarski, właściciel obiektu.

Losy wnuka Todora Żiwkowa od początku elektryzowały bułgarską opinię publiczną. „Mały Toszko” do 12. roku życia praktycznie nie opuszczał rządowej rezydencji. Wnuk „pierwszego” ukończył elitarne angielskie liceum w Sofii. Dymisja dziadka 10 listopada 1989 r. zastała młodego Todora na studiach w Szwajcarii na Uniwersytecie w Sankt Gallen.

Koniec rządów Żiwkowa spowodował pewne rozszczelnienie parasola ochronnego nad wnukiem. Pierwsze problemy „Małego Toszka” z prawem – został oskarżony o udział w zbiorowym gwałcie – przyniósł przełom roku 1988 i 1989. Sprawa ciągnęła się latami. Tak naprawdę „Mały Toszko” wyszedł na prostą

eprasa.pl 28df70e0c3

Majestatyczny pomnik Armii Radzieckiej w Sofii.

dopiero w 2009 r., kiedy spróbował swoich sił w programie telewizyjnym „VIP Brother" 3. Później stworzył też kilka firm, zasiadał w ich radach nadzorczych. Sukces osiągnął także dzięki swojemu popularnemu w Sofii klubowi nocnemu Escape.

Przez cały ten czas „Mały Toszko" nie krył, że ma poważne problemy z alkoholem. Jednocześnie z miesiąca na miesiąc coraz bardziej zamykał się w sobie. Po raz ostatni pojawił się w mediach przed pandemią. Co działo się potem, pozostanie sekretem, który „Mały Toszko" zabrał do rodzinnego grobu.

Śledzący losy „dynastii" Żiwkowów przyczyny takiego stanu psychicznego „Małego Toszka" dopatrują się w kluczowym dla jego życia wydarzeniu. 44 lata temu – jakżeby inaczej, 21 lipca – 11-letni wówczas Toszko stracił matkę. Co dokładnie wtedy się zdarzyło, zwykły bułgarski śmiertelnik zapewne nigdy się nie dowie…

Niepokorna Ludmiła i powinowaci

„Mały Toszko" był synem Ludmiły i Iwana Sławkowa. Ojciec, klasyczny koniunkturalista, dzięki Żiwkowowi piastował praktycznie wszystkie najważniejsze funkcje biznesowo-administracyjne w państwie. Do „dynastii" Żiwkowów nie pasowała natomiast córka „pierwszego". Choć początki jej kariery wskazywały, że idzie wymarzoną przez ojca i politbiuro drogą. Ukończyła studia historyczne na Uniwersytecie Sofijskim, potem historię sztuki w Moskwie. Nawet studia w Oksfordzie nie wskazywały, że już wkrótce Ludmiła wybierze inną ścieżkę, niż życzyłby sobie ojciec.

W 1981 r., na jubileusz 1300-lecia Bułgarii, w Sofii powstał nowoczesny pałac kultury. Ludmiła chciała go uczynić miejscem wymiany kulturalnej dzieci i młodzieży z całego świata. Dzięki licznym inicjatywom kulturalnym przyczyniła się do otwarcia Bułgarii na świat. Córka Żiwkowa dusiła się w proponowanym przez niego modelu „socjalistycznego domu kultury". Jej zdaniem dynamicznie rozwijająca się Sofia powinna być miejscem spotkań ministrów kultury oraz przedstawicieli rozmaitych instytucji zarówno z tzw. bratnich krajów, jak i z państw Zachodu.

Żiwkowowi ta wizja nie mogła się podobać. Ale skoro tego chciała ukochana córka, nie bardzo wiedział, jak jej się przeciwstawić. Jeszcze większym problemem dla komunistycznej wierchuszki było drugie oblicze Ludmiły – jej fascynacje medycyną niekonwencjonalną, zainteresowanie ezoteryką i częste kontakty z Wangą, słynną bułgarską mistyczką i znachorką. Do intensyfikacji kontaktów z Wangą doszło po 12 listopada 1973 r., kiedy Ludmiła została ciężko ranna w wypadku samochodowym. Jej służbowa limuzyna dachowała, gdy spóźniona Ludmiła jechała na lotnisko, by pożegnać udającego się

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK

eprasa.pl 28df70e0c3

w podróż do Polski ojca. Po wypadku żyła jeszcze tylko osiem lat. 21 lipca 1981 r., w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach, w wieku zaledwie 39 lat Ludmiła zmarła.

Jej przedwczesna śmierć wywołała lawinę komentarzy i podejrzeń. Rosyjski dziennikarz i pisarz Arkadij Waksberg uważa, że mogła zostać zabita przez tajne służby ZSRR. Nie brakuje też hipotez, że Ludmiła popełniła samobójstwo, a głównym powodem jej decyzji miały być sowieckie naciski, by raz na zawsze zablokować jej dalszy awans.

Kolejną tragiczną postacią z „dynastii" Żiwkowów był syn I sekretarza Władimir. Również on stracił życie 21 lipca! I znów okoliczności jego śmierci w 2021 r. do dzisiaj nie zostały wyjaśnione. W Bułgarii dominuje przekonanie, że Władо popełnił samobójstwo. Syn Żiwkowa był aktywny politycznie do 1989 r. Później z polityki się wycofał. Ojciec próbował mu załatwiać najatrakcyjniejsze posady, ale pogłębiająca się choroba alkoholowa Władimira nie pozwalała na jakąkolwiek pracę zawodową.

Niewiele wspólnego z polityką chcą mieć kolejne pokolenia rodziny Żiwkowów. Todor, syn Władimira, rocznik 1979, wyemigrował do USA. Zamerykanizował nazwisko i dzisiaj jako Ted Vlad Zivkov mieszka w okolicach Los Angeles. Jest profesjonalnym graczem w pokera. Jego siostra Elizabeth również zerwała z polityką. Wnuczka towarzysza Żiwkowa studiowała modę i design w Londynie. Pracowała w znanym londyńskim domu mody Alexandra McQueena.

Najbardziej rozpoznawalną postacią rodu jest obecnie córka Ludmiły Ewgenija Żiwkowa. Swój modowy biznes zaczęła od produkcji swetrów, które zrobiły furorę na rynku włoskim i japońskim. Ewgenija jest właścicielką domu mody. Ma dwie córki, Ludmiłę i Andreę. Obie ukończyły włoskie liceum w Sofii, które założyła ich babcia Ludmiła Żiwkowa. To samo liceum skończyła trzecia prawnuczka towarzysza Żiwkowa, Katerina, która przez jakiś czas była modelką. Teraz zastanawia się nad kierunkiem studiów – ponoć myśli o farmacji lub naukach politycznych.

Prawec – serce bułgarskiego komunizmu

Aby lepiej zrozumieć bułgarski stosunek do komunizmu, warto się wybrać do miasteczka Prawec, oddalonego zaledwie o 70 km od Sofii.

W 2018 r. w sosnowieckim Pałacu Schoena zorganizowano wystawę „Edward Gierek. Między Wschodem a Zachodem" – wydarzenie to spowodowało lawinę mało pozytywnych emocji. Wystawą zainteresowała się nawet… prokuratura. W Bułgarii do takich sytuacji nie dochodziło nigdy. Bo Żiwkow w rodzinnej miejscowości od lat ma swój dom-muzeum. I wszelkie uroczystości oraz wystawy odbywają się właśnie w nim.

Wielu obywatelom nazwisko Żiwkow kojarzy się z dobrobytem i stabilizacją, których nowy ład demokratyczny nie był w stanie im zapewnić.

„Witamy w świątyni wiedzy, korzeni i pamięci" – takie hasło widnieje w muzeum, które powstało w czasach, kiedy Żiwkow niepodzielnie rządził komunistyczną Bułgarią.

Gdy w roku 1911 przyszedł na świat mały Todor, wieś Prawec była niewielką osadą składającą się z kilku ubogich domów, pozbawionych elektryczności i kanalizacji. W latach 70. i 80. Prawec z zapomnianej wioski zmienił się w kwitnące miasteczko. W 1971 r. powstała tam myśliwska rezydencja „pierwszego", jedna z wielu, jakie w tym okresie zbudowano w Bułgarii. U podnóży tego trochę kiczowatego pałacu Żiwkow stworzył miasteczko, w którym prawdopodobnie żyło się najlepiej w całej Bułgarii.

Na początku lat 80. tamtejszy rynek i okoliczne uliczki należały do najnowocześniejszych w Bułgarii. To samo można było powiedzieć o sklepach – najmodniejsze ubrania przeciętnemu Bułgarowi łatwiej było kupić w Prawecu niż w stolicy. A kawior, ośmiorniczki czy wielbiona przez Bułgarów luksusowa wędlina łukanka niemal zawsze były dostępne w tamtejszych delikatesach. Nad malowniczym jeziorem powstał hotel i mehany – ludowe restauracje serwujące największe przysmaki bułgarskiej kuchni. W Prawecu w latach 80. produkowano nawet bułgarskie komputery! Miasteczko za czasów Żiwkowa pełne było kwiatów, a trawę podlewano nawet wtedy, gdy z powodu suszy obowiązywał zakaz podlewania czegokolwiek.

Tamtejsi ludzie pracy skupieni na dobrach konsumpcyjnych zdawali się nie zauważać, że w tak lubianym przez nich Prawecu kult jednostki zaczyna przekraczać czerwoną linię. W czasach tzw. rozwiniętego socjalizmu stały tam nawet dwa pomniki Żiwkowa. Był jedynym Bułgarem, któremu postawiono je za życia – nie protestował, kiedy w dniu 70. urodzin w centrum miasteczka stanął jego monument. Jednak ku zaskoczeniu rodaków pomnik przetrwał tylko do 12 lipca 1987 r. Tego dnia, a właściwie nocy, służby specjalne dyskretnie go zdemontowały. Choć nikt tego oficjalnie nie przyznał, w Prawecu w tym dniu miał się pojawić Michaił Gorbaczow i Żiwkow doszedł do wniosku, że autorowi pierestrojki może się nie spodobać pomnik tego, który do Bułgarii go zaprosił.

Do dziś przetrwał jednak drugi pomnik komunistycznego „cara". W ciągu ostatnich lat przesuwano go z miejsca na miejsce. W mniemaniu wielu Bułgarów prawdziwe i godne odsłonięcie pomnika Żiwkowa w Prawecu miało miejsce już w XXI w., a dokładnie 8 września 2001 r. W uroczystości z udziałem kompanii honorowej uczestniczył socjalistyczny prezydent Georgi Pyrwanow. Mierząca 2,6 m statua znajduje się teraz w parku przy wjeździe do Prawecu. Zawsze jest ozdobiona świeżymi kwiatami (od obywateli) i wieńcami (od polityków). Nad pomnikiem Żiwkowa dumnie powiewają trzy flagi: bułgarska, z herbem Prawecu i Unii Europejskiej. Mieszanka wybuchowa? Dla współczesnego Bułgara – niekoniecznie.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl 28df70e0c3

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Siedemdziesiąt lat współżycia

Erotyczne rozumienie powyższego tytułu będzie prawidłowe. Moja największa miłość to Tatry.

Prawie nigdy o nich nie pisałem. Ale czy łatwo jest pisać o przeżyciach intymnych? Oto bowiem w pewien czerwcowy ranek 1955 r. ujrzałem białe, ostre zęby na tle nieba i usłyszałem dźwięki nowych słów. „Widzisz Giewont?", pytała mama. Tak, chyba go zobaczyłem. „A widzisz krzyż?". Tego nie widziałem – byliśmy w Poroninie, Tatry były dość daleko. „A tam jest Świnica". Wiodłem wzrokiem za ręką mamy i przytaknąłem, choć nie byłem pewien i dopiero po paru latach się przekonałem, że ów biały kieł, który w myślach nazwałem Świnicą, był nią rzeczywiście.

Tamte wakacje były długie, dwuipółmiesięczne. Następne, w roku 1956, były jeszcze dłuższe – przyjechaliśmy już 30 kwietnia. Pamiętam tę datę, bo nazajutrz odbył się w Białym Dunajcu pochód pierwszomajowy – każda gmina była wtedy zobowiązana do urządzenia takiego pochodu. Wyjechaliśmy zaś dopiero 7 września, co znów pamiętam, bo wkrótce po powrocie zaczął się Polski Październik. Wakacje były jednak wolne od polityki. Tego lata robiłem już z mamą pierwsze tatrzańskie wycieczki.

Lecz wtedy dopadała nas historia. W drodze do Kuźnic mama pokazywała namalowaną na ujęciu wodnym w Dolinie Bystrej literę P z kotwicą. Mówiła, że to symbol Polski Walczącej i że w okupacyjnej Warszawie malował go jej kuzyn, Janek Bytnar „Rudy". Niewiele z tego rozumiałem. Z Kuźnic maszerowaliśmy potem Doliną Jaworzynką na Halę Gąsienicową i pamiętam moje zdumienie, gdy na grzbiecie Skupniowego Upłazu dostrzegłem rząd czarnych mrówek. Mama objaśniła, że tak widać z oddali i że to są ludzie.

Była biologiem i to od niej usłyszałem kolejne nowe słowa: „Park Narodowy". W Tatrach został on utworzony zaledwie pięć miesięcy przed naszym pierwszym przybyciem, więc nie bardzo jeszcze wiedziano, jak go należy traktować. Nie wiedziała także mama. Gdy z Hali Gąsienicowej wracaliśmy Skupniowym Upłazem, wpadła na pomysł, by skrócić sobie drogę. Zaczęliśmy schodzić stromo w dół, wprost do Jaworzynki, tracąc równowagę, grzęznąc w chaszczach i kalecząc się o skałki. Zmordowani, podrapani i posiniaczeni, złożyliśmy sobie przyrzeczenie, że już nigdy nie będziemy skracać drogi. Z czego widać, że z Parku Narodowego nic sobie jeszcze nie robiono.

Przekomarzałem się kiedyś z Michałem Jagiełłą, że Tatry znam dłużej od niego. „Andrzeju wspaniały", odpowiadał Michał dobrotliwie, bo był nie tylko turystą i taternikiem, lecz również alpinistą i himalaistą. On, później ode mnie osiadły pod Tatrami, zaszedł daleko – ja zatrzymałem się w rozwoju. A mimo to w ciągu tych siedemdziesięciu lat przeszedłem Tatry wszerz i wzdłuż, po polskiej i słowackiej stronie. Tyle że poruszałem się wyłącznie szlakami znakowanymi. A to znaczy, że Tatr jednak nie poznałem. Bo gdybym chciał je poznać, musiałbym złamać przepisy (w Polsce) lub wziąć przewodnika (na Słowacji). Pierwszego nie mógłbym zrobić z racji ochrony przyrody, drugiego – z potrzeby obcowania z Tatrami w samotności.

A przecież Tatry były dla mnie zawsze ważne. I może także dlatego przemierzałem je tylko po szlakach. I traktowałem Tatry poważnie, miałem przed nimi respekt. Nigdy nie szarżowałem, nie chodziłem na tempo, nie biłem rekordów. Najbardziej, jak się rzekło, ceniłem samotność, ale gdy już szedłem z kimś, od razu się umawialiśmy: w marszu żadnych rozmów! Toteż Tatry przyjmowały mnie życzliwie. Nigdy nie zrobiły krzywdy. Choć nieraz zlewały deszczem, a pioruny biły o parę kroków. Gdy jednak kiedyś schodziłem zmęczony z Zawratu i jedną nogą byłem już nad przepaścią, ktoś złapał mnie za rękę, szepcząc: „Nie, nie". Gdy zaś w ulewie, w chmurach i z widocznością nieprzekraczającą metra schodziłem z grani do Doliny Jamnickiej, instynktownie, w ciemności, omijałem urwiska. Jak widać, Tatry troszczyły się o mnie – uznawały mnie za swego.

> Traktowałem Tatry poważnie, miałem przed nimi respekt.

Były inne niż dziś. I inne było Podhale. W drewnianych domach nie było mowy o łazienkach, na podwórku stała studnia. Do kościoła poronińskiego przychodzili górale w kierpcach, w portkach z parzenicami, w białych lub brązowych guniach, w kapeluszach zdobnych w muszelki. Wieczorami w centrum Poronina odbywały się góralskie występy: śpiewano przy płonącej watrze, lśniły rzucane do góry ciupagi, górale tańczyli krzesanego lub zbójnickiego z przysiadami. Takie było to moje współżycie. „Mój świat. Pieśni na gęśliczkach i malowanki na szkle" – by zacytować tytuł tomiku Jana Kasprowicza. Poety z Poronina.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

Strategia Kataru

Małe państwo Zatoki Perskiej staje się globalną potęgą dyplomatyczną

Mateusz Mazzini

Czerwcowa awantura na Bliskim Wschodzie, trwająca zaledwie 12 dni i według niektórych ekspertów nienadająca się nawet do uznania za pełnowymiarową wojnę, miała cichego protagonistę. Na pierwszym planie srożył się Beniamin Netanjahu, obiecujący wyeliminowanie irańskiego zagrożenia nuklearnego raz na zawsze, Donald Trump w typowej dla siebie poetyce mówił, że w wojnę się zaangażuje albo nie, ajatollah Chamenei zaś mimo bomb spadających na stolicę jego kraju nie tylko deklarował dalszą chęć walki z całym Zachodem, ale też zaciskał pętlę represji na gardle własnego społeczeństwa. Niewiele tu wniosło dyplomatyczne zaangażowanie Europy, która, jak zwykle ostatnio, po prostu się ośmieszyła. Niemiecki minister spraw zagranicznych Johann Wadephul oraz szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas rozmawiali w Genewie ze swoim irańskim odpowiednikiem Abbasem Aragczim, próbując odwieść Teheran od dalszego rozwijania zdolności nuklearnych, tymczasem Amerykanie skorzystali z tego, że negocjacje odciągają uwagę świata, by przygotować naloty na irańskie ośrodki wzbogacania uranu.

Emir wchodzi do gry

Kiedy to wszystko pokazywały światowe kanały informacyjnie, w tle prężnie pracował ktoś inny. Ktoś, kto nie lubi rozgłosu, ma – jak każdy arabski lider – awersję do ryzyka, ale jest również świadomy ograniczeń własnego kraju. Tamim ibn Hamad al-Sani, bo tak w pełnym brzmieniu przedstawiany jest emir Kataru, był jedynym realnym pośrednikiem pomiędzy Teheranem i Waszyngtonem.

Przez lata, jak to opisał w ostatniej książce, zatytułowanej „Wojna", wybitny amerykański reporter Bob Woodward, tę rolę odgrywali naprzemiennie Szwajcarzy i Omańczycy. Oman miał nawet gościć amerykańskiego prezydenta J.D. Vance'a oraz irańską delegację w ramach negocjacji na temat irańskiego programu nuklearnego. Plany były ambitne, ale do rozmów nie doszło, bo w dniu, w którym miały się rozpocząć, Netanjahu wybrał ucieczkę do przodu przed własną skrajną prawicą i wystrzelił rakiety w kierunku Iranu.

Jak na łamach „Guardiana" opisał to Patrick Wintour, reporter zajmujący się światową dyplomacją, to emira Kataru administracja Trumpa wytypowała na kolportera informacji.

Katarska delegacja doprowadziła w Czadzie niemal do całkowitego wyciszenia walk rebeliantów.

Bo rzeczywiście Al-Sani utrzymuje względnie poprawne stosunki z każdym państwem w regionie. Spośród krajów arabskich to Katar całkiem nieźle radzi sobie nawet z Izraelem, którego formalnie nie uznaje, ale relacje handlowe na niższym szczeblu prowadzi z nim od 1996 r. Nie bez znaczenia jest też fakt, że właśnie na Katar spadły irańskie pociski odwetowe. Choć z zewnątrz można było to uznać za kolejny krok eskalujący konflikt, nawet do poziomu wojny obejmującej cały Bliski Wschód, w rzeczywistości był to ruch przemyślany, wręcz teatralny.

Iran najpierw publicznie zagroził, że weźmie na cel amerykańskie bazy wojskowe w regionie. To mogło oznaczać właściwie każdy z sześciu krajów, w których Amerykanie stacjonują, w tym Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Padło na Katar, gdzie znajduje się baza lotnicza Al-Udeid. To ogromna, zajmująca ponad 24 ha, największa baza Stanów Zjednoczonych na całym Bliskim Wschodzie. Co za tym idzie, jest najlepiej chroniona przed ostrzałem rakietowym. Irańskie pociski nie wyrządziły więc wielkich szkód, bo nie mogły tego zrobić.

Na poziomie oficjalnych deklaracji mieliśmy oczywiście prężenie muskułów. Irański reżim stwierdził, że „dokonał dewastującego ataku na siły wroga", choć wystrzelił zaledwie sześć rakiet. Z kolei amerykański Departament Stanu mówił już o 14 pociskach, spośród których 13 przechwyciły systemy antyrakietowe, a jeden trafił w ziemię daleko od jakiegokolwiek celu strategicznego. Obyło się bez ofiar śmiertelnych i wszyscy byli zadowoleni. Iran – bo zgodnie z brytyjskim powiedzeniem każda forma polityki jest polityką krajową, ajatollahowie mogli zatem pokazać swojemu narodowi, że nawet po 12 dniach naprawdę ostrych bombardowań byli w stanie uderzyć w Amerykanów. Waszyngton – bo odparł atak, który był tak słaby, że nie wymagał specjalnego zaangażowania ze strony wojsk ani USA, ani sojuszników. A nawet Katar, bo według wszelkich dostępnych danych został o tym ataku po prostu przez Iran uprzedzony.

Patrick Wintour, a także analitycy z The Washington Institute for Near East Policy, jednego z ważniejszych

eprasa.pl 28df70e0c3

Emir Kataru, był jedynym realnym pośrednikiem pomiędzy Teheranem i Waszyngtonem.

w USA centrów analitycznych zajmujących się Bliskim Wschodem, są zgodni, że emir Kataru w trakcie 12-dniowego konfliktu komunikował się i z Waszyngtonem, i z Teheranem.

Nie byłby to pierwszy raz, kiedy władze tego państwa włączają się w międzynarodowe wysiłki dyplomatyczne mające stabilizować przede wszystkim świat arabski i Afrykę Subsaharyjską. Katar był kluczowym graczem w kwestii zawierania pokoju pomiędzy Demokratyczną Republiką Konga i Rwandą, wyciszenia walk w Sudanie, w konfliktach w Syrii i Libii, a także – w ograniczonym stopniu – w Gazie. Trzeba jednak zrozumieć, dlaczego w ogóle emir Kataru przyjął taką strategię.

Mały, ale skuteczny

Jak zawsze w tym regionie, odpowiedź można znaleźć w geografii. Katar to państwo naprawdę mikroskopijne, trzykrotnie mniejsze powierzchniowo od województwa mazowieckiego. Zamieszkuje je nieco ponad 2,8 mln osób, czyli mniej więcej tyle, ile Warszawę z przyległościami. Inaczej wygląda to jednak, kiedy weźmie się pod uwagę bogactwo. W liczbach bezwzględnych może nie wygląda to jeszcze imponująco, bo to dopiero 54. największa gospodarka świata (Polska jest 21., niebawem wskoczy na 20. miejsce), ale już PKB na mieszkańca wynosi tam 69 tys. dol., czyli ponad cztery razy więcej niż u nas. Liczby nie oddają wszystkiego, bo życie w Katarze, tak samo jak w pozostałych państwach Zatoki, przypomina złotą klatkę. Ale lepiej być jej beneficjentem, a nie imigrantem, który ją buduje.

Państwo zredukowane jest do minimum, nie ma nawet poczty (na co regularnie skarżą się Europejczycy, zmuszeni do korzystania z drogich firm kurierskich). Jednocześnie wszystkie wielkie firmy, od koncernów wydobywczych po linie lotnicze, dumnie reprezentują kraj, zazwyczaj zawarty w nazwie takiej spółki. Obcokrajowcy otrzymują bardzo dobre warunki pracy i nie płacą zbyt wysokich podatków – najczęściej 10%. To oczywiście dotyczy tylko tych, którzy trafiają tam z Zachodu, są prawie zawsze biali i mogą się pochwalić wysokimi kwalifikacjami. Dla pozostałych – budowlańców, pomocy domowych, pracowników fizycznych, a nawet przedsiębiorców w małej gastronomii – Katar bywa piekłem na ziemi, o czym media rozpisywały się przy okazji zorganizowanych tam mistrzostw świata w piłce nożnej.

Z geopolitycznego punktu widzenia Katar nie może spać spokojnie, nie tylko dlatego, że znajduje się w bardzo niestabilnym regionie. Nie ma własnego potencjału militarnego, w przeciwieństwie np. do Arabii Saudyjskiej, angażującej się na własną rękę w konflikty, tak jak przez wiele lat w Jemenie.

Głównym źródłem dobrobytu Katarczyków jest handel ropą naftową. Jak zauważa jednak Michael Singh z Washington Institute for Near East Policy, dobrobyt krajów Zatoki zależy w znacznie większym stopniu od tego, co się dzieje nie w samej Zatoce Perskiej, ale na szlakach handlowych i w miejscach, przez które przepływa ich ropa. Dlatego, co przypominał w „Guardianie” Patrick Wintour, Katar zmuszony jest utrzymywać stosunki z Iranem, nie tylko ze względów religijnych. Ajatollahowie regularnie grożą bowiem blokadą cieśniny Ormuz, przez którą codziennie przepływa jedna piąta światowego zapotrzebowania na ropę naftową. Czy taka blokada byłaby kiedykolwiek realna i skuteczna? Istnieją co do tego duże wątpliwości, ale Katarczycy nie chcą ryzykować. Ewentualny sukces blokady oznaczałby gigantyczne straty dla

W Sudanie emir zaoferował 10 mln dol. na inicjatywy chroniące kobiety w strefach konfliktów zbrojnych.

FOT. DROP OF LIGHT/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 28df70e0c3

katarskiego PKB. Chociażby z tego powodu emir od razu potępił ataki Izraela z czerwca tego roku, nazywając je „bezprecedensowym i nieuzasadnionym naruszeniem irańskiej suwerenności".

Jak Szwajcaria albo Norwegia

Podobny modus operandi stosują Katarczycy właściwie wszędzie, gdzie to możliwe. Ich dyplomaci byli bardzo zaangażowani w podpisanie rozejmu pomiędzy Rwandą i Demokratyczną Republiką Konga, jedynego traktatu pokojowego, który dotychczas został zawarty za prezydentury Trumpa (co, nawiasem mówiąc, może nie wystarczyć do upragnionej Pokojowej Nagrody Nobla). Na pierwszy rzut oka to mało oczywista inicjatywa, bo przecież oba kraje położone są daleko od morskich szlaków handlowych. Jednak, jak tłumaczy Beverly Ochieng z think tanku Center for Strategic and International Studies (CSIS), Katar ma tam bardzo dużo do ugrania. Są ogromne złoża metali ziem rzadkich, potrzebnych chociażby do rozwoju nowych technologii i zielonej rewolucji, oprócz tego Qatar Airways dysponują prawie połową udziałów w RwandAir, narodowym rwandyjskim przewoźniku, oraz 60% udziałów w spółce zarządzającej lotniskiem Bugesera nieopodal stolicy kraju, Kigali. Nie ma co się dziwić, że walki rebeliantów, przy sporym udziale najemników z krajów europejskich, niespecjalnie się podobały emirowi.

Wcześniej, co przypomniała Beverly Ochieng w serwisie Deutsche Welle, podobny sukces katarska delegacja osiągnęła w Czadzie, gdzie również doprowadziła do niemal całkowitego wyciszenia walk rebeliantów. W Sudanie emir zaangażował się w działalność humanitarną, oferując 10 mln dol. na inicjatywy chroniące kobiety w strefach konfliktów zbrojnych. Pieniądze wysłał także na konta Czerwonego Półksiężyca i Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Tu w tle są walki o Port Sudan, jedyny port morski tego kraju, ale też o zbudowanie kolejnego nad Morzem Czerwonym. W obliczu destabilizacji tej części świata przez jemeńskich Hutich byłby to ważny projekt stanowiący przeciwwagę dla terrorystów.

Z powodu zaangażowania dyplomatycznego Katar coraz częściej bywa nazywany bliskowschodnią Szwajcarią – bo to mały, ale bogaty kraj, który musi mieć wszędzie przyjaciół, żeby przetrwać. Albo tamtejszą Norwegią, czyli państwem budującym własną markę i soft power dzięki pośredniczeniu w negocjacjach pokojowych. Można więc spodziewać się niebawem dauhańskiego procesu pokojowego, tak jak to miało miejsce w Oslo, czy nawet konwencji z Ad-Dauhy, na wzór konwencji genewskiej.

W drodze po pokojowego Nobla

Okazja do tego jest zresztą idealna, bo na rozwiązanie czeka najbrutalniejszy konflikt XXI w., czyli izraelska eksterminacja ludności palestyńskiej w Gazie. Najpierw bomby, teraz głód – choć z jakiegoś powodu rząd w Tel Awiwie wciąż nie ma odwagi przyznać, że chce wszystkich Palestyńczyków zabić, bez względu na to, czy mają coś wspólnego z Hamasem. Jednocześnie warto wspomnieć, że przywództwo polityczne tej organizacji od wielu lat komfortowo rezyduje właśnie w stolicy Kataru. Nie ono jedyne, od stycznia 2012 r. swoje biuro polityczne mieli tam nawet talibowie. Biuro Hamasu oficjalnie (jak informuje BBC) zostało w Ad-Dausze zamknięte w listopadzie 2024 r., choć jedynie tymczasowo. Niewielka to różnica, skoro emir Kataru w ostatnich kilkunastu latach przeznaczył na wsparcie tej organizacji (wykorzystane głównie do zakupu broni) ponad 1,8 mld dol. Katar nigdy nie potępiał Hamasu, zawsze wskazując, że wszystkiemu w tej wojnie winna jest strona izraelska.

Z geopolitycznego punktu widzenia Katar nie może spać spokojnie, nie ma też własnego potencjału militarnego.

Nawet tu jednak coś zaczyna się zmieniać, bo 29 lipca 17 państw, razem z Unią Europejską i Ligą Arabską, podpisało deklarację wzywającą Hamas do oddania władzy politycznej w Strefie Gazy. W tym gronie znalazły się dwa kraje arabskie, które tradycyjnie prezentowały odmienny styl uprawiania polityki zagranicznej – Katar i znacznie bardziej „harcownicza" Arabia Saudyjska. Biuro emira co prawda potem z tego ruchu nieco się wycofało, tłumacząc, że „Katar popiera pozostanie Hamasu u władzy tak długo, dopóki jest to suwerenna decyzja narodu palestyńskiego", ale przełom nie przeszedł niezauważony.

W tym najstraszniejszym konflikcie naszych czasów władze w Ad-Dausze nie mogą już siedzieć okrakiem na barykadzie, handlując z Izraelem, ale zarazem dając pieniądze Hamasowi. W interesie wszystkich w Zatoce Perskiej jest zakończenie tej tragedii, która przecież może się rozlać na inne państwa. Gdyby mu się to udało, emir Kataru odniósłby ogromny sukces. Być może wystarczający, by zasłużyć na pokojowego Nobla.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 28df70e0c3

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Czołg nigdy nie jest domem

15 sierpnia, w dniu upamiętniającym zwycięstwo Matki Boskiej (cud, panie, cud!) nad Armią Czerwoną, przetoczyła się przez Warszawę gigantyczna, największa od lat defilada wojskowa. Od czasów greckich wiemy, że tzw. bogowie uwielbiają prowadzić ludzkie wojny, oni wszak są nieśmiertelni. Nie będziemy się tu zagłębiać w próżne i daremne rozważania, dlaczego boskie dowództwo wojskowe wydelegowało akurat tę boską nieboską niewiastę do rozstrzygnięcia wojennej rzezi i, choć rzeczona Matka była Żydówką, mamą Jezusa, najwyraźniej zwyciężyło staropolskie „panie przodem".

Żarty żartami, ale do śmiechu nie jest. Nie wiem, która z boskich osób patronuje nadciągającym wichrom wojny. Wiadomo natomiast dość dobrze, które państwa imperialne zacierają rączki na myśl o wojnie poza swoim terytorium i który z ich gigantów przemysłu zbrojeniowego zarabia na tym kolejne miliardy. Warszawska defilada była m.in. prezentacją ich produktów, notujcie sobie.

Polska, w ostatnich 35 latach drepcząc w niepewności, jakim i dla kogo chce być państwem, mając niewiele do zaoferowania, za to odgrywając wzorowo rolę peryferyjnego pseudomocarstewka, postawiła na robienie zakupów większych niż inni, czyli zbrojenie się na ułudopotęgę. USA, wypełniając lukę po Maryi, były od lat ostoją wszelkich nadziei i gwarancji dla polskich rządów, a i społecznej świadomości. Militarystyczne zauroczenie i zadurzenie, podparte rozbudowaną wersją masowej produkcji propagandowego strachu i nieuniknionych zagrożeń, zaowocowało tym, że Polska wydaje na zbrojenia najwięcej ze wszystkich krajów Unii. Miliardy bez kontroli, bez głowy, bez sensu płyną głównie do USA albo do ich wojskowych akolitów (jak Korea Południowa). W tym roku to niemal 190 mld zł, co stanowi wartość ponad 20% całości wydatków budżetu państwa. Jedyne statystyki, w których Polska znajduje się na czele, to właśnie statystyki wydatków zbrojeniowych. Równocześnie wiemy, że te wydatki nie są w stanie usamodzielnić Polski w scenariuszu wojennej konfrontacji. Prawdę mówiąc, sama ta konfrontacja jest wielką enigmą. Ale rozpętanie lęków i strachów wymaga balsamu i zaklęć o bezpieczeństwie – i to leje się szerokim, niepowstrzymanym strumieniem ze wszystkich politycznych stron.

Nie ma niczego tak niepodważalnego w polskiej debacie jak konieczność zbrojeń, zakupów i posiadania liczniejszej armii. Ta wywołująca powszechny aplauz wizja prężyła się na defiladzie. Nowy obóz prezydencki ścigał się z niechętnym, nieprzyjaznym lub wrogim mu obozem rządowym, kto tu bardziej wygląda na wojaka. Problem, przeciw któremu stanęliśmy na demonstracji 15 sierpnia pod hasłem: „Szpitale, szkoły, mieszkania zamiast bomb – stop wojnie i militaryzmowi", to fakt. A nawet całe morze faktów, które, gdy wyznawana jest filozofia: więcej czołgów, armat, samolotów, okrętów, bomb, rakiet i amunicji, stanowią niepodważalne alibi dla niewydawania pieniędzy publicznych na edukację, służbę zdrowia, mieszkalnictwo i inne (realne do bólu) potrzeby społeczne.

Militaryzacja jest kneblem na rzeczywiste potrzeby, które budują bezpieczeństwo życia codziennego, przyszłość i sens funkcjonowania we wspólnocie państwowej. Niestety, wirus militaryzacyjny dokonuje dzieła zniszczenia, również dlatego, że dawno już przestaliśmy stosować przeciw niemu szczepionki. Opowieść o konieczności zrobienia wszystkiego, żeby żyć w świecie bez wojen i konfliktów zbrojnych, przegrywa z pieśnią wojennej chwały, pieśnią, w której śmierć staje się banałem i statystyką. W której znika nasze życie, nasze pragnienie budowy świata na innych zasadach niż wojenne. Okazało się, że łatwo wydrwić takie słowa i pojęcia jak pokój, współistnienie, porozumienie – i oddać wszystko na pastwę nagiej, przepotwornej przemocy wojennej. Pamięta jeszcze ktoś, jak prawica przygotowywała się do przejęcia Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku? Pojawił się zarzut, że nazbyt eksponowane jest hasło „Nigdy więcej wojny". Jeśli jeszcze kiedyś nasz pomroczny czas będzie rozliczany, to ta nawałnica niepamięci, czym jest wojna, czym jest globalny militaryzm, czym są interesy globalnych mocarstw i czym to się kończy, będzie jednym z najważniejszych i najpotężniejszych zarzutów. Jeśli przeżyjemy.

Czy naprawdę po to Polska „stawała" na nogi, zostając, o czym z dumą mówił ostatnio premier Tusk, 20. gospodarką świata, żeby przepuścić zyski na wojenną machinę zniszczenia i zagłady? Kilkadziesiąt lat zimnej wojny dało czas bez wojny. Pokolenie pamiętające straszny, bolesny czas wojenny znika ostatecznie. Jego głos przestał ważyć, jego naznaczone wojną życie niczego nas nie nauczyło. Dlatego wołamy: „Stop wojnie, stop militaryzmowi, stop oswajaniu nas z fałszywym przekonaniem, że musimy do wojny za wszelką cenę się gotować". Za wszelką cenę należy gotować się do pokoju. Si vis pacem, para pacem. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

Piotr Kimla
Korespondencja z Korei Południowej

Blisko perfekcji

Seul zaskakuje Europejczyków

W czasie wakacji wybaczalne jest podzielenie się refleksjami romantycznymi. To znaczy opartymi na pierwszych wrażeniach. Wrażeniach zbudowanych na spontanicznej, niepogłębionej refleksji socjologicznej. Wrażeniach, jakie człowiek odnosi po prostu po tygodniowym pobycie w odległym kraju, w najbogatszej części jego stolicy. Poważne problemy społeczno-polityczno-ekonomiczne trapiące mieszkańców nie są przecież widoczne gołym okiem.

Nic nie wiemy chociażby o horrendalnych cenach wynajmu mieszkań, o problemie samotności, samobójstw, o konieczności pracy do bardzo późnej starości, o tym, że młode pokolenia nie chcą już powielać schematu pracy rodziców i dziadków, która kończy się przed północą kolacją z przełożonym. Nie wiemy, że duży parasol ustawiony przy przejściu dla pieszych nie jest wyrazem ujmującej troski władz o obywateli – żeby ochronić ich przed prażącym słońcem – lecz jest przygotowany dla policjanta na służbie.

Zawieszam zatem wiedzę zdobytą w rozmowach z uczonymi specjalistami oraz wiedzę książkową. Dzielę się tym, co każdy zobaczy na pierwszy rzut oka. A zobaczy świat o świetnej kulturze i organizacji bliskiej doskonałości. Proponuję pozostać przy pierwszym wrażeniu, bo przecież jeśli ktoś zdecyduje się na podróż, pojedzie do miejsca, o którym piszę, nie po to, żeby tam mieszkać i pracować, ale by przez kilka-kilkanaście dni posmakować atmosfery.

Czy chcielibyście państwo spotkać szykowne kobiety, bez zmarszczek niezależnie od wieku (oprócz sprzyjającego klimatu mają do dyspozycji świetnie działające kosmetyki, dostępne także u nas, tyle że za trzykrotnie wyższą cenę)? Czy chcielibyście spotkać eleganckich mężczyzn w dobrze skrojonych garniturach, noszonych, gdy temperatura na zewnątrz wynosi 35 st.? Wszyscy ci ludzie są szczupli, problem otyłości nie istnieje (w trakcie pobytu dostrzegłem może trzy osoby z nadwagą, a wszystko to w świecie, w którym funkcjonują amerykańskie restauracje i fast foody).

To dzięki kuchni z mnóstwem kiszonek, dominacją ryżu, obecnością wodorostów – mieszkańcy tego kraju odpowiadają za 90% ich światowej konsumpcji. Kolejki do restauracji zdarzają się, lecz tylko do miejsc oferujących kuchnię lokalną. Jedzenie w restauracji jest tanie. Za 30-40 zł można zjeść pożywny obiad o zupełnie innych niż w Europie walorach smakowych. Obsługa nie przyjmuje napiwków. Restauracje – te, w których byłem – są sterylnie czyste. Kelner czy kelnerka czasem kilkukrotnie przecierają stolik. Wszystko jest skomputeryzowane. Zamawia się, a często również płaci, za pomocą tabletu znajdującego się na każdym stoliku.

Stołeczne ulice są idealnie czyste, chociaż nie ma na nich koszy na śmieci.

Czy chcielibyście państwo przechadzać się po ulicach obcego kulturowo miasta bez najmniejszego stresu o swoją integralność cielesną, portfel i całą własność? W miejscu, które mam na myśli, możecie zostawić bez nadzoru laptop i inne cenne rzeczy ze stuprocentowym przekonaniem, że nikt ich nie ukradnie. Do kradzieży nie dochodzi także w najbardziej zatłoczonych ulicach handlowych. Nie dociekałem, czy to skutek powszechnego systemu monitoringu, czy wpływ uwarunkowań kulturowych. Odpowiedzą nam na to pytanie fachowcy od opisywanego tu kraju, jeśli ten tekst trafi w ich ręce.

Stołeczne ulice są idealnie czyste, chociaż nie ma na nich koszy na śmieci. Odpadki pakuje się do kieszeni i wyrzuca w nielicznych dostępnych miejscach, np. na stacjach metra. Jeśli chodzi o metro, jest zorganizowane najprzejrzyściej na świecie. Sądziłem zawsze, że najlepsze są wiedeńskie i londyńskie – byłem w błędzie. Ludzie na peronach sami ustawiają się w kolejki, nie ma przepychania przy wysiadaniu i wsiadaniu. Odzwierciedla to odczuwane podświadomie uporządkowanie całego kraju. Metro rozwiązuje też problem dostępu do toalet. Darmowe i pachnące czekają na mieszkańców i turystów na każdej stacji.

Turyści z Europy nie mogą liczyć na jakieś specjalne względy obywateli stolicy. Spotykają się ze zdystansowaną obojętnością, podszytą być może nutą wyższości. Europejczyka może to lekko szokować. Później jednak może mu dać asumpt do przemyślenia jego europocentryczności i pomóc zrozumieć, że Europa nie ma monopolu na wytwarzanie wielkiej, wyrafinowanej kultury. W każdym razie ludzie w tym kraju są odważni (znakomita większość mężczyzn odbyła służbę wojskową) i pewni siebie. Ta pewność siebie nie jest wynikiem puszenia się, lecz ma solidne podstawy w niesamowitej pracowitości i wybitnych dokonaniach w wielu dziedzinach. 52-milionowy kraj zdołał wypromować własne kino i muzykę popularną, a nawet zdobyć literackiego Nobla. Wspomnianej pracowitości nie są w stanie sprostać zwykli zjadacze chleba z innych stron świata, dlatego kraj ten ma problem z przyjmowaniem imigrantów. Uderza w związku z tym homogeniczność ludności, w której obcokrajowcy natychmiast rzucają się w oczy.

Turyści mogą liczyć na darmowy wstęp do wielu ciekawych muzeów, w tym do mieszczącego się w imponującym budynku muzeum historii.

eprasa.pl 28df70e0c3

Biznesowa dzielnica Gangnam w Seulu.

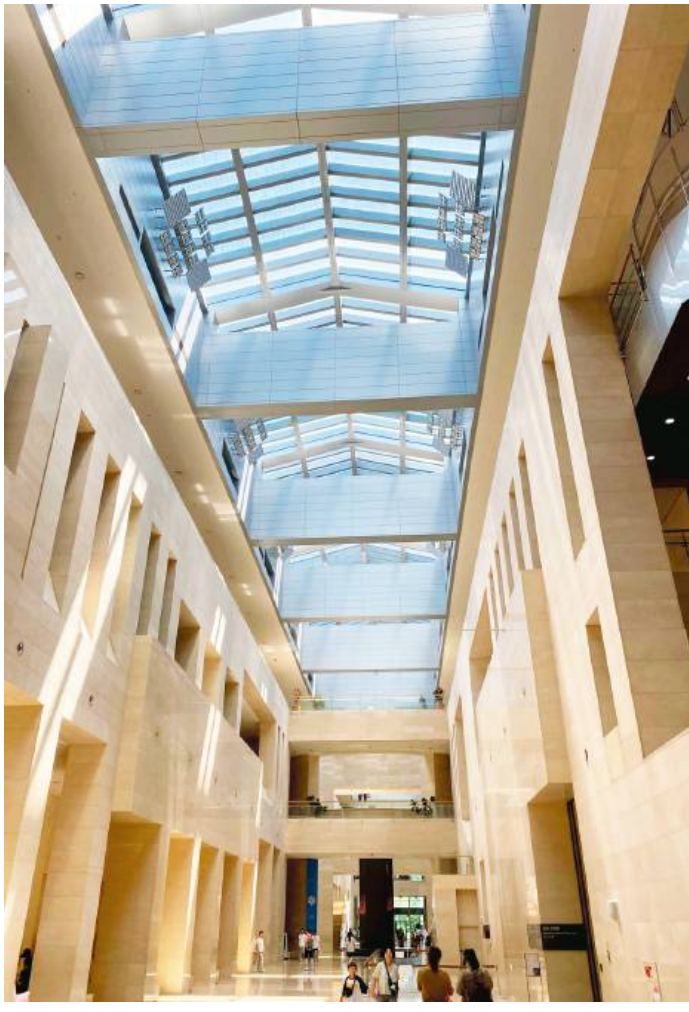

Turyści mogą liczyć na darmowy wstęp do wielu muzeów, w tym do mieszczącego się w imponującym budynku muzeum historii.

Również opłaty za inne atrakcje turystyczne wydają się rozsądne.

Czy chcieliby państwo zobaczyć kosmicznie wyglądające telebimy, a na ulicach samochody marek, które wprawdzie w Polsce znamy, lecz nie ma u nas ich najnowszych modeli? Czy generalnie chcielibyście zobaczyć, jak może wyglądać Warszawa za 20 lat, i to nie oczami wyobraźni, ale na żywo?

Jeśli chcecie to wszystko zobaczyć i wszystkiego spróbować, wybierzcie się do Seulu i zatrzymajcie w biznesowej dzielnicy Gangnam. Byłem tam na światowym kongresie politologów, gdzie poinformowano mnie, że obok K-popu istnieje specjalny rodzaj demokracji – K-democracy. Wysłuchałem m.in. prezydenta Korei Południowej, który postanowił skorzystać z okazji i przemówić do fachowców od polityki z całego świata. Nikogo z nas nie rozczarował – mówił przez 25 minut tak, by nic nie powiedzieć. Takiego przemówienia europejscy – i wszyscy inni politycy – by się nie powstydzili. W tym aspekcie egzotyczny świat okazał się bardzo znajomy. ■

Seul zawsze robi wrażenie na turystach.

FOT. PIOTR KIMLA (2), FORNSTUDIO/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 28df70e0c3

Bp Życiński porównał mnie do Judasza

W polskim Kościele jest sporo kleru o słabej formacji, niewykształconego, nieznającego teologii. I on rządzi

Przedstawianie prof. Tadeusza Bartosia naszym czytelnikom byłoby nietaktem – zarówno wobec nich, jak i wobec profesora. Jego dorobek i intelektualna odwaga są dobrze znane, a dla wielu stanowią inspirację do dalszych poszukiwań. Wywiad rzeka z profesorem, której fragmenty prezentujemy, to lektura wymagająca i niełatwa. Zmusza do zadawania pytań: Dlaczego? Po co? Czy naprawdę musiał? Czy nie dało się inaczej? A gdy już się je zada – nie sposób nie czytać dalej.

Tadeusz Bartoś nie sypie anegdotami, które wywołują uśmiech. Mówi serio, tak jak pisze: z intelektualnym namysłem, z dystansem wobec siebie i instytucji, które współtworzył. Nie był dominikańskim bon vivantem, choć, jak sam przyznaje, nie od razu dostrzegł, czym naprawdę jest życie w zakonie, a właściwie w Kościele. To świat podporządkowany sztywnym regułom, wśród których na plan pierwszy wysuwa się uległość. Dopiero po latach, już jako dojrzały dominikanin, Bartoś zrozumiał, że funkcjonuje w systemie autorytarnym, który ma się dobrze w państwach niedemokratycznych.

Czytelnik szybko zauważy, że Artur Nowak nie stawia rozmówcy pod ścianą i nie celuje pytaniami w stylu brukowców. Dociekliwość dziennikarza, chęć poznania biografii i poglądów Bartosia są dopasowane do jego charakteru i intelektu. Niektórym może jednak zabraknąć ostrzejszego tonu lub choćby pytania: jak to możliwe, że taki umysł przez lata godził się na to, co głosi Kościół i Biblia? Dlaczego tolerował przepych instytucji, która od wieków stawia się ponad człowiekiem?

Książka podzielona jest wyraźnie na dwie części. Pierwsza to chronologiczna opowieść o drodze do zakonu i samym życiu zakonnym. Druga to już szersza refleksja: Bartoś i Kościół. Dogmaty i ludzie, którzy są poddani kościelnej strukturze lub ją umacniali, jak Jan Paweł II. Bo nawet jeśli ktoś w Kościele dąży do zmian, to najczęściej po to, by go wzmocnić, a nie umniejszyć jego rolę.

Droga Bartosia od ministranta po dominikanina z czasem zaczęła się zmieniać, a raczej załamywać pod wpływem lektur, obserwacji, własnych przemyśleń i… Co było tym „i", niech czytelnik odkryje sam, sięgając po książkę pod znamiennym tytułem „Bóg odszedł z poczuciem winy".

Paweł Dybicz

Bóg odszedł z poczuciem winy. Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem, **Prószyński i S-ka, Warszawa 2025**

Rozmawia Artur Nowak

Kiedy wstąpiłeś do nowicjatu, miałeś okazję zobaczyć ten świat od środka. Przypomnijmy, gdzie odbyłeś tę formację.

– Nowicjat odbywał się w Poznaniu. A więc już będąc w duszpasterstwie, widzieliśmy tych nowicjuszy. Chłopcy wchodzili, wychodzili, szli na modlitwy, na nieszpory… mijaliśmy się. Były obłóczyny, klęczałem w garniturze i krawacie, zdjęli mi marynarkę, krawat, założyli habit, pas, szkaplerz – rytuał inicjacyjny. Kiedyś jeszcze zmieniano imiona, żeby panowie przeżyli jakby całkowitą przemianę: stary umiera, rodzi się nowy.

A kryzys?

– W pierwszych miesiącach nowicjatu byłem w szoku. To był paraliżujący konflikt poznawczy. Okazało się, choć docierało to do mnie powoli przez kilka miesięcy, że w ogóle cała ta zewnętrzna otoczka klasztoru, cały ten sympatyczny i zabawowy świat aktywności za klauzurą w ogóle nie istniał. Totalna pustka. Wszystkie zachowania regulowane stosownymi zasadami, cały dzień zaprogramowany co do minuty: rano wstajesz, idziesz na modlitwy, śniadanie, zajęcia wspólne, czas wolny, obiad, rekreacja i tak dalej. Całe życie określone z góry, totalna zewnątrzsterowność, skrajna heteronomia, brak możliwości prywatnych kontaktów, rozmów kuluarowych, jakiegokolwiek ducha swobody.

I ty się temu wszystkiemu grzecznie podporządkowałeś?

– Istnieją dwa typy podejścia, dwie strategie przetrwania w takiej zamkniętej grupie. Jedna zabawowa, chociaż to jest zakazane, a druga to ta nieludzka, formalna, czyli milczenie, modlitwa i posłuszeństwo. Albo uznanie, że reguły są, bo muszą być, a życie rządzi się swoimi prawami, albo stwierdzenie, że staranne wypełnianie wszystkich wskazań jest drogą do duchowej doskonałości, dowodem wierności Bogu, czymś najdoskonalszym. No to raczej nie dla mnie. Ja poszedłem drogą doskonałości – rzetelny młody człowiek z Wielkopolski – i szybko boleśnie to odczułem. Życie zakonne oznacza życie w milczeniu, skupieniu, modlitwie. Krótko mówiąc, po śniadaniu nikt nie może sobie

eprasa.pl 28df70e0c3

PROF. TADEUSZ BARTOŚ

pójść do drugiego kolegi na posiadówkę, żeby sobie pogadać i poplotkować. To jest to alternatywne życie – zakazane, ukryte i najzdrowsze. Ale solidny zakonnik żyje według reguły, czyli nie ma lepszych i gorszych przyjaciół – wszyscy są braćmi. To jest silnie deprywacyjne. I jeśli respektowałem te reguły, to oznaczało, że nie mam żadnych towarzyskich kontaktów. Przeżyłem totalne odcięcie od poprzedniego życia. Od znajomych, kolegów, rodziny. Zakaz odwiedzin, cenzurowana przez magistra korespondencja. Listy dostawało się już otwarte. Rozmowa wspólna wszystkich razem tylko po obiedzie w salce rekreacyjnej. Czyli takie sztuczne posiedzenie, gdzie ktoś tam coś gada lub nie. O alternatywnym trybie funkcjonowania nic nie wiedziałem. Latami nic nie wiedziałem.

To nieludzkie. Stąd ten kryzys, o którym wspomniałeś.

– Z jednej strony miałem momenty, że chciałem uciec stamtąd, z drugiej – czułem zobowiązanie, bo podjąłem decyzję świadomą, że chcę być zakonnikiem. Tłumaczyłem sobie, że jestem człowiekiem poważnym, a wierność powołaniu to najwyższa wartość, m.in. dlatego wyciągnąłem papiery z polonistyki, żeby nie móc stąd uciec, i sam zastawiłem na siebie pułapkę.

Miałem dylematy, więc poszedłem na rozmowę do magistra, czyli opiekuna. Pytałem: co, jeśli mam wątpliwości, że fatalnie się czuję. No i on tłumaczył, że to normalne, że to jest właściwa droga. Doświadczenie duchowe, wystawienie na próbę, może nawet jakaś pustka. Jest na ten temat literatura. XVI-wieczny hiszpański mistyk Jan od Krzyża, mówił o ciemnej nocy duszy. A więc braku uczuć, braku miłości do Boga, braku zapału i radości. I że tak ma być, bo to jest próba. I chyba przyjąłem to za dobrą monetę. Później się w tych mistykach zaczytywałem. Stopniowo zabijałem w sobie radość życia, w głębi pielęgnując przekonanie, że życie to nie radość, taniec, śmiech i zabawa, ale krzyż noszony na co dzień. To paradygmat, formacja kulturowa Zachodu: udręczyć duszę, by później dać jej chwilę wytchnienia. Pełna kontrola. Pielęgnowałem więc w sobie pustkę, by zjednoczyć się z bóstwem. (…)

Rozmawiałeś o tych kryzysach z innymi nowicjuszami?

– Nie. Szedłem drogą zasad, oficjalną. Nie robiłem tego, czego obyczaj zakonny zakazuje, a więc nie uczestniczyłem w nieoficjalnych nasiadówkach, wręcz nie miałem wielkiego pojęcia, że takie sieci kontaktów się tworzyły. Nie mogło być tak, że – dajmy na to – magister wchodzi do celi, a tam dwóch kolegów sobie siedzi i pije herbatkę. Mówiłem już, że zakazany był kontakt z rodzicami przez cały nowicjat, listy były cenzurowane. Miałem takie poczucie, że ten skok duchowy polega na tym, że się odcinam od całego świata, od wszystkiego, wszystkich powiązań rodzinnych, bo teraz najważniejszy jest Bóg. Nowe życie, powtórne narodziny. Ja w to wszedłem na sto procent. Stąd organizm zareagował nerwowo.

Ale nie wszyscy tak mieli?

– Po wielu latach rozmawiałem z jednym z zakonników, który też później się pożegnał z organizacją. Wspominaliśmy i mówię, że przecież nie można było w ogóle rozmawiać. A on mi na to: „Co ty opowiadasz, Tadziu? Wszystko było można. Imprezy nawet były”. Krótko mówiąc, było tzw. drugie życie, podziemie towarzyskie. Poza tym wśród kleryków odpowiednio nastawionych kwitło życie miłosne, najpierw przyjaźnie, potem zakochania. Też nic o tym nie wiedziałem. Inny kolega również po latach opowiadał bez specjalnego zażenowania o romansach, jak jeden mówi, że jest mu smutno, chce się przytulić, i do łóżka mu włazi. Opowiadał z rozbawieniem. A on po prostu szukał, biedak, bliskości. To nie były jakieś takie wielkie tajemnice, ale zdaje się, taka plotkarska wiedza środowiskowa, tajemnica pana Poliszynela. A ja głupi książki czytałem, zamiast zabawiać się z chłopakami. No, ale to są moje refleksje po czasie.

Trochę czasu upłynęło.

– W pewnym momencie powiedziałem sobie: trzeba użyć wyobraźni, by sprawę sobie przedstawić. Znacząca część duchownych jest homoseksualna. Mieszkają razem w klasztorach, niekiedy bardzo licznych. No i od czasu do czasu między nimi iskrzy, zakochują się, zastanawiają, czemu na mnie nie spojrzał albo uśmiechnął się do mnie. Może mnie lubi? Wszystko, co najbardziej naturalne na świecie. Jestem wielkim fanem miłości gejowskiej dla gejów. Przyroda to najpierw różnorodność, która cieszy. I teraz wyobraź sobie, że jako heteryk zamieszkałbyś w domu pełnym pięknych kobiet. Idziesz, dajmy

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 28df70e0c3

na to, do chóru na nieszpory, stoicie sobie vis-à-vis, śpiewacie pobożne pieśni i tu po prawej Kasia, a tam dalej Basia, Zosia na ciebie spojrzała, uśmiechasz się do niej, Krysia cię nie lubi, ale Ania bardzo. Z tym że Ania wie, że leci na ciebie też Agnieszka, więc Ania za bardzo Agnieszki nie lubi. No po prostu raj na ziemi. Rzec by można, potencjalny harem. Takie sceny dzieją się – tak sobie to przedstawiam – pośród gejowskiej braci klasztornej. W tej atmosferze trudno o ducha ascezy, poświęcenia i umartwienia. Tylko heterycy się umęczą, a reszta ma niezły bajzel na co dzień. Także wtedy, kiedy miłość łącząca pięknych młodzieńców jest duchowa, przyjaźń w Panu, bez żadnych tam cielesnych wygibasów. Poczułem w pewnym momencie, że sprawiedliwe to nie jest bynajmniej.

Czy dziś, mając już inną świadomość, czujesz, że cię skrzywdzono?

– No nie chciałbym tak się skarżyć. Jak to mówią, *volenti non fit iniuria*. Ale tak, to był rodzaj uwiedzenia, obietnice bez pokrycia, wykorzystanie dobrej woli, naiwności, nadużycie zaufania. Co śmieszne albo tragiczne, druga strona, a więc wprowadzający, uwodzący, czyli reprezentanci zakonu, mogła to robić w dobrej wierze, z przekonaniem o słuszności. Zakonnicy ci sami wcześniej zostali uwiedzeni w podobny sposób. Patologiczne wzorce, struktury lubią się powielać z pokolenia na pokolenie. Choć może za bardzo ich usprawiedliwiam?

Skąd ta nadreprezentacja gejów w Kościele?

– Uświadomienie sobie, że w ogóle tutaj ten problem istnieje, u mnie nastąpiło późno. Praktycznie pokojarzyłem nieliczne puzzle i ułożyłem je sobie w spójny obraz dopiero po lekturze książki Frédérica Martela „Sodoma". On opisał całą sieć. Tak że to, co tutaj opowiadam, jest już produktem finalnym moich obserwacji. Wcześniej dziwiłem się czemuś i tyle. A nadreprezentację wyjaśnia Martel. Do niedawna bycie gejem w Europie trzeba było ukrywać. Pójście na księdza rozwiązywało problem – gej pośród gejów w gejowskim bractwie. Nie musiał się żenić i miał wymarzone męskie towarzystwo. Spadek powołań to m.in. konsekwencja możliwości publicznego funkcjonowania osób homoseksualnych. Po co mam iść na księdza, jak mogę się pobrać z ukochanym? Prawa gejów do ślubów to niezwykle ważna sprawa dla nich i dla naszej kultury. Dzięki temu będzie zrzucać ona balast 2 tys. lat pielęgnowanej homofobii, nienawiści do gejów połączonej z uprawianiem skryptogejostwa kościelnego.

Byłem też podrywany przez zakonników. Chcesz pikantnych szczegółów? (…)

Rzetelna krytyka chrześcijaństwa już się dokonała. Tyle że brak jej recepcji w kraju nad Wisłą.

Wróćmy do nowicjatu. Bierzesz świat na wiarę. Na rozum, kiedy ta wiara konfrontuje się boleśnie z życiem, i starasz to sobie jakoś wyjaśnić. Myślę jednak, że w życiu młodego człowieka wiele tych konfrontacji odbywa się w wielkim poczuciu winy.

– Jednym z fundamentalnych psychomanipulacyjnych mechanizmów chrześcijaństwa, nie tylko katolicyzmu, jest utrzymywanie w poczuciu winy. To cały złożony kompleks psychospołeczny. Chrześcijaństwo (kler) stawia wymagania z definicji niespełnialne. To jest fundament tej procedury. Nie doskoczysz, nigdy. Taka jest twoja pozycja w kosmosie, że zawsze dasz plamę, zawsze zrobisz coś źle. Dlatego procedury naprawcze mają charakter kosmiczny. Wina ludzka jest źródłem katastrofy globalnej (Adam i Ewa). Bóg zstępuje z niebios, by ludzi ocalić, i następnie tam wraca. Cały kosmos żyje horrendalną ludzką zbrodnią nieposłuszeństwa wobec bóstwa. Nienawiść do człowieka osiąga tu swoje apogeum. Nie da się pójść dalej w oskarżaniu go. Ja przynajmniej nic dorzucić bym nie mógł.

A sam katolicyzm daje całą serię wymagań niespełnialnych, co permanentnie utrzymuje nas w poczuciu winy. Większość grzechów – co ciekawe – krąży wokół seksu: celibat duchownych, dziewictwo i prawiczkowictwo przed ślubem, zakaz antykoncepcji, zakaz aborcji. Ogólnie mamy tu tabuizację seksu, który przestaje być kompetencją człowieka, a staje się przedmiotem zewnętrznego administrowania przez religię. (…)

Ktoś mógłby powiedzieć, że demonizujesz chrześcijaństwo.

– No tak, oczywiście przesadzam. Zradykalizowałem się. To pewnie objawy frustracji. Znam ten typ argumentów. Ad personam. Mówię o tych sprawach od lat i niczego szczególnego nie odkrywam. Przypominam jedynie rzeczy znane od dawna. Rzetelna krytyka chrześcijaństwa już się dokonała. Tyle że brak jej recepcji w kraju nad Wisłą, Wartą, Odrą i Nysą Łużycką. (…) Całe przesłanie chrześcijańskie jest gigantycznym atakiem na człowieka, na jego poczucie wartości. Przesłanie zbawienia, niby pozytywne, podnoszące na duchu, jest de facto radykalnym nihilizmem. Oznacza bowiem, że człowiek jest tak zły, że potrzebuje takiego zbawienia, a bez tego zbawienia sprawiedliwe jest jego wieczne cierpienie w otchłaniach piekieł. To coś niesłychanego. (…)

Człowiek Zachodu niesie na sobie te chrześcijańskie ciężary winy od kołyski do grobowej deski. Bycie niewierzącym często niewiele tu zmienia. Widzimy to np. w nastawieniu społecznym, które całe życie ludzkie redukuje do spełniania obowiązków (Immanuel Kant, wielki siewca deontologicznej trucizny). Człowiek Zachodu całkiem zapomniał, czym jest życie jako zabawa, radość, śmiech. Nastawiony na zabawę, źle jest widziany przez naszą kapitalistyczną, czyli chrześcijańską kulturę. Jak się bawi, to nie pracuje. Ladaco, niepoważny, zepsuty, nieodpowiedzialny. Zabawa to nieefektywny sposób spędzania czasu. Każdy excel ci to powie. Jakby była ona czymś niegodnym dla człowieka. Bawią się dzieci, a nie dorośli. Jeśli już zabawa, to tylko po to, żeby później lepiej pracować. (…)

Wróćmy do ostatnich 30 lat nieszczęśliwego losu katolicyzmu w Polsce.

eprasa.pl 28df70e0c3

– Jest w polskim Kościele sporo kleru o słabej formacji, niewykształconego, nieznającego teologii, niezdolnego do twórczego myślenia. I on rządzi. Typy w rodzaju Rydzyka czy Jankowskiego. Przy nich Glemp to był orzeł, choć jego bon mot „Pieski szczekają, karawana jedzie dalej”, arogancki przecież, przeszedł do historii. Z pewnego punktu widzenia trudno mieć do nich pretensje, że są, jacy są. Siebie nie przeskoczą.

To do kogo masz pretensje?

– Pretensji nie mam, kiedyś miałem. Ale warto zwrócić uwagę na tych świadomych, którzy wybierali milczenie. Dla dobra sprawy, żeby nie było zgorszenia.

Ale modele postępowania w Kościele zapewniły im przetrwanie. Jeden powie: „Wygrałem, bo nie uczestniczę dalej w kłamstwie i nie oszukuję siebie i innych, mam jedną twarz”. A drudzy powiedzą – i ja to słyszę – „Kościół to matka i jak jej jest źle, to się jej nie godzi porzucać. Od nas zależy, co z nią będzie”. My wiemy, że to jest nadal systemowe myślenie, które chroni rdzeń. Ludzie ci mają przedziwną wyrozumiałość dla instytucji.

– Istnieje zjawisko koncesjonowanej krytyki, które ewoluuje. W 2005 r. nie było koncesji na krytykę Jana Pawła II, a więc jego fiksacji na seksie, zakazie antykoncepcji, idiotycznych kalendarzykach płodności, homofobii. Krytyka jego koncepcji właściwie nie istniała. A były wtedy „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”. Choć jakieś publikacje „Tygodnika Powszechnego” zirytowały na tyle papieża, że w liście na 50-lecie pisma napisał jękliwym tonem, że Kościół nie czuł się przez nie „dość miłowany”. Co było raczej przesadą. Jakieś analizy pontyfikatu pokazujące inne punkty widzenia – i już papieski foch. Krytyczne spojrzenie pamiętam u Stefana Świeżawskiego. (…) Oprócz niego jeszcze kilku wypowiadało się bez koncesji. Oczywiście Obirek wyrwał się przed szereg, pisząc w belgijskim „Le Soir” 4 kwietnia 2005 r. o kulcie papieża, że jest jak złoty cielec.

I to było nie do przyjęcia.

– Stanowczy odpór dano Obirkowi w rozlicznych tekstach. (…) Jezuici zostali poinformowani. Jak o Janie Pawle, to można tylko dobrze. Na Obirka miał donieść gorliwy poseł Bogusław Sonik. Przyszły kary zakonne i Obirek powiedział bye, bye jezuitom. Później jeszcze Dziwisz pilnował, żeby jezuita zaprzaniec, broń Boże, gdzieś w Krakowie pracy nie dostał. W 2008 r. wyszła moja książka „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”. Łagodna w tonie, stanowcza w treści. Centralizacja, brak dialogu, apodyktyczny styl władzy. Bp Życiński, gdy go spytano o nią, raczył się wypowiedzieć lekceważąco o mnie. Porównał mnie do Judasza. (…)

Artur Nowak

KSIĄŻKI

Paweł Gburzyński, Wiktor Rzeczkowski, Janusz Zalewski
Kilka myśli o sztucznej inteligencji
WFW, Warszawa 2025

O sztucznej inteligencji mówi się nieustannie, podając kolejne przykłady jej funkcjonowania. Każdego dnia przekonujemy się, że wdziera się ona we wszystkie niemal dziedziny naszego życia. A czym ona jest, jak się narodziła i jak działa? Autorzy tego zbioru esejów w przystępny sposób wyjaśniają podstawowe pojęcia związane z rozwojem sztucznej inteligencji i oferują realistyczną ocenę aktualnego stanu jej rozwoju, kładąc w szczególności nacisk na rolę danych i automatyczne tworzenie tekstów. Tak, tworzenie tekstów, bo w zbiorze są również dwa eseje o literaturze. Czy sztuczna inteligencja może być pisarzem, a fabrykując książki, może konkurować z pisarzami?

Marzena Jaworska
Pamięć w kolorze sepii
Kolekcja fotografii z okresu powstania styczniowego w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie
Muzeum Niepodległości, Warszawa 2024

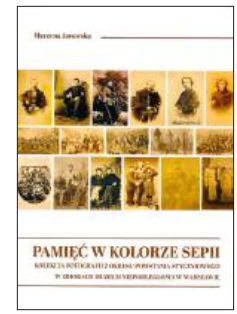

Dzieła Grottgera, Sochaczewskiego czy Malczewskiego, które w wyobraźni pokoleń Polaków budowały wizerunek powstańczej i zesłańczej rzeczywistości, nie są jedynymi ważnymi artefaktami ikonografii powstania styczniowego. Po raz pierwszy w historii obraz tamtych wydarzeń tworzyły także zdjęcia. W albumie zaprezentowano fotografie powstańców w formacie wizytowym, zdjęcia gabinetowe i większego formatu (tableau i portrety zbiorowe) oraz przedstawiające sceny bitewne. Wszystkie zdjęcia zostały starannie opisane, co pozwala czytelnikowi poznać także biografie przedstawionych bohaterów oraz szczegóły zatrzymanych w kadrze bitew i potyczek. Cennym dodatkiem jest prezentacja ówczesnych zakładów fotograficznych, w których zdjęcia wykonano.

Jadwiga Mizińska, Wojciech Kajtoch
Zdążyć z prawdą...
Wydawnictwo Aureus, Kraków 2025

Prowadzona w formie zanikającego w literaturze dialogu, meandryczna opowieść o losach krakowskich humanistów Jacka i Anny Kajtochów oraz ich syna Wojciecha. Dwoje doświadczonych życiowo intelektualistów rozmawia o pozbawionych dziś znaczenia wartościach podstawowych.

(es)

eprasa.pl 28df70e0c3

UKRYTE ŚLADY ZBRODNI

Żydzi z Olkusza byli jednymi z pierwszych, którzy zginęli w nowo powstałej komorze gazowej w KL Auschwitz II-Birkenau

Adam Cyra

W czerwcu 1942 r. Żydzi z Olkusza zostali przez niemieckich nazistów wywiezieni na śmierć. Byli jednymi z pierwszych, którzy zginęli w Czerwonym Domku, pierwszej komorze gazowej w KL Auschwitz II-Birkenau. W dwóch transportach kolejowych 13 i 15 czerwca wywieziono z olkuskiego getta ok. 3 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci. Byli wśród nich także liczni Żydzi z Chorzowa, przesiedleni do Olkusza w czerwcu 1940 r.

Od kilku lat na terenie dawnego obozu Birkenau, w miejscu, gdzie znajdował się Czerwony Domek, w którym masowo zabijano ludzi cyklonem B, czczona jest pamięć olkuskich Żydów zamordowanych 83 lata temu. 13 czerwca 2025 r., w przeddzień obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady, odbyła się uroczystość upamiętniająca pierwszy transport do Auschwitz, który wyruszył 14 czerwca 1940 r. z więzienia w Tarnowie.

Nazista na dworcu

Zachowały się zdjęcia Żydów oczekujących na pociąg, którym mieli pojechać z dworca w Olkuszu do Oświęcimia. Razem z Żydami, pilnowanymi przez umundurowanych Niemców i żydowskich policjantów, sfotografowany został niejaki Friedrich Kuczynski. Na jednym ze zdjęć stoi w mundurze, podparty lewą ręką pod bok, w prawej trzyma pałkę. Przygląda się Żydom, których wcześniej selekcjonował w olkuskim getcie i posłał na śmierć – jako tych, którzy nie nadają się do obozów pracy.

Friedrich Kuczynski był Niemcem, urodził się w 1914 r. w rumuńskiej Suczawie. Z zawodu był nauczycielem gimnazjalnym, władał francuskim i rumuńskim. Podczas wojny został pracownikiem urzędu, który w roku 1940 utworzył Reichsführer SS Heinrich Himmler – powołując specjalnego pełnomocnika Reichsführera SS i szefa Niemieckiej Policji ds. Zatrudniania Obcych Narodowości na Górnym Śląsku. Funkcję owego pełnomocnika powierzono SS-Oberführerowi Albrechtowi Szmeltowi, prezydentowi policji we Wrocławiu. Kierownikiem mieszczącego się w Sosnowcu Wydziału „J" (ds. żydowskich) w tym urzędzie został zaś wspomniany Kuczynski, mający wówczas 26 lat. Po wojnie został osądzony i stracony w więzieniu w Sosnowcu 22 lutego 1949 r.

Dwa pociągi, których odjazd nadzorował Kuczynski, najprawdopodobniej przez Szczakową i Mysłowice, w dwudniowych odstępach zawiozły olkuskich Żydów na dworzec

eprasa.pl 28df70e0c3

Żydzi na dworcu kolejowym w Olkuszu przed deportacją na zagładę, czerwiec 1942 r.

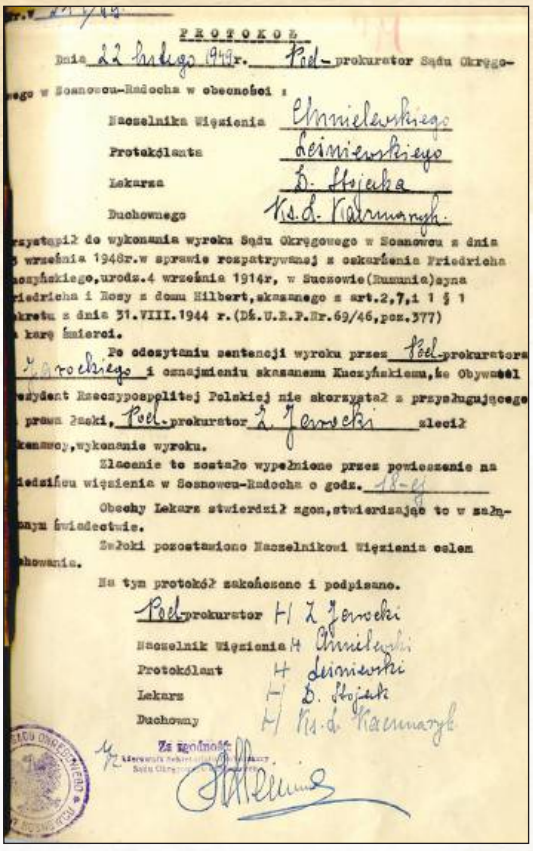

PROTOKÓŁ

Dnia 22 lutego 1949 r. Pod- prokurator Sądu Okręgo-
wego w Sosnowcu-Radocha w obecności :

Naczelnika Więzienia Chmielewskiego
Protokólanta Leśniewskiego
Lekarza Dr. Wojcika
Duchownego Ks.d. Kaczmarczyk

przystąpił do wykonania wyroku Sądu Okręgowego w Sosnowcu z dnia
9 września 1948r.w sprawie rozpatrywanej z oskarżenia Friedricha
Leszyńskiego,urodz.4 września 1914r, w Sucsowie(Rumunia)syna
Friedricha i Rosy z domu Hilbert,skazanego z art.2,7,i 1 § 1
dekretu z dnia 31.VIII.1944 r.(Dz.U.R.P.Nr.69/46,poz.377)
na karę śmierci.

Po odczytaniu sentencji wyroku przez Pod-prokuratora
Zborowskiego i oznajmieniu skazanemu Kuczyńskiemu,że Obywatel
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nie skorzystał z przysługującego
prawa łaski, Pod-prokurator Z. Jerowski zlecił
kazanemu,wykonanie wyroku.

Zlecenie to zostało wypełnione przez powieszenie na
niedziśniu więzienia w Sosnowcu-Radocha o godz. 18-45

Obecny Lekarz stwierdził zgon,stwierdzając to w zała-
onym świadectwie.

Zwłoki pozostawiono Naczelnikowi Więzienia celem
chowania.

Na tym protokół zakończono i podpisano.

Pod-prokurator /-/ Z. Jerowski
Naczelnik Więzienia /-/ Chmielewski
Protokólant /-/ Leśniewski
Lekarz /-/ Dr. Wojcik
Duchowny /-/ Ks.d. Kaczmarczyk

towarowy w Oświęcimiu. W jego obrębie w 1942 r. uruchomiono Alte Judenrampe (starą rampę żydowską) między obozami Auschwitz i Birkenau. Tu przybywała większość pociągów z Żydami od wiosny 1942 r. do maja 1944 r.

Czerwony Domek

Olkuskich Żydów, gdy już pozostawili na rampie bagaże, zaprowadzono, przypuszczalnie pieszo, do nowo powstałej komory gazowej, pierwszej w Birkenau. Znajdowała się ona w odległości ok. 2 km, za brzozowym lasem, poza aktualnymi granicami byłego obozu. Stał tam dom, należący wcześniej do polskiej rodziny, kiedyś mieszkającej w wysiedlonej przez Niemców wsi Brzezinka. Niemcy dom zarekwirowali i wczesną wiosną 1942 r. zaadaptowali na komorę gazową. Od koloru ścian z czerwonej cegły zwany był Czerwonym Domkiem lub bunkrem nr 1.

Na drzwiach domu, którego okna zamurowano, umieszczony został napis „Do łaźni". Na powierzchni ok. 90 m kw., podzielonej na dwie części, w latach 1942-1943 naziści zamordowali dziesiątki tysięcy Żydów. Po szczelnym zamknięciu drzwi esesmani wrzucali przez otwory w ścianach kryształki cyklonu B, z których wydzielał się cyjanowodór.

Tam właśnie zostali zaprowadzeni Żydzi z Olkusza. Najpierw do sąsiadujących z bunkrem nr 1 dwóch baraków, gdzie musieli się rozebrać. Potem, pod pozorem kąpieli, do budynku, gdzie jednorazowo można było uśmiercić 800 osób.

Ciała zamordowanych olkuskich Żydów zakopano w pobliżu miejsca zbrodni. Później odkopano je wraz z ciałami więźniów innych narodowości, zamordowanych w 1942 r., i spalono w specjalnie przygotowanych dołach.

Jako miejsce uśmiercania Czerwony Domek funkcjonował do kwietnia 1943 r., gdy zaczęto oddawać do użytku cztery duże krematoria z komorami gazowymi (ich ruiny zachowane są na terenie Miejsca Pamięci w Birkenau). Wtedy domek rozebrano. Żeby ukryć ślady zbrodni, położone obok doły spaleniskowe zasypano, a teren zniwelowano. Dziś stoją tam trzy granitowe tablice z napisami po polsku, hebrajsku i angielsku. Odwiedzający to miejsce mogą sobie tylko wyobrazić, że na tym niewinnie wyglądającym terenie stał kiedyś nieotynkowany ceglany dom. I gdzieś tutaj leżą wkoło prochy Żydów z Olkusza – jednych z pierwszych, którzy zginęli w Czerwonym Domku.

W czerwcu 1942 r. w dwóch transportach kolejowych wywieziono z olkuskiego getta ok. 3 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci.

Lekarz z getta

Dr Marian Głuszecki (Auerhahn) pochodził z Cebrowa koło Tarnopola, gdzie urodził się w rodzinie żydowskiej 26 listopada 1900 r. Podczas I wojny światowej uczęszczał do gimnazjum w Wiedniu, stąd jego biegła znajomość języka niemieckiego. Od listopada 1918 r. do sierpnia 1919 r. służył w Wojsku Polskim.

Następnie podjął studia na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza, uzyskując tytuł doktora medycyny w 1926 r. Po ukończeniu studiów pracował ponad dwa lata w Państwowym Szpitalu Powszechnym we Lwowie. W 1929 r. zmienił miejsce zamieszkania i rozpoczął pracę jako lekarz w fabryce papieru w Kluczach, gdzie był zatrudniony przez siedem lat. Od 1936 r. pracował w szpitalu św. Błażeja w pobliskim Olkuszu.

We wrześniu 1939 r. jako jedyny lekarz, który pozostał na miejscu, objął kierownictwo tego szpitala i zarządzał nim do 31 marca 1940 r. Następnie od 1 kwietnia aż do wywiezienia Żydów olkuskich na zagładę do KL Auschwitz II-Birkenau w połowie czerwca 1942 r., prowadził w getcie ambulatorium i szpital dla ludności żydowskiej.

Po likwidacji olkuskiego getta przebywał od 17 czerwca 1942 r. w getcie w Strzemieszycach, skąd po aresztowaniu w kwietniu 1943 r. trafił do obozów pracy dla Żydów w Annabergu – wiosce Góra Świętej Anny – i w Neukirche niedaleko Wrocławia. Pracował tam w ambulatoriach i szpitalach obozowych. 1 kwietnia 1944 r. został zarejestrowany jako więzień podobozu KL Auschwitz w Blachowni Śląskiej (Blechhammer), otrzymując numer 176512.

21 stycznia 1945 r. Blechhammer opuściło kilka tysięcy więźniów. Marsz śmierci, podczas którego

eprasa.pl 28df70e0c3

Uczennice VI klasy Szkoły Powszechnej przy ulicy Górniczej w Olkuszu (rocznik 1931/1932). 16 uczennic tej klasy to Żydówki (wszystkie zginęły w Birkenau), w pierwszym rzędzie szósta od lewej Janina Kocjan (po mężu Cyra).

wielu zginęło z rąk esesmanów, bo nie mogło już iść dalej o własnych siłach, prowadził m.in. przez Koźle, Prudnik, Nysę, Ząbkowice Śląskie, Świdnicę i Strzegom do KL Gross-Rosen, dokąd dr Głuszecki dotarł dopiero po kilku dniach. Stąd przeniesiono go wkrótce do obozu w Buchenwaldzie, do którego dotarł 10 lutego i gdzie doczekał wyzwolenia 11 kwietnia 1945 r.

Dr Marian Głuszecki zapisał się w pamięci olkuszan pięknymi zgłoskami. Warto w tym miejscu przytoczyć fragment jego powojennej relacji złożonej w Żydowskim Instytucie Historycznym: „W czerwcu 1942 r. nastąpiła likwidacja getta w Olkuszu. (…) Akcja rozpoczęła się nad ranem. Dzielnica obstawiona była podwójnym szpalerem policji niemieckiej. (…) Milicjanci żydowscy, którzy na akcję tę przyszli specjalnie z Będzina i Sosnowca, znęcali się w niemożliwy sposób nad ludźmi, bijąc i kopiąc ich nogami. Jeden z nich szczególnie wyróżniał się pod tym względem brutalnością. (…) Zawołał mnie jeden z gestapowców i zapytał, wskazując na to, co robi milicja żydowska, jak mi się to podoba i co ja o tym sądzę. Powiedział, że ordnerzy żydowscy zachowują się znacznie gorzej niż gestapowcy i że wzywa mnie na świadka, że gestapo w ogóle ludzi nie bije, jak sam zresztą widzę (…). Wspomniany wyżej gestapowiec w mojej obecności zawołał jednego ordnera do siebie, zbił go i zrzucił ze schodów, pytając się mnie, czy słusznie zrobił. Po skończonej likwidacji okazało się, że w kryjówkach znajduje się cała masa Żydów (…). Kryjówki zazwyczaj były z góry przygotowane i tak dobre, że odkrycie ich przez Niemców było niemożliwe. Wynajdywali je jednak, prześcigając się w gorliwości, żydowscy ordnerzy, doprowadzając tych ludzi na punkt zborny. Ludzi ukrywających się (…) dołączono automatycznie do transportu oświęcimskiego. Każdy Żyd, spotkany w tym czasie na ulicy getta, był narażony na śmierć przez zastrzelenie na miejscu”.

Adam Cyra

Niemcy zarekwirowali dom polskiej rodziny i wiosną 1942 r. zaadaptowali na komorę gazową, zwaną Czerwonym Domkiem lub bunkrem nr 1.

W KL Buchenwald nadal figurował w dokumentach obozowych jako Auerhahn, oznaczony numerem 125231. W sporządzonym przez wojskowe władze amerykańskie kwestionariuszu byłego więźnia tego obozu z 22 kwietnia 1945 r. po raz pierwszy odnotowany został jako Marian Głuszecki.

Do Polski powrócił w grudniu 1945 r., a w roku następnym od 4 czerwca na nowo podjął pracę w olkuskim szpitalu. W 1952 r. ten

FOT. YAD VASHEM, IPN, ARCHIWUM PRYWATNE.

eprasa.pl 28df70e0c3

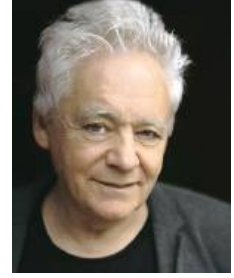

Oko w oko Tomasz Jastrun

Na progu wojny

Lament po naszej stronie, że Tusk i koalicja okrutnie zawiedli, że nie spełnili obietnic. A może warto dostrzec, co zrobili? Dostaliśmy wielkie pieniądze od Unii, blokowane przez PiS (burza wywołana przez prawicę o KPO nie zmienia faktu, że w 99,9% są dobrze wydawane). Ruszyła sprawa ekologii i energetyki, budowa elektrowni atomowych, wiatraków. Urealniono budowę CPK, uszczelniono mur graniczny. Inwestuje się wielkie pieniądze w armię – nie podoba mi się to, szkoda tych pieniędzy, ale rozumiem, że nie mamy wyjścia (mój 14-latek chce być oficerem, nieszczęście w rodzinie, ale pewnie mu to przejdzie). Podjęto próbę odbiurokratyzowania gospodarki. Postępuje liberalizacja szkoły, edukacja seksualna wchodzi do programu od września. Mamy próbę rozplątania gordyjskiego węzła sądownictwa. Ale, co najważniejsze, a jakby przeoczone, Polska dynamicznie się rozwija. To widać gołym okiem. I oczywiście wielką zaletą koalicji jest to, że nie jest PiS. I że jednak rządzą nami wyznawcy zdrowego rozsądku, a nie mroczni ideolodzy, cynicy i nieudacznicy. Nie grożą nam na razie polexit, pacyfikacja sądownictwa, państwo wyznaniowe, wychowywanie młodych w duchu tępego nacjonalizmu i ksenofobii. Nie załatwiono dostępności aborcji, ale jak to zrobić, gdy PSL to konserwa i jest prezydent z pisowskiego nadania? Wylewamy dziecko z kąpielą, a ono nawet nie krzyczy.

Polska się nie liczy, byle obalić rządy liberalne i zastąpić je brunatnymi.

Można narzekać, że jest kiepska polityka informacyjna rządu, za to wybitna PiS. Ale oni przecież opierają swoją informację i propagandę na złowrogim kłamstwie, na fikcji, na opluwaniu i obsrywaniu. Trudno wymagać, by koalicja robiła to samo. Nie chcę przypominać, czyja propaganda była najskuteczniejsza w XX w. Wyznawcy PiS triumfują i radują się, że cierpimy, że martwimy się o Polskę, że nie chcemy żyć w brunatnej. Ale czy wielu z nas nie cieszyło się z ich cierpienia, gdy przegrali wybory? Uciecha z czyjegoś cierpienia – najpodlejsza ludzka cecha. To już nie rów, to przepaść zaczyna nas dzielić i wzajemna nienawiść, a oni uparcie mają usta pełne narodowej wspólnoty. O jakiej wspólnocie tu mówić? Tu jest tylko gromadzony materiał na wojnę domową.

•

Bardzo cenię zbiegi okoliczności i koincydencje. To jakby zobaczyć nagle jeden węzełek z miliona węzełków przypadków, które kierują naszym życiem, z małą pomocą naszej wolnej woli. Siedzimy w kawiarni na pięknym rynku w Krośnie, myślę: zadzwonię do Zbyszka. Bardzo go lubię, często się spotykamy, chociaż mieszka w Chorzowie. Jego dziadek to brat mojego ojca. Dzwonię, pewien, że jest za granicą. „Gdzie jesteś?", pytam. „W Krośnie – mówi – jedziemy właśnie na rynek". I po chwili już jesteśmy ze sobą, oszołomieni zbiegiem okoliczności.

Każda podróż przez Polskę uświadamia, jak wiele zmieniło się na lepsze. Nieszczęściem było za to budowanie w PRL, zohydzono szpetnymi budynkami najpiękniejsze krajobrazy, a większość Polaków nie widzi, że mieszka w śmietniku form, bo wychowali się w tym bałaganie. Nowa mała architektura to już nie są pokraczne pudła, to niewielkie domy, zwykle śnieżnobiałe, okna odzyskują rytm w fasadzie, tak świetnie znany dawnym architektom, potem zupełnie zagubiony. To jest jakiś styl, a te domy, jeśli nie piękne, są na tyle estetyczne, że mogą cieszyć oko. Nie szkodzi, że do siebie podobne, jakby różnie składane z klocków z tego samego zestawu. Są znacznie mniejsze od budynków dawnego typu, kiedyś nawet biedni budowali obszernie, jakby z izbami dla przodków, którzy żyli w kurnych chatach.

•

Podobnie jak miliony Polaków nie mogłem oglądać zaprzysiężenia Nawrockiego – takie obrzydzenie. Co to będzie przez te pięć lat? Czy Nawrocki może zgotować nam niespodziankę, skoro spodziewamy się najgorszego? Jeśli sądzić po jego biografii i charakterze, będzie pewnie mniej niż Duda pisowski i zależny od Kaczyńskiego, za to zależny od swoich nacjonalistycznych, skrajnie prawicowych poglądów. Będzie mostem między PiS, Konfederacją i Braunem. Tak, Grześ faszysta załapie się na tę wyżerkę. Po wystąpieniu w Sejmie, bardzo sprawnym, Nawrocki pokazał, że jest złowrogim populistą, groźniejszym, niż nam się zdawało. Kapią z niego samozadowolenie i chamstwo. I już uwierzył, że jest Panem Bogiem, szybko to poszło. Politykę traktuje jak boks, uważa, że wolno mu uderzać poniżej pasa i łokciem. Polska się nie liczy, byle obalić rządy liberalne i zastąpić je brunatnymi. By spełniła się historyczna prawda, że Polacy są autodestruktywni. Płomień XVIII w. znowu staje w naszych oknach.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

LUDZIE SĄ GŁODNI SZTUKI

Wspólnie róbmy rzeczy, które nie mieszczą się nam w głowie

JAN TOMASZ ADAMUS
– dyrygent, organista, twórca i dyrektor artystyczny Festiwalu Bachowskiego w Świdnicy

Jan Tomasz Adamus – studiował w Krakowie i Amsterdamie, ma na koncie nagrania płytowe oper barokowych dla Decca oraz „Halki" Moniuszki dla Sony/Deutsche Harmonia Mundi, a także koncerty w wielu prestiżowych salach. Laureat nagrody Opus Classic 2022 wraz z Jakubem Józefem Orlińskim za produkcję audio-wideo „Vivaldi. Stabat Mater" dla Warner Erato. Prowadzi krakowską instytucję kultury Capella Cracoviensis (chór kameralny i orkiestra grająca na historycznych instrumentach), festiwal Opera Rara Kraków oraz Festiwal Bachowski w Świdnicy.

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Czy pański Festiwal Bachowski jest już „swój" dla miejscowych w Świdnicy, na Dolnym Śląsku?

– Kilka lat temu muzycy wracali późnym wieczorem z próby do hotelu. Zaczepili ich miejscowi, zaczęło robić się nieprzyjemnie, ale nagle padło pytanie: „Co wy tu właściwie robicie?". Muzycy odpowiedzieli, że są na Festiwalu Bachowskim. Miejscowi na to: „Aha, to OK, to możecie iść". Festiwal jest już powszechny z całą pewnością. Średnio załapują się tylko decydenci i media opiniotwórcze. Taki paradoks.

Przegapili ponad ćwierć wieku obecności festiwalu w różnych miejscowościach Dolnego Śląska i te tłumy ludzi, nadkomplety np. w kościołach?

– Zabija nas mentalność sondaży – ilość zamiast jakości, nawyki zamiast pomysłów, doraźne korzyści zamiast strategicznych decyzji. Media bełkoczą. Na jednym z tzw. najbardziej opiniotwórczych portali w Polsce przeczytałem, że gdzieś we Włoszech udało się rozwiązać problem wyrzucanych przez turystów skórek od cytryny po popularnym deserze, ustawiając specjalne kosze na ulicy.

W programie tegorocznej edycji jest także rodzaj manifestu, podpisany pana inicjałami, dyrektora i kreatora nie tylko tego festiwalu. Pisze pan, że sztuka jest fundamentem ogólnej kultury społecznej.

– Na stronie festiwalu wisi moja „Karta Kultura". Festiwal, czyli frekwencja i powiązany z nim ruch w internecie pokazują, że „Karta Kultura" działa.

Zwróciła pana uwagę kolejna zmiana na stanowisku ministra kultury?

– To zwróciło uwagę wszystkich, ponieważ kultura jest najważniejsza. Częste zmiany na tym stanowisku mogą być odbierane albo jako lekceważenie funkcji, albo jako troska o jak najlepszą obsadę. Bez względu na poglądy polityczne powinniśmy uzgodnić, że minister kultury zawsze powinien być wicepremierem. Dzisiaj kultura i edukacja to fundament nowocześnie rozumianej tożsamości, wolności i dobrobytu. Kultura i sztuka to inspiracja, innowacja, integracja – instrument do budowy nowoczesnego, obywatelskiego, uczestniczącego, krytycznie myślącego społeczeństwa. Bez silnej kultury i sztuki nie istniejemy.

Myślę, że jest pan w mniejszości.

– Nie jestem w mniejszości. Każdy doskonale wie, do czego prowadzi

FOT. FILIP ADAMUS

eprasa.pl 28df70e0c3

chowanie głowy w piasek. Jak dotąd udało się sprawić, by edukacja w podstawowym zakresie była obowiązkowa. Na szczęście jeszcze nikt nie pyta wyborców, czy chcą, by dzieci chodziły do szkoły. Dobrze wiemy, że dzisiaj w edukacji musimy iść dalej. Nauki humanistyczne – filozofia, psychologia, socjologia, historia sztuki – nie są trudniejsze od fizyki. Daniel Barenboim przekonuje, że muzyka jest ważna, ponieważ uczy, że różne rzeczy od siebie zależą. W życiu jest tak samo – społeczeństwo jest pewną strukturą całościową i nie jest dobrze, jeżeli niektóre elementy są zaniedbywane.

Przypomina mi się graffiti: „Tyle dróg budują, tylko q... nie ma dokąd pójść".

– Ludzie nie mają dokąd pójść. Oszukują się, że absurdalny plac zabaw na ciasnym skwerze przy ruchliwej ulicy poprawi jakość życia. Walczą o ten skwer, głosują w budżecie obywatelskim, wywieszają transparenty, ale dobrze wiedzą, że to błąd, bo sami w prywatnym życiu wielokrotnie kupowali różne „wymarzone, niezbędne" rzeczy, które niczego nie zmieniły. Ludzie nie mają dokąd pójść, ponieważ „inwestycje" to inwestycje pozorne. Dzisiaj życie społeczne toczy się pomiędzy lokalnym marketem, zieleniakiem i budą z kebabem. Takie są teraz centra życia społecznego. Wystarczy rozejrzeć

Bez silnej kultury i sztuki nie istniejemy.

się wokół i dostrzec, że rzeczywiście tak jest. Nie ma ich przy obiektach kultury, bo obiektów kultury prawie nie ma. A jeśli są, to zepchnięte na margines za sprawą ignorancji. Społeczne centra niedużych miast to budowane na szybko małe centra handlowe – market, drogeria, kebab, myjnia samochodowa.

Parkingi jako miejsca spotkań?

– Młodzi ludzie nie mają dokąd pójść, spotykają się na parkingach przy stacjach benzynowych, stoją przy samochodach i rozmawiają. Muszą powstawać przestrzenie publiczne, w których ludzie mogą niezobowiązująco spędzać ze sobą czas. Festiwal Bachowski w sposób świadomy popycham w kierunku bardzo silnego oddziaływania społecznego. To ewidentnie działa, bo mamy tłumy. Na jeden z koncertów przyszło trzy razy więcej ludzi, niż mieściła sala, i był mały kłopot, ale tu też potrzebujemy pomocy decydentów. Tego musi być więcej, bo jedynie to się opłaca. Tylko kultura i sztuka zasługują na miano inwestycji. Darmowe koncerty są pilną potrzebą. Ludzie są głodni sztuki, ale

Dzisiaj kultura i edukacja to fundament nowocześnie rozumianej tożsamości, wolności, dobrobytu.

często nie mogą sobie pozwolić na nawet najtańszy bilet. Mają dokładnie wyliczone pieniądze, wiedzą, w którym sklepie co ile kosztuje i jak tym zarządzać, żeby im starczyło do końca miesiąca.

No właśnie, wiejski kościół ukryty w górach – 400 osób bezpłatnie słuchało muzyki granej na violi da gamba. Dla wielu to jedyny kontakt ze sztuką, muzyką na żywo.

– Dla ludzi sztuka staje się najwyższą ideą, narzędziem edukacji, integracji, inspiracji. Dzieje się to intuicyjnie. Sztuka nie potrafi oszukiwać, ponieważ jest ideą, wolną myślą, ale nigdy nie ideologią. Sztuka otwiera umysły, bo pokazuje, że dany utwór muzyczny można wykonać na wiele różnych sposobów, że martwą naturę można namalować wielorako, że nie ma czegoś takiego jak „najlepszy obraz". Sztuka uczy, że nie ma jednej prawdy.

Dostępność kościoła wciąż jest większa, a tam akurat jest jedna prawda.

– Kościół jest dotowany, jest dostępny za darmo, bo każdy może wejść do kościoła i albo da na tacę, albo nie da, ale wejść może. Kultura też jest dotowana, lecz dodatkowo jest zabarykadowana za pomocą wysokich cen biletów. Wszyscy przez to przegrywamy, bez względu na poglądy – wiedziemy smutny, bezbarwny, schematyczny żywot, ale nawet tego nie wiemy. Ale chyba przeczuwamy. Kulturę trzeba traktować jak własny dom, który tworzymy nie po to, żeby nam się opłacał. Kultura się nie opłaca, tak samo jak wyjazd na wakacje, ale czekamy na nie i ich pragniemy.

Zachęca pan do sporu, odwagi, odejścia od uzależnienia od rzeczy.

– Obok zmysłu postrzegania rzeczywistości istnieje zmysł postrzegania możliwości. Wszyscy powiedzą: „Zwariowałeś. Jak można salę koncertową budować? Po co? Przecież są ważniejsze wydatki". Ale które wydatki są ważniejsze? Co konkretnie? Nowe lampy uliczne? Niczego nie zmienią, będzie, jak było. Nowy samochód to wciąż cztery koła, kierownica, te same korki. To nie ma wpływu na życie. Trzeba zorganizować jakieś życie, żeby samochód był nie celem, ale narzędziem do przyjazdu na koncert.

Gdzie pan by budował sale koncertowe?

– Wszędzie. Tysiąc lat temu chrześcijaństwo wszędzie budowało kościoły. To była bardzo mocna metoda cywilizacyjna. Kościoły stawały się dominantą, punktem ciężkości oddziałującym pod każdym względem – społecznym, ideowym, artystycznym, bo to architektura, rzeźba, malarstwo, słowo, muzyka. Każde miejsce powinno mieć jakąś dominantę i albo ją trzeba zbudować, albo dostrzec. Jest teoria tzw. trzeciego miejsca, czyli ludzie chodzą gdzieś do pracy, gdzieś mieszkają, ale potrzebują miejsca, do którego mogą pójść, spotkać ludzi, coś ciekawego zobaczyć albo wziąć udział w znaczącym wydarzeniu. Trzeba takie miejsca stwarzać, nie zawsze budować, częściej zauważyć, inaczej używać istniejących rzeczy.

Obok wymiaru duchowego festiwalowych spotkań z muzyką mamy i taki: w jednym z kościołów wisi kartka z napisem: „Ofiara na benzynę do koszenia trawy, Bóg zapłać".

– Koszenie trawy to sport narodowy. Narodowe uporczywe nękanie.

eprasa.pl 28df70e0c3

Trzeba ludziom powiedzieć: „Jak kosisz tę trawę, to, po pierwsze, wszystkich doprowadzasz do szału, bo hałas jest nie do zniesienia, po drugie, jak kosisz ciągle tę trawę, to stajesz się skoszoną trawą. Widzisz tylko tę kosiarkę, nie widzisz świata i nie słyszysz ludzi, bo hałasujesz. Świat w tym czasie umyka". Myślę, że powinniśmy wszyscy solidarnie zacząć pozywać się nawzajem za uporczywe nękanie hałasem. Żądać od firm, które sprzedają kosiarki spalinowe oraz motocykle, odszkodowań jako rodzaju podatku za hałas.

absurdem. Oczywiście rozumiem rolę symboli, ale akurat w dzisiejszych czasach batuta jako symbol władzy jest żałosna.

Dzięki Festiwalowi Bachowskiemu czy serii Opera Rara na scenie pojawiają się osoby, które nie tylko zachwycają kunsztem i głosem, ale również wzbudzają zainteresowanie wizerunkiem, jak sopranista Samuel Mariño. Po występie w Kościele Pokoju widownia oszalała. Podobnie było kilka lat wcześniej, w kraju, gdzie niedawno były strefy wolne od LGBTQ.

Tylko kultura i sztuka zasługują na miano inwestycji. Darmowe koncerty są pilną potrzebą.

Dyrektor znakomitych instytucji kultury bierze cztery deszczułki, podkłada sobie pod „siedzenie" w wiejskim kościele i siada na ziemi pod chórem. Osoby, które zarządzają instytucjami czy wydarzeniami, częściej wybierają trony.

– Na festiwalu wszyscy są u siebie, nie ma aroganckiej strefy VIP. To świadome działanie podprogowe. Za pomocą swobodnych, niezobowiązujących środków musimy sprawić, aby ludzie przebywali ze sobą i odkrywali swoje możliwości.

Wie pan, że ludzie się pana boją? Nawet tacy, którzy pana specjalnie nie znają.

– Sztuka nie polega na poprawnym powtarzaniu schematów i utrwalaniu stereotypów. Sztuka nie polega na poprawności. Sztuka wymaga pobudzenia, ruchu, żywego oddechu tego, co jest żywe. Ten oczywisty punkt widzenia może stwarzać pewien dystans, ponieważ ludzie szukają bezpieczeństwa w powtarzalności. Świadomie nie mam sekretariatu ani gabinetu. Te atrybuty uważam za dziaderstwo, arogancję i niedelikatność. Zarządzam za pomocą telefonu i plików w chmurze. Nie potrzebuję tradycyjnej otoczki.

Nie ma pan też batuty.

– Uważam, że batuta to relikt i obciach, odpowiednik pejcza. Uważam, że wymachiwanie patyczkiem przed nosem znakomitych muzyków jest

– Bardzo cenię powiedzenie Goethego: „Komu trzy tysiące lat nie mówią nic, niech w ciemności niewiedzy żyje z dnia na dzień". Gdy czytamy starożytnych gigantów, okazuje się, że nie roztrząsają oni tych sztucznych problemów, które stworzyły późniejsza kultura i systemy religijne. Zapraszam Samuela, bo pięknie śpiewa i lubię z nim grać. Nic mnie nie obchodzi, w co jest ubrany, skąd przyjechał i co będzie robił przed koncertem albo po nim.

Batuta to relikt. Wymachiwanie patyczkiem przed nosem znakomitych muzyków jest absurdem.

A czy to ważne dla pana, kim są artyści jako uczestnicy życia społecznego?

– Różnie bywa. Niektórzy ludzie tylko koszą, więc są skoszoną trawą, inni zamieniają się w markę swojego samochodu. Potrzeba czasu, żeby dotrzeć do samej osoby, jakiejś tożsamości. Artyści też często zakładają maskę, czyli odgrywają rolę danego artysty – otaczają się określonymi atrybutami, przyjmują stereotypowy sposób bycia. Prowadzi to do unifikacji i uniformizacji. To ryzykowne, ponieważ tożsamość, niepowtarzalność jest wszystkim, co mamy. Cenne są te rzadkie przypadki, kiedy artysta staje się instytucją, gdy jego oddziaływanie jest bardzo szerokie. Z tego powodu zaszczytem jest granie z Rolandem Villazónem.

Pisze pan w karcie, że kultura to autoportret. Jak on wygląda tutaj?

– Piszę, że – pod naciskiem anonimowych komentarzy w internecie – „remontujemy chodniki, stawiamy ławki, obsesyjnie kosimy trawę z nadzieją, że będzie wspaniale. Ale po zakończeniu prac jakoś wspaniale nie jest. To znaczy, niby jest, ale wszyscy czujemy, że wcale nie jest. Że jest, jak było. I nie wiadomo dlaczego. Otóż dlatego, że chodnik to tylko chodnik, a koszenie trawy to irytujący hałas. Miejsca muszą mieć jakąś treść, infrastrukturę społeczną, infrastrukturę inspiracji. Inaczej chodnikiem nie ma dokąd pójść, a na ławce nie ma z kim i o czym rozmawiać. Do tworzenia treści służy kultura i sztuka. Eventy i festyny to nie jest kultura. To przejadanie pieniędzy, populizm, cynizm wyborczy. Ludzie się przeciwko temu nie buntują, ponieważ nie wiedzą, że można inaczej. Ale powinny to wiedzieć władze. Jeśli ktoś zarządza firmą, instytucją, miastem, regionem, krajem, powinien wytyczać szlak, zmieniać świat. Drobne, bieżące inwestycje to nie jest zarządzanie. Miejsca ambitne nie powinny wydawać pieniędzy na różnorodne, przypadkowe zdarzenia artystyczne, z których nie wynika nic wartościowego. Miasta na poziomie powinny mieć coś na poziomie – sprawić sobie coś konkretnego: teatr dramatyczny, centrum tańca, filharmonię, galerię sztuki, zaprosić artystów rezydentów, stworzyć jakiś trwały festiwal. Albo przekształcić coś, co mają, w nowy byt, dynamicznie rozwijający konkretną dziedzinę sztuki. Trzeba na coś się zdecydować, wskazać kierunek, zaufać ludziom i nie rezygnować przez sto lat. Tak powstaje kultura i sztuka, czyli treść miejsca – genius loci". Wydaje się, że akurat Świdnica zaczyna to rozumieć.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

WYDARZENIE

31. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Nduduzo Makhathini Trio

Pianista, kompozytor i filozof jest wiodącym głosem południowoafrykańskiego jazzu. W ciągu ostatniej dekady stał się jedną z najważniejszych osobowości sceny muzycznej RPA. Jego twórczość odzwierciedla głębokie powiązanie między dźwiękiem, rytuałem i uzdrawianiem w afrykańskiej filozofii. Dzięki sugestywnej grze i duchowej głębi Nduduzo Makhathini kształtuje globalny krajobraz jazzu, jednocześnie oddając hołd swoim przodkom. Jego misją jest zachowanie bogatego dziedzictwa ojczyzny i jednocześnie tworzenie brzmień, które przemawiają do świata XXI w. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 23 sierpnia, godz. 19

NA EKRANACH

Bałtyk,

reż. Iga Lis, prod. Polska, w kinach od 22 sierpnia

Do kin wchodzi dokument „Bałtyk" debiutującej Igi Lis. I jest to rzecz wyjątkowa. Przez ostatnie trzy lata reżyserka towarzyszyła Pani Mieci, która na co dzień prowadzi poważaną wędzarnię ryb w Łebie. Uwielbiana przez lokalsów i turystów „Królowa Łeby" przez 40 lat pracowała dzień w dzień, traktując swój fach jako pasję. Ale kiedy ciało już niedomaga, będzie musiała się odnaleźć w nowej rzeczywistości – tej, w której ryby i klienci nie wiodą już prymu w jej życiu. Bohaterowie są tutaj niczym z Oty Pavla, a przecież to Polska i XXI w. Tak czy siak, Iga Lis udowadnia, że prawdziwe życie jest gdzie indziej. Ma do tego pełną kontrolę nad opowieścią: wie, kiedy może sobie pozwolić na ingerencję kamery, a w których momentach musi zwracać uwagę na komfort bohaterki. Doskonała opcja, aby pożegnać wakacje i skonfrontować się z paroma trudnymi tematami.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

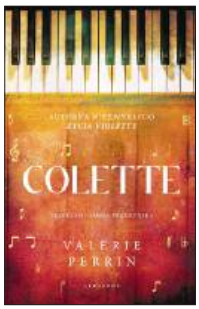

Valérie Perrin

Colette

tłum. Joanna Prądzyńska

Albatros, Warszawa 2025

Colette jest nie tyle tytułową bohaterką, ile zwornikiem skomplikowanych losów wielu postaci, szczególnie kobiecych. Jako dziecko, a urodziła się w latach 40., szybko musiała zacząć na siebie zapracowywać. Zdobywanie wykształcenia, zwłaszcza muzycznego, jak w przypadku utalentowanego brata, było szaleńczą fanaberią. Ale choć matka czułość znalazła dopiero dla najmłodszej córki, Colette i Jean mieli sporo szczęścia do ludzi. On w końcu został pianistą. Jej domem – i źródłem utrzymania na niemal resztę życia – stał się zakład szewski Tunezyjczyka, do którego 13-latka trafiła do terminu. Kobieta szewc, czołowa kibicka lokalnych piłkarzy – samo to jest dość niezwykłe, ilu jednak sekretów strzegła, nawet fingując swoją śmierć... To ileś powieści w jednej: o Zagładzie, o zbrodniczym właścicielu cyrku, o przymykaniu oczu na pedofilię, o meandrach miłości. Może nawet trochę tego za dużo – i zbyt melodramatycznie – ale Perrin umie zatrzymać nas w skonstruowanym przez siebie świecie.

Aleksandra Pańko

John Hersey

Hiroszima

tłum. Jerzy Łoziński

Znak Literanova, Kraków 2025

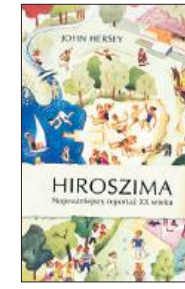

Po raz pierwszy reportaż „Hiroszima", czyli tekst z relacjami ocalałych po wybuchu bomby atomowej, opublikował „The New Yorker" w 1946 r. Od tego czasu reporterski majstersztyk żyje w formie książkowej. W 1999 r. publikacja została uznana za najważniejszy tekst dziennikarski XX w.

To reportaż, który nie potrzebuje efektów specjalnych. Wystarczą suche fakty, ludzki głos, jedno zdanie: „Wybuchła błyskawica". Hersey oddaje głos szóstce mieszkańców miasta, którzy 6 sierpnia 1945 r. przeżyli coś, czego nie sposób objąć wyobraźnią. Dla nich piekło nie jest metaforą. Nie znajdziemy tu patosu ani oskarżeń. Jest za to milcząca obecność śmierci i powolne, bolesne odkrywanie, co tak naprawdę się wydarzyło. Hersey nie pisze o bombie – pisze o człowieku, którego bomba zmiotła z powierzchni świata, o kobiecie, która leżała pod gruzami, o księdzu, który próbował nieść pomoc, sam będąc bliski śmierci.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 28df70e0c3

Z Belgradu do Limburgii

Poobijany Lech wciąż w grze

Wojciech Kuczok

Znowu się nie udało. Ale też udać się nie miało prawa. W 33-letniej historii Champions League polskie kluby wystąpiły ledwie trzy razy, przy czym po 1996 r. tylko Legii udało się przejść przez letnie kwalifikacje. Lech osłabiony serią kontuzji podstawowych graczy i strajkiem największej gwiazdy ubiegłego sezonu (Afonso Sousa uparł się na transfer) był w stanie dorównać Crvenej zvezdzie Belgrad mniej więcej przez 20 minut pierwszego spotkania. Fenomenalny wolej Mikaela Ishaka i bomba Alego Gholizadeha w poprzeczkę pozwoliły nam przed drugą połową meczu w Poznaniu snuć marzenia o sukcesie, ale po przerwie Serbowie się ogarnęli. Za sprawą świetnej formy Rade Krunicia i kryminalnego błędu naszego obrońcy Crvena pyknęła dwa gole i właściwie załatwiła sobie awans.

Gdybyż jeszcze rywale musieli na każdego gola sami zapracować… Tym razem Joel Pereira, prawy obrońca Lecha, beznadziejnie stracił piłkę na wysokości pola karnego i jeszcze raz przekonaliśmy się, że takie „wielbłądy" w Ekstraklasie mogą pozostać bez konsekwencji, ale na poziomie Ligi Mistrzów przeciwnicy ich nie wybaczają. W rewanżu Serbowie, grając na pół gwizdka, a nawet przez pół godziny w dziesiątkę, obronili dwubramkową przewagę z Poznania.

I właśnie tych trzydzieści kilka minut gry Lecha w przewadze personalnej było dla nas najbardziej upokarzające – czerwona kartka zupełnie nie osłabiła naszych rywali, Lech nie tyle walił głową w mur, ile bez szczególnego impetu stukał czołem, tak żeby się nie zranić, a gazpromowcy z Marakany wyprowadzali groźne kontry. Bliżej było kolejnego gola dla Crvenej niż dla Lecha, choć w ostatnich chwilach udało się szczęśliwie wyrównać dzięki przytomności Ishaka i odrobinie szczęścia (rykoszet).

I to może być sposób na upragnioną kwalifikację w przyszłości – ciułanie punkcików do rankingu UEFA. Prędzej do Ligi Mistrzów wejdziemy w końcu przez ranking, niż pokonując kogoś silnego latem – do upragnionego 10. miejsca, gwarantującego grę mistrza kraju w Champions League, brakuje nam pięciu punktów. Obecnie to miejsce zajmują Czesi, dzięki czemu praskie Slavia i Sparta oraz Victoria z Pilzna mogły w ostatnich latach zbierać doświadczenia w meczach z najlepszymi ekipami Europy, a przede wszystkim regularnie przytulać fortunę za udział w najbardziej elitarnych rozgrywkach.

Systematyczne zasilanie klubowych budżetów olbrzymimi premiami UEFA ostatecznie przebiłoby sufit – nasze kluby odważniej i hojniej wydawałyby pieniądze na transfery, bo też nie byłoby ryzyka,

FOT. GRZEGORZ WAJDA/ REPORTER

eprasa.pl 28df70e0c3

Lech w Belgradzie nie był w stanie dotrzymać kroku Crvenej zvezdzie. Rade Krunić nie tylko na zdjęciu wysunął się na pierwszy plan. Za nim Mikael Ishak i Luis Palma. 12 sierpnia 2025 r.

że bez awansu do finansowego raju Ligi Mistrzów zostaną z lukratywnie zakontraktowanymi gwiazdami „jak Himilsbach z angielskim". Są jednak sceptycy, którzy twierdzą, że nie ma takiej kasy, której Polak nie potrafiłby przep… bez sensu, i przywołują tutaj kazus Legii, która po występach w Champions League przed niemal dekadą miała finansowo i sportowo odjechać na stałe krajowej konkurencji, po czym zadomowić się w Europie. Stało się tak, że w następnych sezonach wyrzucali warszawian z pucharów Kazachowie, Mołdawianie, Słowacy i Luksemburczycy, a tej serii europejskich kompromitacji kibice z Łazienkowskiej nie wybaczyli prezesowi Mioduskiemu do dziś.

Poznaniacy mimo niepowodzenia wciąż są w grze – teraz czeka ich dwumecz o Ligę Europy z Racingiem Genk. Skala trudności co najmniej porównywalna, pomimo falstartu, jaki Belgowie zaliczyli w pierwszych kolejkach Jupiler League. Ten limburski klub pomimo niedługiej historii (powstał dopiero w 1988 r.) czterokrotnie zdobywał mistrzostwo i pięciokrotnie Puchar Belgii, a na europejskich salonach jest stałym bywalcem, choć tu akurat gra bez większych sukcesów – może się pochwalić ćwierćfinałem Ligi Europy osiągniętym w 2017 r. Lech już grał z Genkiem pucharowy dwumecz o Ligę Europy przed siedmiu laty, choć raczej to rywale grali, a nasi biernie temu się przyglądali. Dwie porażki po meczach w pełni kontrolowanych przez przeciwnika były spodziewane i nikt wtedy nie rozdzierał szat z powodu braku awansu; Belgowie mieli w składzie choćby Rusłana Malinowskiego czy Leandra Trossarda, dzisiejsze gwiazdy Serie A i Premier League, piłkarzy absolutnie poza finansowym zasięgiem naszych klubów.

Liga belgijska jest bezpośrednim zapleczem TOP 5 w Europie, co roku ma swoich reprezentantów w każdym z pucharów, a o takich budżetach nasze kluby wciąż mogą jedynie pomarzyć.

Ale to także liga o jednej z najniższych w Europie średnich wiekowych – sukces belgijskiej ekstraklasy opiera się na skautingu. Menedżerowie wyszukują i ściągają młode talenty z całego świata, aby je potem rozwijać i eksportować do bogatszych lig. W Racingu Genk tę metodę dopieszczono i uściślono: do klubu sprowadzani są zawodnicy młodzi, maksymalnie 23-letni, a ich najważniejszą predyspozycją ma być technika. O to, aby błyskotliwe młokosy nie zapomniały o taktyce, dba obecnie Niemiec Thorsten Fink, wieloletni solidny pomocnik Bayernu Monachium z przełomu wieków, drużyny, którą zapamiętaliśmy choćby ze słynnego finału Pucharu Europy, przegranego z Manchesterem United w samej końcówce 1:2 w 1999 r. W ostatniej dekadzie Genk zarobił na sprzedaży swoich zawodników ponad ćwierć… miliarda euro – trudno zatem się dziwić, że to klub cieszący się opinią doskonałej trampoliny do wielkiej piłkarskiej kariery. Szczególną rolę odgrywa tu akademia piłkarska Jong Genk, w której dojrzewają prawdziwe perełki – z niej wywodzi się najbardziej obecnie pożądany na rynku transferowym 17-letni grecki pomocnik Konstantinos Karetsas.

W 33-letniej historii Champions League polskie kluby wystąpiły ledwie trzy razy.

W zeszłym sezonie Flamandowie wygrali z dużą przewagą sezon zasadniczy, a szanse na mistrzostwo Belgii postradali dopiero w fazie play-off, ostatecznie kończąc rozgrywki na najniższym podium. Trzecia siła belgijskiej piłki klubowej to obecnie prawdziwa mozaika narodowości, a najbardziej cenieni są w tej ekipie nigeryjski napastnik Tolu Arokodare, młody belgijski stoper Matte Smets czy grający na prawej obronie Marokańczyk Zakaria El Ouahdi, na którego chrapkę ma bundesligowy Wolfsburg.

Przejście przez tę przeszkodę byłoby dla Lecha Poznań olbrzymim sukcesem, biorąc pod uwagę fakt, że skład wciąż mu szczupleje wskutek istnej plagi kontuzji kluczowych zawodników: do Radosława Murawskiego (szansa na powrót we wrześniu), Alego Gholizadeha (zerwanie przywodziciela), Daniela i Patrika Wålemarka (obaj po operacjach, wyłączeni z gry do końca roku) dołączył Robert Gumny, zwieziony z boiska już po kilku minutach meczu w Belgradzie.

Plaga kontuzji zresztą dotyka nie tylko Lecha, ale i naszą kadrę narodową. W poprzedni weekend nasi reprezentacyjni obrońcy debiutowali w nowych klubach i obaj nie dokończyli meczów. Mateusz Wieteska po 22 minutach gry dla Kocaelisporu zerwał więzadła krzyżowe w kolanie (to najgorsza piłkarska kontuzja, niemal zawsze wyłączająca zawodnika z gry na cały sezon), a Jan Bednarek w debiucie w FC Porto też zszedł z urazem po godzinie skądinąd obiecującej gry.

Im bliżej meczu reprezentacji Polski z Holandią, tym bardziej o naszą defensywę się lękamy, ba, lękalibyśmy się o nią, nawet gdyby wszyscy byli zdrowi, tak wątłą wyrobiła sobie opinię za kadencji Michała Probierza.

Pozostaje mieć nadzieję, że nowy selekcjoner Jan Urban z tego kłopotu uczyni pretekst do radykalnej przebudowy linii defensywnej. Choć słowo przebudowa za sprawą Probierza stało się bodaj najbardziej drażniącym ucho kibica kocopołem, tłumaczącym brak koncepcji składu i pomysłów na strategię, akurat nasza obrona wymaga drastycznych zmian. Rzekłbym nawet, że tu nie ma czego przebudowywać, nasze tyły trzeba zbudować od zera, stawiając na zawodników, którzy jeszcze nie zdążyli się skompromitować na podobieństwo Dawidowicza czy innego Walukiewicza. No i mieć nadzieję, że po starcie sezonu polskie rodzynki w Premier League – nasz najsolidniejszy mimo wszystko stoper Jakub Kiwior i żwawy boczny obrońca Matty Cash – nie dołączą do listy zwolnień lekarskich. ■

eprasa.pl 28df70e0c3

POLACY NA WAKACJACH

Koszmar tanich urlopów i wstyd za rodaków za granicą. Ile w tym stereotypu?

Kornel Wawrzyniak

Wakacyjny dramat rodaków to chyba jeden z częstszych nagłówków w portalach internetowych w okresie wakacyjnym. Polacy za granicą hurtowo wręcz się gubią, są oszukiwani, utykają na lotnisku albo zatrzymują ich miejscowe służby, chociażby za nieobyczajne zachowanie. Z zachowaniem zaś wiążą się opowieści, że Polak słyszący innego Polaka za granicą natychmiast milknie albo zaczyna mówić po angielsku.

Urlop z piekła rodem

– Jesteśmy na Rodos, i to poza sezonem. Zrobiliśmy sobie przerwę w zwiedzaniu Grecji. Dwa dni leżakowania. Wysiadamy z autobusu tuż przy plaży. Mój partner dość głośno stwierdza, że skoczy jeszcze do toalety. Na nieszczęście tuż obok przechodzi człowiek pchający jedną ręką wózek. Na oko około czterdziestki, ma wielki brzuch, jest bez koszulki. Na głowie czapka rybacka moro. Cały czerwony od poparzenia słońcem, co w dalszej części rozmowy nazwie opaleniznę. Wiedzieliśmy, że jest za późno na ucieczkę. „O! Rodacy! Wejdź pan do damskiego. Zamek zepsuty, nie trzeba płacić!" – opowiada 30-letnia Adelajda ze Szczecina.

Nie mamy zbyt dobrego mniemania o sobie jako narodzie, kiedy wyjeżdżamy za granicę. Wielu unika wtedy rodaków, nie chcąc się wstydzić. Nadal docierają do nas takie sygnały jak dwa lata temu z Holandii. Dwóch Polaków zatrzymano właśnie za nieobyczajne zachowanie na plaży Noord Aa w mieście Zoetermeer. Pijani mężczyźni w wieku 34 i 52 lata wszczęli awanturę. Na dodatek się obnażyli, chociaż plaża nie była przeznaczona dla nudystów. Skończyło się na mandatach po 250 euro na głowę i ewentualnym wstydzie, który pewnie prędzej poczuli inni Polacy niż główni zainteresowani.

W ukochanej przez Polaków Chorwacji jest jeszcze gorzej. Obserwacjami podzielił się czytelnik portalu naTemat. Wypoczynek jest właściwie niemożliwy z powodu chamskiego zachowania polskich plażowiczów: „Już pierwszego dnia na plaży miałem wrażenie, że trafiłem nie do Chorwacji, tylko na wiejski festyn w Polsce. Grupa rodaków rozłożyła się z pełnym ekwipunkiem: parawany, głośnik, z którego wyje hiphopolo, lodówka turystyczna pełna

eprasa.pl 28df70e0c3

browarów. Ktoś chce poczytać książkę albo po prostu odpocząć? Trudno, trzeba się dostosować. W końcu Polak na wakacjach nie odpoczywa – on dominuje".

Frustrację sposobem bycia polskich urlopowiczów wyraził też dziennikarz „Dzień Dobry TVN" Michał Cessanis, który wybrał się do Turcji, popularnej wśród jeżdżących na wypoczynek all inclusive. Hotelowi sąsiedzi dziennikarza postanowili imprezować w pokoju zamiast w części do tego przeznaczonej. „Na terenie eleganckiego, pięciogwiazdkowego hotelu z pakietem ultra all inclusive mieli do wyboru przez całą dobę kilka miejsc – barów i restauracji, w których mogli balować do białego rana. To nie, co noc imprezowali w pokoju, mając w nosie innych gości hotelowych, którzy jedyne, czego chcieli po godz. 23, to ciszy i spokoju. Niestety, ani poduszka na głowie, ani słuchawki wyciszające nie pomagały mi w zaśnięciu", relacjonował Cessanis, wspominając o śpiewach i małpich jękach przez trzy noce z rzędu.

Oszukani czy nieuważni?

O Polakach na wakacjach nie mają też dobrego zdania ludzie z branży turystycznej. Pani Karolina pracująca w jednym z greckich hoteli opowiadała w lipcu Onetowi, że mimo poprawy pewne schematy trudno wyplenić: „Jest prawda w powiedzeniu, że Polaka łatwo poznać za granicą. Kiedyś się tego trochę wstydziłam, ale teraz tych negatywnych, denerwujących zachowań jest coraz mniej. A może to ja zwracam na nie mniej uwagi, mniej się identyfikuję z ludźmi, którzy do nas przyjeżdżają? Dla mnie to po prostu klienci hotelu, ale oni od razu widzą we mnie dobrą znajomą". Według rozmówczyni Onetu największym problemem Polaków za granicą jest brak umiaru w piciu alkoholu.

Kolejnym grzeszkiem, który wymieniają pracownicy branży hotelowej, jest roszczeniowość. Podobno Polacy często w nietypowych porach zgłaszają różnego rodzaju zapotrzebowania, dzwoniąc do pilotów wycieczek grubo po północy, aby załatwić chociażby kubełek z lodem. Wielu turystom wydaje się bowiem, że pilot wycieczki na zawołanie zrealizuje ich zachcianki.

Trzecia najczęstsza przywara polskich turystów to skąpstwo, gdy trzeba zapłacić za toaletę albo przekąski.

Zdarzają się również wakacyjne oszustwa. Jak informuje policja, na początku sierpnia oszukano 34-letnią mieszkankę gminy Łuków, która wynajęła luksusową willę w Chorwacji w okazyjnej cenie 800 euro. Na miejscu okazało się, że ogłoszenie jest fałszywe, a willa, chociaż istnieje, jest zamieszkana i nie do wynajęcia.

Polak na wakacjach nie odpoczywa – on dominuje.

Nie brakuje też osób wydających ciężkie pieniądze na all inclusive, które okazuje się mało exclusive. Na zdjęciach wszystko wydaje się ładne. W rzeczywistości pokoje są zapyziałe i usytuowane na skraju wielkiego kompleksu hotelowego. Na basen i śniadanie idzie się 20 minut, a poza tym wszędzie są długie kolejki. W takich warunkach rodzą się słynne burdy o ręcznik na leżaku, bo o miejsca przy basenie walczą tak samo Polacy i inne nacje.

Podróżnicze zaliczanie

Mieszkająca w Norwegii Polka, prowadząca profil Wracając z Bambuko, opowiadała na TikToku, dlaczego już nie zaprasza rodaków na urlop do siebie. A przyjmowała gości z Polski przez ostatnie 10 lat. Wiele osób traktuje wizytę u znajomych za granicą jak urlop za darmo. Oczekują pełnej obsługi, przywożąc w zamian… kiełbasę: „Oni przyjeżdżają na wakacje, więc za nic nie płacą. Kupują bilet, przywożą ci pęto kiełbasy i teraz ty jesteś zobowiązany do tego, żeby resztę już zorganizować państwu". Podobne doświadczenia mają inni Polacy mieszkający za granicą.

A jeździć ludzie chcą, bo modne stało się w ostatnich latach zaliczanie kolejnych miejsc na mapie. Prześcignęło złote zegarki, drogie samochody czy piękną rodzinę. Tutaj nawet nie chodzi o wystawne wakacje. Podróże stały się nowym sposobem pokazywania statusu społecznego. Najważniejsze, ile krajów i obiektów się zaliczyło. I zdjęcia „tego, co koniecznie trzeba zobaczyć".

Dr Dominik Lewiński, badacz komunikacji społecznej, w rozmowie z „Newsweekiem" wskazywał, że „definiowanie siebie poprzez podróże to wór bez dna. Trzeba go wciąż napełniać, aby zasłużyć na miano kogoś, kto pędzi życie ciekawsze od innych". Z relacji takich podróżników wynika zresztą, że ich pęd jest bezrefleksyjny. W każdym wymiarze tych podróży liczy się tylko stawianie ptaszków przy kolejnych pozycjach na liście must see. A to, co należy zobaczyć, dyktują media społecznościowe. Na platformy trzeba zresztą wrzucić dowody, że my też tam byliśmy i widzieliśmy.

Ktoś mógłby powiedzieć: i co to szkodzi? Przecież podróże kształcą. Tak, ale tylko wtedy, kiedy podróżujemy z odpowiednim nastawieniem, nie zatracając się w konsumpcjonistycznym pędzie.

Czy zaliczanie kolejnych krajów galopem różni się jakoś od spędzania urlopu pod znakiem all inclusive? Chyba niespecjalnie. Obsesyjni podróżnicy, nawet skrupulatni we wrzucaniu fotek do mediów społecznościowych, wreszcie tracą rachubę, co i gdzie widzieli. Trudno jednak się dziwić, skoro w kółko jest się w pędzie po przygodę, na którą jednocześnie brakuje czasu. Za stwierdzeniem, że ktoś był w 120 państwach, kryje się pustka. Nie ma to też zbyt wiele wspólnego z byciem obywatelem świata – taki umie polecić knajpkę, którą pamięta.

Można wreszcie rozważać, czy ten ogłupiały galop, który nazywa się z angielskiego „maksowaniem" urlopu, jest zgodny z samym znaczeniem słowa wakacje. Pochodzi ono przecież od łacińskiego vacatio, oznaczającego uwolnienie, zwolnienie. Ten zaś wyraz wywodzi się od czasownika vacare – być wolnym, niezajętym. Może dlatego główną ideą wakacji powinien być odpoczynek przede wszystkim dla głowy.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28df70e0c3

TRZCINA WRACA DO ŁASK

Nad Wigrami kosi się ją jako ekskluzywny materiał do pokrywania dachów

Wojciech Misiukiewicz

Wigry to nie tylko woda, lecz także okalające je lasy. Od południa jezioro jest otoczone Puszczą Augustowską. Na pograniczu Polski, Białorusi i Litwy rozpościera się największy na nizinach Europy zwarty kompleks leśny. Ma on niebagatelną powierzchnię prawie 300 tys. ha. Od zachodu ograniczają go rzeki Rospuda i Netta, od południa jest zamknięty Biebrzą i Kanałem Augustowskim, od północy okalają go rzeki Marycha, Czarna Hańcza i Biała Hańcza, od wschodu natomiast znacznie przekracza wielką rzekę Niemen. Część tego obszaru w granicach naszego kraju to Puszcza Augustowska. Ten sam las po stronie litewskiej zwie się Puszczą Kopciowską. Liczy on 28 tys. ha i rozciąga się dalej na wschód, hen za Niemen, gdzie Litwini nazywają go Puszczą Dajnawską lub Lasami Druskiennicko-Orańskimi. Ich powierzchnia to 135 tys. ha. Na terenie Białorusi znajduje się ponadto 30 tys. ha tego lasu w dwóch wielkich rezerwatach: Sopoćkiński Zakaźnik i Hożauski Zakaźnik.

Ta rozległa puszcza pokrywa w Polsce Równinę Augustowską. Powstała na piaszczystym sandrze, który podczas ostatniego zlodowacenia utworzyły zasobne w piasek i żwir wody spływające od czoła lądolodu goszczącego w tym rejonie przez tysiące lat. Powierzchnia tego sandru wynosi na Równinie Augustowskiej 117 tys. ha.

Takie ukształtowanie terenu pozwoliło na przetrwanie wielkiej puszczy. Gleby – mimo że nieurodzajne dla rolnictwa – są odpowiednie dla rozwoju lasów iglastych, zwłaszcza sosnowych. Rosną tu więc bory sosnowe lub świerkowo-sosnowe, a udział sosen w drzewostanach sięga nawet 70%. Na żyźniejszych obszarach pojawiają się też osiki, graby, klony, lipy drobnolistne, jesiony wyniosłe, wiązy szypułkowe i górskie oraz dęby szypułkowe.

Najliczniejszym gatunkiem liściastym Puszczy Augustowskiej jest brzoza. Na obszarach nawodnionych dogodne warunki wzrostu i rozwoju znajduje również olsza czarna, której często towarzyszą różne gatunki wierzb. Terenów wilgotnych i podmokłych można w puszczy znaleźć jeszcze całkiem sporo, mimo że po II wojnie światowej podejmowano usilne próby osuszenia i zagospodarowania tych obszarów na potrzeby hodowli lasu. W ten sposób zrujnowano wiele wartościowych przyrodniczo terenów.

Puszcza porastająca ten region kilkaset lat temu była dużo większa niż dziś, w znacznej części liściasta, zajmowała też żyźniejsze tereny. Postępujące osadnictwo zepchnęło jednak zwarty las na tereny najmniej korzystne dla osadników i nienadające się do zagospodarowania rolniczego. Puszcza zachowała się więc na obszarze piaszczystego sandru, zamieniając się stopniowo w zagospodarowany przez człowieka bór. Mimo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28df70e0c3

wielu niekorzystnych zmian pozostała puszczą. Wciąż jest rozległym borem i, w odróżnieniu od innych leśnych terenów Europy, zmiana jej pierwotnego oblicza nastąpiła najpóźniej, bo zaledwie w ciągu ostatnich 300 lat.

Na północnym krańcu tej rozległej puszczy rozpościera się jezioro Wigry. Na jego wysokich brzegach rosną głównie olchy, a tuż za nimi Puszcza Augustowska opasuje wody swoimi borami. Trzcina porasta ten wyjątkowy, naturalny zbiornik wodny szerokim pasem. Ukrywają się w niej i odpoczywają czaple, tracze i gągoły. Bobry tną kolejne kłącza trzciny, wyrąbując w niej drogi do swych żeremi. Łyski, perkozy, błotniaki stawowe, bąki i trzciniaki budują w niej platformy oraz wiją gniazda. Jeszcze w okresie międzywojennym nie było nad Wigrami trzcin, a brzegów jezior nie porastały jak dzisiaj olchowe gaje. Trzcina była bowiem jednym z tych dóbr natury, które pozyskiwali ludzie – dawniej rolnicy przerabiali ją na słomę dla zwierząt i pokrycia dachów, a gospodynie stroiły z niej suche bukiety.

Rybak Jan Korsakowski pochodzący ze wsi Wigry wspomina, jak to miejscowi gospodarze, trzcinę kosili: „Moja matka na podściałkę dla zwierząt gospodarczych. To żadnej pan trzciny nie zobaczył. Było czyściutko, pięknie wykoszone. (…) Ludzie wybierali każdą jedną trzcinkę dookoła z Wigier. Potem zaczęli kosić do Ełku na sprzedaż. Ja ryby łowił, ale też kosił po lodzie takim suwakiem. W pęczki. Przyjechał samochód, zabierał. Pęczek kosztował 5 zł, to 100 pęczków to było można ukosić w mig we dwóch. (…) No a resztę ludzie wykosili wszystko na podściałkę. (…) Cały Rosochaty Róg kosił na sprzedaż. Bogdan Jakubowski kosił koniami, miał kosiarkę do zboża”.

Ełcki zakład odbierał trzcinę do produkcji mat trzcinowych pod tynk. Dziś ta roślina również bywa wykorzystywana do różnych celów – sadzi się ją np. w oczyszczalniach hydrofitowych. Przede wszystkim jest jednak koszona zimą jako ekskluzywny materiał do pokrywania dachów. Surowiec, który kiedyś uchodził za symbol biedy, dziś staje się modnym i poszukiwanym materiałem spełniającym kaprysy możnych. A jako że strzechy wracają do łask, zainteresowanie trzciną wciąż rośnie. Trafia ona nie tylko na rynek krajowy, lecz także do Niemiec, Danii i Anglii. Z nastaniem mrozów jest więc koszona na wigierskim lodzie, a następnie wiązana w snopki i transportowana na budowy chat, dworków, altan ogrodowych i skansenów.

Trzcina, kiedyś symbol biedy, dziś trafia nie tylko na rynek krajowy, lecz także do Niemiec, Danii i Anglii.

Kosmopolityczna trzcina jest dziś wszędzie. Rozrosła się zwłaszcza w Zatoce Hańczańskiej, do której wpadają wody Czarnej Hańczy. Zanim rzeka dotrze do Wigier, mija wsie, osady i same Suwałki. Tocząc swoje wody, zabiera spotkane po drodze niestrawne dla natury mieszanki. Sączą się one wraz z nurtem rzeki, a na koniec osadzają w wodach Wigier. Bo rzeka, która zbiera wody z powierzchni ok. 170 km kw. i jest odbiorczynią suwalskich ścieków, doprowadza do Wigier ogromny ładunek substancji użyźniających.

W latach 1986-2009 czystość wody w Wigrach zwiększyła się dwukrotnie. Dno zarasta roślinnością, polepszają się warunki tlenowe.

I tu Wigry mają problem. To, co płynie Czarną Hańczą, nie zawsze ma bowiem lazurowy kolor. Stan czystości wigierskich wód badano już w okresie przedwojennym, a wszystko dzięki systematycznym pracom zespołu Stacji Hydrobiologicznej pod kierunkiem Alfreda Lityńskiego. Wykazywano wówczas, że jezioro jest tak czyste, iż jego przezroczystość sięga ponad 6 m. W okresie powojennym Wigry traktowano nawet jako zbiornik wody pitnej. Emerytowany rybak Jan Korsakowski wspominał, że rybacy czerpali zeń wodę do picia, gdy siedzieli w swych łodziach. Również Jan Buczyński z miejscowości Czerwony Krzyż opisuje, jak czysta była niegdyś woda: „Nie było studni. Wszystko do jeziora, piło się wodę bezpośrednio z jeziora. Studnię wykopali w pięćdziesiątym trzecim roku”.

Nie było wówczas zakwitów glonów i sinic, które obserwujemy dzisiaj. Jak mówią starzy wędkarze, jeszcze na początku lat 70. Wigry były „bogate w rybę”. Łowiono wielkie szczupaki, piękne pasiaste okonie, duże srebrzyste płocie. Zimą rybacy tonami odławiali stynki. Gdy jednak w latach 1965-1990 przeprowadzono kolejne badania jeziora, ich wyniki nie napawały optymizmem. Rozwijające się miasto Suwałki, przez które przepływa Czarna Hańcza, zanieczyszczało wody rzeki w coraz większym stopniu. Z każdym rokiem ludzie intensyfikowali nadrzeczną produkcję rolną i przemysłową, przez co pogarszał się stan wód jeziora. Na początku lat 80. do Wigier trafiały ścieki ze źle zaprojektowanej oczyszczalni, która działała tuż za Suwałkami.

Wody jeziora stawały się coraz mniej przejrzyste. Latem, podczas bezwietrznych i upalnych dni, zaczęto obserwować przypadki śnięcia sielawy i siei. Niedostatek tlenu wywołany zbyt dużą ilością materii organicznej oraz zanieczyszczeniem wody w połączeniu z jej wysoką temperaturą powodowały masową śmierć ryb. Mieszkańcy oraz przyjezdni ruszali wtedy łodziami na Wigry i zbierali martwe i umierające ryby, traktując je jako darmowy poczęstunek.

Kolejne tony zanieczyszczeń powoli mordowały Wigry. Północna część jeziora, począwszy od Zatoki Hańczańskiej poprzez Ploso Wigierskie aż do zatoki Zadworze była objęta intensywną eutrofizacją, czyli patologicznym użyźnianiem. Jego

eprasa.pl 28df70e0c3

powodem, oprócz fosforanów, azotanów, azotynów czy jonów amonowych, był wielki ładunek zawiesiny ze związkami organicznymi, który niosła ze sobą Czarna Hańcza.

Rzekę zamieniono w zwykły rynsztok. Dostające się do jeziora związki organiczne opadały na dno Zatoki Hańczańskiej, a bardzo duże zużycie tlenu podczas ich rozkładu prowadziło do stałego niedotlenienia wody. Do tego w wielu nadwigierskich miejscowościach powszechna była praktyka wylewania szamba do jeziora. Przez zakwit glonów i sinic woda mętniała jak zupa. Turyści zaczęli narzekać na pojawiające się uczulenia oraz egzemy. Zdarzyło się nawet, że kąpiący się ludzie musieli być hospitalizowani i odtruwani. Na plażach pojawiły się informacje o zakazie kąpieli. W niektórych miejscach jezioro zaczęło umierać. Cierpiało wszelkie życie związane z Wigrami. Ze względu na trwające długo niedotlenienie wód zaczęły zanikać gatunki ryb szlachetnych, takie jak sielawa i sieja, zaczął się natomiast rozrastać rybostan gatunków karpiowatych: płoci, leszczy, krąpi i wzdręgi.

Pamiętam czasy, gdy ta zmiana szczególnie cieszyła wędkarzy. Jako podrostek sam byłem wędkarzem i często jeździłem z ojczymem na ryby. Do sukcesu podchodziłem tak ambitnie, że nie zawsze łowiłem wyłącznie na wędkę. Stojąc od rana do południa na pomoście w Starym Folwarku z podrywką w garści, złowiłem czasem całe wiadro wzdręg. Trafił się też rok szczególnie obfitujący w leszczowe sukcesy. W ciągu dnia w okolicach wysp Ordów i Ostrów na trzy wędki złowiliśmy z łodzi wespół z ojczymem ok. 15 kg leszczy.

A byli znajomi wędkarze, którzy odławiali nawet 40 kg. Podobno znaleźli się też tacy rekordziści, którzy w ciągu tygodnia łowili z łódki po 400 kg. To leszczowe eldorado trwało przez kilka lat. Leszcz brał tak dobrze, że okoliczni entuzjaści tanich trunków wybierali się na Wigry nie „na ryby", ale „po ryby". Wielokilogramowy sukces dosłownie przelewał się później na flaszki z napitkiem.

W błędzie jest ten, kto sądzi, że mnogość leszczy wynikała z dobrostanu jeziora. Wigry cierpiały. Chorować zaczęła nie tylko północna część zbiornika. Południowo-zachodnie wody jeziora, a więc Zatoka Słupiańska oraz zatoki Wigierki i Uklei zaczęły gasnąć na skutek eutrofizacji „turystycznej". Ośrodki domków kempingowych, nieuzbrojone technicznie i niemające systemu oczyszczania ścieków, pompowały kolejne biogeny do wody. Kąpieliska dołożyły swoją cegiełkę.

I gdy już się wydawało, że los Wigier został przesądzony, ruszyły inwestycje spowalniające spływ ścieków do jeziora. Modernizacja suwalskiej oczyszczalni przyhamowała ordynarne tłoczenie biogenów do Wigier. Ponadto gmina Suwałki rozpoczęła inwestycje związane z rozbudową systemu kanalizacji sanitarnej we wsiach położonych w zlewni Wigier. Pomogło. Wigry złapały oddech! Stan wód zaczął się zauważalnie poprawiać zarówno w północnej, jak i w zachodniej części jeziora. Wędkarze zaczęli donosić o swoich imponujących wynikach – łowili coraz większe liny, szczupaki i okonie. Dziś podczas spinningowania udaje im się nawet zaciąć wielkiego wąsatego suma.

Ludzie w końcu przerwali proces mordowania Wigier. Samo jezioro też podjęło trud samooczyszczenia i regeneracji. Poprawia się czystość wód – w latach 1986-2009 zwiększyła się ona dwukrotnie. Dno zarasta roślinnością, polepszają się warunki tlenowe. Wigry powoli dźwigają się z traumy poprzedniego wieku.

Choć wiemy, że nie powrócimy do pierwotnego stanu, możemy pomóc naturze. A jedną z metod pomocy może być… pozostawienie jej w spokoju. Przejrzystość wody zwiększa się dzięki sedymentacji zawiesin. Opadają więc cząstki substancji szkodliwych zawieszonych w toni wodnej. Jezioro uruchamia też ciąg reakcji biochemicznych i chemicznych neutralizujących dawne procesy.

Ale nie zakładajmy jeszcze różowych okularów. Należy mieć świadomość, że nagromadzone na dnie zanieczyszczenia mogą się stać swego rodzaju bombą z opóźnionym zapłonem. Jeśli sedymentacja przebiega za szybko, może dojść do wtórnego zanieczyszczenia przez ponowne uniesienie całości osadów dennych. Ponadto zbyt duża ilość substancji organicznych w osadach doprowadza do ich beztlenowego rozkładu. Towarzyszy temu wydzielanie się gazów: dwutlenku węgla, metanu i azotu.

Zdarzyło mi się kiedyś wędrować przez przybrzeżny pas roślin przy wyspie Ostrów. Brodziłem wśród trzcin w poszukiwaniu gniazd ptaków, wzbijając kłęby osadów, gdy pośród wydobywających się bąbli gazowych poczułem zapach zgniłych jaj. To uwolniony pod moimi stopami pokład siarkowodoru unosił się za mną i wokół mnie. Brodząc pośród tego odoru, poczułem mdłości. Uratowała mnie burta łodzi, której chwyciłem się przestraszony.

Mimo to mam pewność, że będzie dobrze. A dlaczego będzie dobrze? Bo wyłączając połowę ostatniego stulecia, zawsze tak było. Musiało być dobrze, gdy nasi nieodlegli przodkowie zastali świat Wigier w dziewiczym stanie.

Jak mówią starzy wędkarze, jeszcze na początku lat 70. Wigry były „bogate w rybę".

Nie powrócimy do pierwotnego stanu, ale możemy pomóc naturze, choćby pozostawiając ją w spokoju.

Fragmenty książki Wojciecha Misiukiewicza *Saga pradawnych Wigier*,. Pańsny Buriat, Suwałki 2025

eprasa.pl 28df70e0c3

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Moje zboczenia

W tym roku przedzieram się przez tatrzańskie chaszcze już bez duszy na ramieniu. Nigdy nie byłem zwolennikiem coraz modniejszych dzwonków przytraczanych do plecaków, bo co prawda misiołaki z dala dźwięk usłyszą i nie zostaną zaskoczone przez człowieka, ale teraz wszystkie szlaki na poziomie regli są rozdzwonione, jakby stada owiec nimi wędrowały. Jako miłośnik cichych ostępów nie chcę, a nawet nie mogę chodzić z dzwonkiem, bo niedźwiedzia bym może i ostrzegł, że się zbliżam, ale również przywołałbym parkowców, którzy byliby w prawie wlepić mi pokutu za zboczenie ze szlaku i uprawianie włóczęgostwa w rezerwatach (pal licho, niech się kasa parku narodowego wzbogaci), a co gorsza zawrócić na znakowaną ścieżkę.

Sprowadzania na właściwą drogę to ja nie znoszę chronicznie i od dziecka, taką mam właściwość, faktycznie to dzięki niej życie miałem może i wyboiste, za to ciekawe. Obsesyjnym podróżnikom legalistom współczuję, np. cyklistom warszawskim, co to wyłącznie wyznaczonych ścieżek się trzymają (widziałem nawet kiedyś bardzo śmieszny filmik z próby pokonania Śródmieścia wyłącznie wedle wyznaczonych tras rowerowych, zastawionych przez zaparkowane samochody). Krzysztof Zanussi zrobił niegdyś poruszający „Constans" o tym, jak życie karze ludzi zanadto bezkompromisowych i przesadnie zasadniczych. Owszem, warcholskie upodobanie Polaków do łamania przepisów jest słabe, ale obsesja krystalicznie czystej karty i stuprocentowej uczciwości to idea nie z tego świata, zanim utoruje drogę do nieba, może się przyczynić do krzywd i tragedii.

Chodzę dzikimi perciami z miłości do gór, a nie do anarchii, po prostu wszystkie znakowane szlaki dawno mi się skończyły po obu stronach Tatr. W ciągu 45 lat tatrzańskich peregrynacji zaledwie dwa razy zostałem złapany przez filanca. Skądinąd ten jeden raz przed 30 laty, kiedy się to skończyło mandatem, miałem akurat papierowe zezwolenie na wizytę w Jaskini Goryczkowej, ale zapomniałem w nim wpisać daty. No i się doczepił Maryś Weron, najbardziej nieprzejednany wróg wspinaczy i grotołazów tatrzańskich, obłażący swe rewiry z flintą u boku, z której zastrzelił niedźwiedzia podobno w obronie własnej – został za to zesłany ongiś karnie do Parku Narodowego Gór Stołowych, gdzie tak grubego zwierza ni ma.

Drugi raz wlazłem na parkowca po słowackiej stronie, schodząc z kompletnie dzikich i pięknych Kop Liptowskich, co to snują się łagodnymi grzbietami niczym połoniny bieszczadzkie, ale oddziela je od Doliny Cichej niezmierzony ocean kosodrzewiny. Znaleźć w nim drogę niełatwo, a jak się wpakować w taki łan, to koniec pieśni – tempo poruszania w zwartej kosodrzewinie wynosi mniej więcej 100 m na godzinę, a wychodzi z tego człowiek podrapany i wycieńczony, jakby przeszedł całą grań Tatr. Filanc był przekonany, że wyłazi na niego z kosówki niedźwiedź brunatny, po słowacku zwany gniadym, i tak się ucieszył, gdy okazałem się człowiekiem, że mi kary nie wlepił – żywej człeczej duszy jeszcze nie widział w tym terenie.

Górscy piechurzy i grzybiarze, zwłaszcza w lasach nadzwyczaj zaniedźwiedzionej Słowacji, wybierają się często na szlak uzbrojeni niczym turyści w Górach Skalistych, mając na podorędziu co najmniej gaz pieprzowy, przydatny wyłącznie w przypadku skrajnie bliskiego spotkania z agresywnym zwierzęciem. Lezą więc w puszczę nastawieni konfrontacyjnie, militarnie, właściwie po to chyba, żeby tego niedźwiedzia jednak znaleźć i w nochal mu psiknąć – gdybym brał pod uwagę wysokie prawdopodobieństwo konieczności użycia gazu, w ogóle bym do lasu nie wchodził, kocham góry, a nie safari, zwierzynę wolę omijać w drodze do turni, a nie jej wypatrywać celem łowów, choćby i bezkrwawych. Nie mam zatem dzwonka ani gazu, ale mam straszak akustyczny, który po naciśnięciu emituje sygnał dźwiękowy o sile 110 decybeli – zdecydowanie polecam wszystkim pielgrzymom górskim o słabszych nerwach: zanim się człowiek zanurzy w morze kosodrzewiny, by leźć na czworakach starą i zarośniętą percią myśliwską upstrzoną borówkowymi kupami niedźwiedzi, może „strzelić" dźwiękiem w te dzikie łany. Jeśli cokolwiek żywego kryje się w najbliższym hektarze kosówkowej gęstwy, niechybnie się oddali w podskokach.

> Sprowadzania na właściwą drogę to ja nie znoszę chronicznie i od dziecka.

Niedźwiedzie głupie nie są, zdążyły już do dzwonków się przyzwyczaić i skojarzyć je z ludźmi, a jeśli taki miś jest we wstępnej fazie synantropizacji i wie, że turysta oznacza plecak z prowiantem, może uznać, że warto za dźwiękiem dzwonka podążać z nadzieją na wyżerkę. Za to dźwięk straszaka jest tak potwornie przenikliwy, że należy go używać tylko na ułamek sekundy, koniecznie zatykając sobie uszy (palcem jednej i ramieniem drugiej ręki – tej, w której przyrząd trzymamy) i najlepiej w ostateczności (czytaj: panicznego wzmożenia lęku przed bliskim spotkaniem trzeciego stopnia w terenie znamionującym wysokie niebezpieczeństwo napotkania ssaka znacznie większego od nas), aby niepotrzebnie fauny nie stresować. ■

eprasa.pl 28df70e0c3

JOLKA

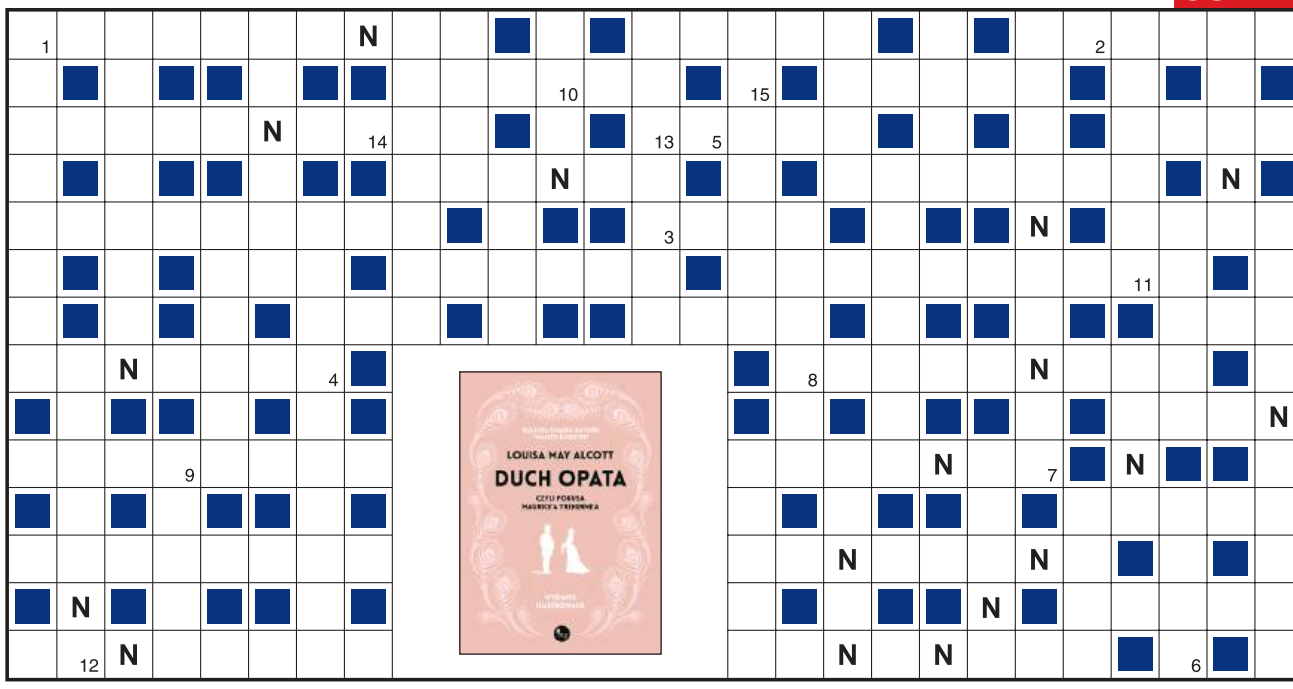

1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- etiopska niewolnica z opery Verdiego
- niższy od sopranu
- niewielka chustka wiązana na szyi
- reprezentacyjna sala wykładowa
- socjalistyczny premier Francji więziony przez nazistów
- kajzerki, brioszki, ciabatty
- Läckberg albo Parker Bowles
- okazyjna, przystępna bądź wygórowana
- zabroniony – przestępstwo lub wykroczenie
- wieczorna bajka w telewizji
- buchtujące zwierzę
- tam popełniony grzech pierworodny
- siła wyrazu, uzewnętrznianie przeżyć
- grecki władca wiatrów
- obsługuje ręczny karabin maszynowy
- kupno, sprzedaż lub wymiana towarów
- symbole aplikacji i programów na ekranie
- ze stolicą w Bagdadzie
- „…do domu!” z „Karuzelą” Koterbskiej
- wąska dolina o stromych zboczach
- …mędrek
- huk wielu wystrzałów
- bez tej kamizelki nie wypływaj!
- wyciąganie konsekwencji, pociąganie do odpowiedzialności
- ambona w kościele
- pęk włókna na kołowrotku
- opactwo albo monastyr
- mieszanka alkoholowa lub mleczna
- blat oddzielający klienta od obsługi
- stłuczka drogowa
- tam grób chasydzkiego cadyka Bidermana
- składana z papieru i puszczana na wodę
- ma dwie złączone muszle
- …na kość – sztywnienie z zimna
- Magdalena, grała Ligię w „Quo vadis”
- kompozytor „Wesela Figara”
- fornir
- grono uroczyście towarzyszące komuś
- łyżwy do szybkiej jazdy
- rozległy widok
- na uchu rysia
- budowy lub zabaw
- rozliczenia, wyrównanie krzywd, zemsta
- dźwigu, trójkąta, ośmiornicy
- siedziba miejskich władz administracyjnych
- Saoirse, irlandzka aktorka
- rak nią na bezrybiu
- „stopień zakarpienia” stawu hodowlanego
- karczma z „Pana Twardowskiego”
- per… – ogółem, w sumie
- para zdjęć dająca trójwymiarowy obraz
- zespół komórek o określonej funkcji
- insert w gazecie
- odbiór zastawu
- pęknięcie w kąciku ust
- o zużytym pojeździe
- haitański żywy trup
- lekarskie lub z pracy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1235”. Do rozlosowania książki „Duch opata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 sierpnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1232” z nr. 31: *Czas stracony nie wraca.*
Nagrody otrzymują: Renata Gramowska z Tucholi, Marianna Kamieniecka z Warszawy, Roman Pustelnik z Bydgoszczy.

eprasa.pl 28df70e0c3

Polak, którego widzą

To jest widoczne. Jeżeli ktoś jeździ po zachodniej Europie, po dużych miastach, natychmiast natknie się na bezdomnych, często uzależnionych, żebrzących, okupujących tereny dworców, stacje metra. Gdy ich zagadnie, okaże się nad wyraz często, że trafia na Polaków. W Berlinie, Hamburgu, Brukseli, Amsterdamie, Dublinie…

O tym rozmawiają między sobą konsulowie, którzy bezdomnym Polakom pomagają, o tym wie nasze MSZ. Wie, że nie chodzi o jakieś marginalne grupy. Oczywiście nikt tych Polaków dokładnie nie policzył, nie ma takich danych, po prostu w państwach europejskich nie są gromadzone statystyki na temat liczby bezdomnych według narodowości. Ale dane szczątkowe gromadzą organizacje pomocowe. I, jak poinformowało oficjalnie MSZ, „w oparciu o zgromadzone przez konsulów RP dane orientacyjne można oszacować, że liczba osób w kryzysie bezdomności posiadających obywatelstwo polskie lub będących polskiego pochodzenia wynosi co najmniej kilkanaście tysięcy osób w państwach Europy Zachodniej, tj. w Niemczech, Francji, Niderlandach, Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, na Malcie, w Austrii, w Szwajcarii, w Wielkiej Brytanii oraz Irlandii".

To są dane oficjalne, choć MSZ zastrzega, że orientacyjne – kilkanaście tysięcy bezdomnych Polaków. Co z tym zrobić?

Jest to, po pierwsze, kłopot dla krajów, w których takie osoby przebywają. Te państwa próbują coś z tym zrobić: nie tak dawno odbyła się w Warszawie konferencja zorganizowana przez ambasadę Królestwa Niderlandów, na której mówiono o bezdomnych Polakach w Amsterdamie czy Rotterdamie i o sposobach ograniczenia tego zjawiska.

Że nie jest to łatwe, każdy konsul pracujący w Europie Zachodniej może opowiadać godzinami. Mają oni w tej sprawie doświadczenie, bo udzielanie pomocy osobom w kryzysie bezdomności jest jednym z ich zadań. Ta pomoc jest różna. Konsulowie udzielają bezdomnym zapomóg finansowych i rzeczowych, procedują decyzje o wsparciu finansowym na powrót do kraju, wydają dokumenty paszportowe.

To nie są proste sprawy – pomoc może być udzielana tylko na wniosek zainteresowanej osoby. Poza tym większość bezdomnych nie ma zamiaru wracać do kraju, wymaga opieki lekarskiej, psychologicznej itd. Ale nawet jeśli konsul czy jakaś polska organizacja pomoże wrócić do ojczyzny ludziom, którzy mieszkają na ulicy, np. w Berlinie, niedaleko naszej ambasady, oni i tak wkrótce są z powrotem. Bo lepiej być bezdomnym w Berlinie niż w jakimkolwiek polskim mieście.

Jest też pewne utrudnienie organizacyjne – kierowcy busików krążących między Polską a stolicami europejskimi nie chcą bezdomnych brać na pokład. Współpasażerowie także nie chcą, by ich zabierano. Wiadomo dlaczego.

Tak czy inaczej, pomoc Polakom w kryzysie bezdomności zajmuje naszym konsulom coraz więcej czasu i pochłania coraz większe środki. Coraz częściej współpracują oni w tej kwestii z miejscowymi organizacjami pomocowymi i polonijnymi. W najbliższych dniach ma być ogłoszony otwarty konkurs MSZ adresowany do organizacji polonijnych, dotyczący wspierania Polaków znajdujących się w kryzysie bezdomności, bezrobocia i zdrowia psychicznego. Środki na to mają być z roku na rok większe. Z budżetu. Bo z programu KPO zrefundować ich się nie da.

Attaché

Anas al-Sharif był jednym z pięciu dziennikarzy, którzy zginęli w izraelskim ataku 10 lipca 2025 r. w pobliżu szpitala Al-Shifa w Strefie Gazy. Siły Obronne Izraela potwierdziły, że dziennikarz był ich celem jako „szef komórki terrorystycznej Hamasu".

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 28df70e0c3

PENETRACJE

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Czy Rafał Trzaskowski miał szansę na zwycięstwo? Niewielkie. Pisałem o tym. Że czasami lepiej z mądrym stracić, niż z głupim znaleźć? Nie będę obrażać połowy Polski. Ale nie widzę powodu, aby wstydzić się różnic, które nas dzielą. Dla mnie ważna jest kultura, oczytanie i wiedza. Taka osoba budzi moje większe zaufanie niż facet walczący w ustawce. (…) I będę się kierować Markiem Edelmanem: „Co robić, gdy w życiu jest ciężko? Iść dalej. I nie chodzi o to, aby iść do celu, chodzi o to, aby być po słonecznej stronie". Jerzym Pilchem zauważającym: „Plugawy gest nie staje się mniej plugawy przez to, że ma silne poparcie społeczne".

BENOÎT BRÉVILLE,
PREZES ZARZĄDU

Kryzys klimatyczny unaocznił szkody środowiskowe spowodowane przez międzynarodowy system handlowy. Trudno teraz popierać połowy krewetek w Morzu Północnym, które następnie wysyła się ciężarówkami do Maroka, aby je obrać, a następnie odesłać do Holandii, gdzie się je pakuje, zanim trafią do sprzedaży w Niemczech – 30 dni od złowienia do supermarketu, 6,5 tys. km podróży. Lub samochody montowane w Niemczech z podwoziami z Polski, poduszkami powietrznymi z Japonii, fotelami z Tunezji i chipami elektronicznymi z Tajwanu. Proste dżinsy mogą okrążyć świat, zanim trafią do francuskiej szafy: zebrana w Stanach Zjednoczonych bawełna płynie do Indii, gdzie ją się przędzie i tka, a następnie do Chin, gdzie szyje się spodnie, barwi się je w Brazylii i wyposaża w metalowe guziki z Namibii, po czym kontenerowcem płyną do Europy. Ten łańcuch dostaw, absurdalny z ekonomicznego punktu widzenia, narażony jest ponadto na słabości, które ujawniły pandemia COVID-19 i wojna w Ukrainie.

MARCIN PALADE,
AUTOR ANALIZ

Za kilka lat prawdopodobnie nie tylko prawica będzie wyglądała inaczej niż dziś, ale cała scena polityczna. W pierwszej turze wyborów prezydenckich na Nawrockiego i Trzaskowskiego głosowało ponad 80% wyborców w wieku 60+ i zaledwie 23% w przedziale 18-30 lat. Wniosek jest prosty – główny rezerwuar wyborców PO-PiS to roczniki odchodzące. A jeżeli z polityki wycofają się Donald Tusk i Jarosław Kaczyński, to PiS i Platforma w obecnej postaci nie przetrwają, bo dziś głównym motorem ich działania jest wzajemna walka. Prawica socjalna, postpiłsudczykowska, będzie słabła, podobnie jak elektorat konserwatywno-socjalno-katolicki. W jego miejsce będzie wchodzić elektorat prawicy laickiej, wolnorynkowej.

JOANNA MYTKOWSKA,
DYREKTORKA MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ

Bardzo nam zależy, żeby wiedzieć, kto przychodzi, badamy to. Mówiąc w skrócie, są dwie grupy. Po pierwsze, świadoma, krytyczna publiczność, która zna się na sztuce. Druga grupa to wizytujący muzeum pierwszy raz. Wyzwanie polega na tym, żeby pracować dla obu, mieć bogaty i zróżnicowany program. Wiemy jedno: widzowie oczekują emocji, chcemy je dostarczać. Potrzebujemy „mięsa" wystawienniczego, pełnokrwistych historii. Nawet jeśli coś jest eksperymentalne, musi mieć aspekt działający na emocje i wyobraźnię. (…) Obserwujemy, że polskiej transformacji, bogaceniu się i stabilizowaniu społeczeństwa towarzyszy ogromny wzrost liczby osób bywających w muzeach. Wszystkich. Badania mówią, że nawet dziesięciokrotny.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), POLSKA ORKA POLITYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 28df70e0c3

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

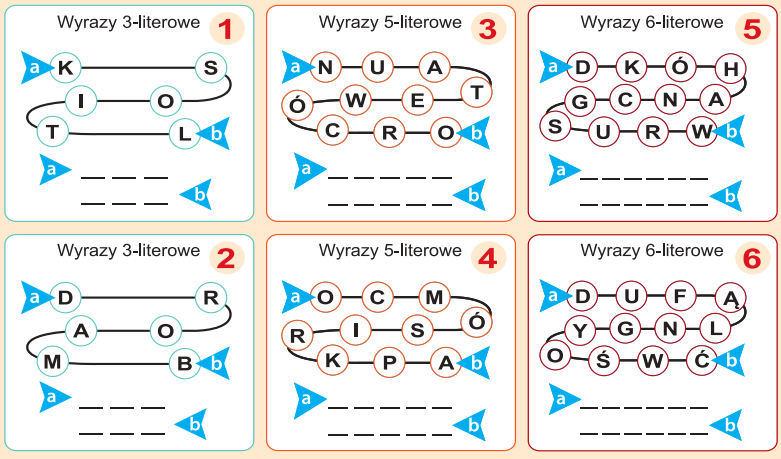

ROZWIĄZANIA: KOT, LIS, DOM, BAR, UTWÓR, OCEAN, CÓRKA, PISMO, KANGUR, WSCHÓD, UFNOŚĆ, WYGLĄD

Aby język giętki…

WILHELM SASNAL O PRZYSZŁOŚCI

Będę się zajmował polskim szambem, choćby po to, żeby upuścić sobie trochę żółci. Za dwa i pół roku może być jeszcze gorzej.

KRZYSZTOF VARGA O CZYTELNIKACH

Może są mądrzejsi od dziennikarzy i chcą poważnych, a nawet długich materiałów, w dodatku porządnie zredagowanych i publikowanych po korekcie.

MAGDALENA CIELECKA O ADORATORACH

Zawsze byłam liderką, obiektem zainteresowania też. Nieustannie miałam wokół siebie adoratorów.

KRZYSZTOF PASTOR O BALECIE

Nie urodziłem się dla baletu ani dla baletu nie umrę. Kocham mój zawód, ale jest życie przed baletem i po nim.

BEATA SABAŁA-ZIELIŃSKA O CHODZENIU PO GÓRACH

Góry dają przestrzeń, żeby pobyć samemu z sobą. Albo z kimś bliskim.

MARTA NIERADKIEWICZ O PRZEMOCY W SZKOŁACH AKTORSKICH

Po fali skandali studentki mówią, że przemoc i molestowanie nie zniknęły.

XAWERY ŻUŁAWSKI O ŁATCE

Przypina mi się łatkę trudnego, szalonego reżysera. Robię filmy, jakie chcę robić.

KATARZYNA SOKOŁOWSKA O BRANŻY MODY

Między 35. a 40. rokiem życia pracowałam jak szalona za 10 osób. Bywało, że przez tydzień spałam po trzy godziny na dobę.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 28df70e0c3

Odcienie kobiecości

Natasza Mirak, Nie czuję tego

Natasza Mirak, Uskrzydlanie

Galeria Stalowa
Warszawa, ul. Stalowa 26
do 30 sierpnia

W twórczości Nataszy Mirak i Svitlany Ulki głównym nośnikiem znaczeń są postacie kobiece – czasem subtelne, czasem intensywne, zawsze pełne osobistych doświadczeń. Wyraziste, silne bohaterki Nataszy Mirak miewają spektakularne fryzury i suknie, łączące estetykę minionych epok z nowoczesnością. Svitlana Ulka natomiast wprowadza widza w oniryczne światy, gdzie jawa przenika się ze snem. Dopełnieniem wystawy są prace Kamila Stańczaka, w których natura staje się wehikułem kobiecości i emocji, a podróż – celem samym w sobie. Razem tworzą wielogłosową opowieść o obliczach kobiecości.

Svitlana Ulka, Trzy pory roku zimą III

Kamil Stańczak, Czereśnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 28df70e0c3

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

dkms.pl

Dzień Dawcy szpiku w Twoim miejscu pracy

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem czyjejś szczęśliwej historii – zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Z Fundacją DKMS to proste!

- Profesjonalne wsparcie organizacyjne
- Rejestracja pracowników w biurze – szybko i sprawnie
- Możliwość rejestracji online – w kilka minut, z dowolnego miejsca

Zeskanuj QR kod i dowiedz się więcej

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!

Fundacja DKMS, ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa | T +48 22 882 94 00 | kontakt@dkms.pl • dkms.pl

eprasa.pl 28df70e0c3

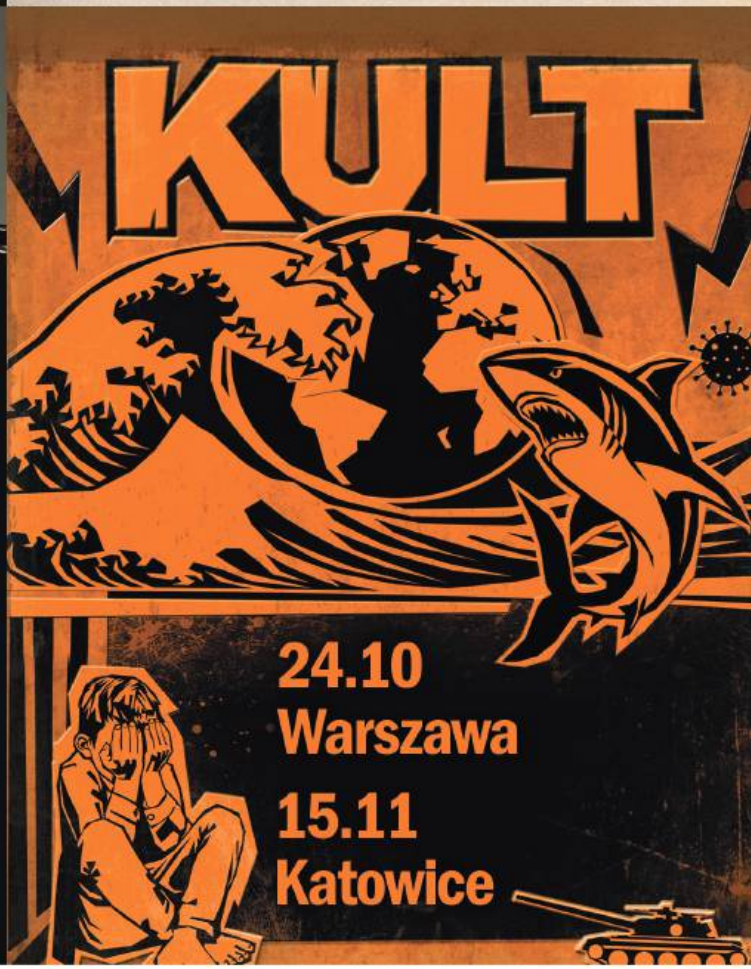

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl 28df70e0c3